

NR 5 (40)  
maj 2004

# BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

## Polacy wypędzeni

Erika z Rumi

Skok bez parasola

numer indeksu 374431

ISSN 1641-9561

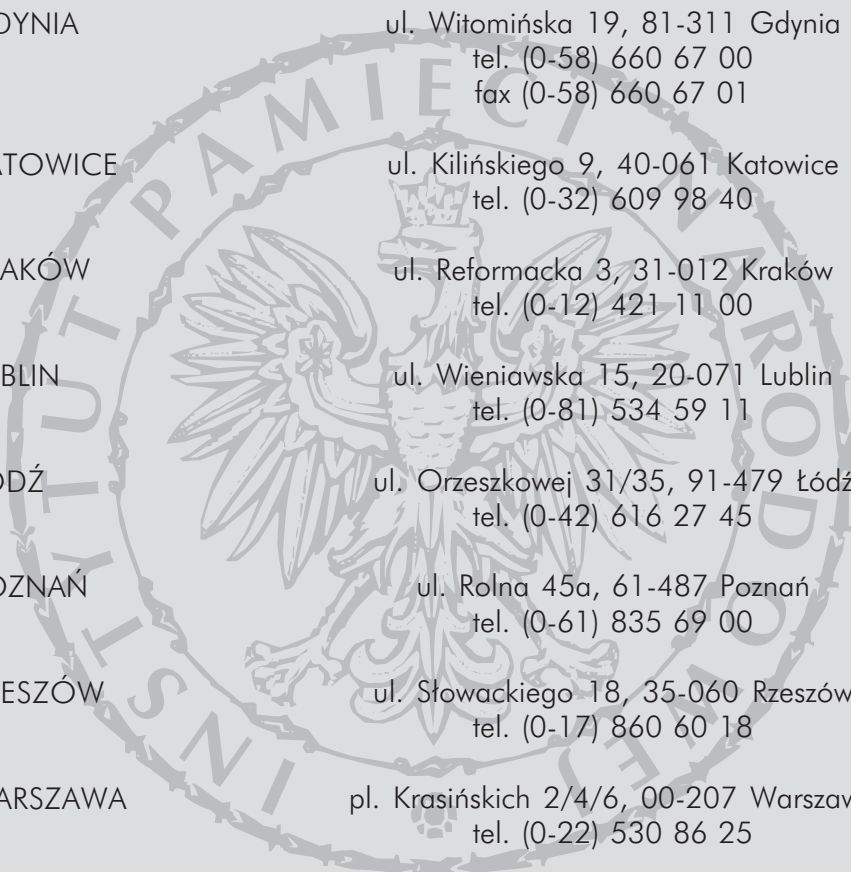


9 771641 956001

nakład 3000 egz.

cena 6,50 zł (w tym 7% VAT)

## **ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE**



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDYNIA	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00 fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Wieniawska 15, 20-071 Lublin tel. (0-81) 534 59 11
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
WARSZAWA	pl. Krasińskich 2/4/6, 00-207 Warszawa tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	ul. Sołtysowicka 23, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

### BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN

Zespół redakcyjny: Władysław Buthak (redaktor naczelny),  
Janusz Kotański, Paweł Machcewicz, Krzysztof Madej,  
Bartłomiej Noszczak, Barbara Polak, Jan M. Ruman

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński

Skład i łamanie: Wojciech Czaplicki

Korekta: Anna Kaniewska

Adres: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

Tel. (0-22) 581 89 24, fax (0-22) 581 89 26

e-mail: [Barbara.Polak@ipn.gov.pl](mailto:Barbara.Polak@ipn.gov.pl)

<http://www.ipn.gov.pl>

Druk: Instytut Technologii Eksploatacji

ul. Pułaskiego 6/10, 26-600 Radom

# BIULETYN

## INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 5 (40)

MAJ

2004

SPIS TREŚCI

### ■ ROZMOWY BIULETYNU

#### **Polacy wypędzeni**

– dyskusja z udziałem ks. bp. Tadeusza Pieronka, Zygmunta Mańkowskiego, Andrzeja Friszke i Thomasa Urbana ..... 4

**Powrót do ruin czy rejs do ziemi obiecanej?**  
z Bogdanem Chrzanowskim rozmawia Barbara Polak ..... 27

### ■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

Bogdan Chrzanowski – **Wypędzenia z Pomorza** ..... 34

Piotr Szubarczyk, Piotr Semków – **Erika z Rumi** ..... 49

Jerzy Bednarek – **Stacja Czastary** ..... 54

### ■ RELACJE I WSPOMNIENIA

Marcel Piel – **Miałem to, co zdążyłem złapać** ..... 62

Benedykt Wietrzykowski – **Wygnańca i powroty** ..... 68

Andrzej Górski – **Skok bez parasola** ..... 74

### ■ DOKUMENTY

Sławomir Cenckiewicz, Grzegorz Majchrzak – **Wielka manipulacja** ..... 90

### ■ POLEMIKI

Jan Sawa – **Zatrute źródło** ..... 96

Sławomir Cenckiewicz – **Sedno sporu** ..... 98



#### **Na okładce:**

5 września 1939 r., po wypędzeniu ks. proboszcza Antoniego H. Szumana ze Starogardu, grupa starogardzkich Niemców świętuje w jego mieszkaniu. Jeden z nich przebrał się w strój kapłana. Ci sami ludzie uczestniczyli potem w egzekucjach Polaków w pobliskim Szpegawsku, gdzie jesienią 1939 i wiosną 1940 r. zamordowano około 7 tys. osób – głównie przedstawicieli pomorskiej elity. Ks. Szuman po wypędzeniu ze Starogardu wyjechał do Fordonu do przyjaciela, ks. Józefa Szydzika, ale go już nie zastał. Ks. Szydzik został również wygnany, potem zamordowany. Ks. Szuman został zamordowany w egzekucji pod kościołem w Fordonie 2 X 1939 r.

# Kalendarium IPN kwiecień 2004

- 1 kwietnia **Wystawa „Sowieckie piekło 1939–1956”** przygotowana przez OBEP IPN Poznań została otwarta w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Konstantego Prusa w Rybniku.
- 5 kwietnia **Simone Veil, przewodnicząca Fundacji Pamięci Shoah**, złożyła wizytę prezesowi IPN prof. Leonowi Kieresowi.
- **Wystawa „Stan wojenny – spojrzenie po dwudziestu latach”** została otwarta w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Myśliborzu.
- 6 kwietnia **Postanowienie prokuratury RFN stwierdzające nieważność wyroku skazującego na karę śmierci wydanego 9 grudnia 1941 roku przez niemiecki sąd specjalny na ks. Wincentego Harasimowicza**, proboszcza Parzęczewa, prof. Leon Kieres przekazał metropolii łódzkiej abp. Władysławowi Ziółkowi. W spotkaniu uczestniczył prof. Witold Kulesza, dyrektor GKŚZpNP.
- **Wystawa „Sowieckie piekło 1939–1956”** przygotowana przez OBEP IPN Poznań, została otwarta się w Muzeum w Stargardzie Szczecińskim.
- 14 kwietnia **Informacje nt. materiałów archiwalnych, jakie pozostały do przekazania do zasobu IPN**, przedstawili na posiedzeniu Kolegium Instytutu szef ABW Zbigniew Siemiątkowski oraz dyrektor Biura Ewidencji i Archiwum ABW Sławomir Grabik. Kolegium zapoznano się także z planem pracy Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu na rok bieżący.
- **„Cichociemni” to temat sesji Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grota”**, zorganizowanej w gmachu IPN. Przewodniczył jej Jędrzej Tucholski, a wykład wygłosił ppłk. Stefan Bałuk „Starba”.
- 15 kwietnia **Umowę o współpracy pomiędzy reprezentowanymi przez siebie instytucjami** podpisali w siedzibie Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego rektor Uniwersytetu prof. Ryszard J. Górecki i prezes IPN prof. Leon Kieres.
- **Na terenie cmentarza parafialnego w Częstochowie odbyła się ekshumacja szczątków umieszczonych w bezimiennej mogile**. Została ona przeprowadzona z inicjatywy środowisk kombatanckich, w obecności prokuratora z OKŚZpNP w Katowicach. W mogile znajdują się szczątki ofiar przestępstw popełnianych przez UB w latach czterdziestych.
  - **Wystawa „Polacy–Ukraińcy 1939–1947”** została otwarta w Gminnym Domu Kultury w Budrach. Wystawę otworzył wójt Józef Markiewicz. Wspomnieniami dzielił się z zebranymi Włodzimierz Nazarowicz, więzień obozu w Jaworznie.
- 16 kwietnia **Promocję książki „Literaci a sprawa katyńska 1945”** Stanisława M. Jankowskiego i Ryszarda Kotarby (IPN Kraków) zorganizował gdański OBEP IPN we współpracy z Nadbałtyckim Centrum Kultury w Gdańsku.
- **Finał konkursu „Pamięć rodziny – pamięć historii”** odbył się w siedzibie Oddziału IPN w Poznaniu. W finale uczestniczyło 19 uczniów z gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych z województw wielkopolskiego, lubuskiego i zachodniopomorskiego.
  - **Wystawa „Sybiracy. Deportacje ludności polskiej w głąb ZSRR w latach 1939–1941”**, przygotowana przez OBEP IPN w Białymstoku, została otwarta w Ośrodku Kultury w Mońkach.
- 19 kwietnia **„Kwatery więzienne” to główny temat warsztatów historycznych dla nauczycieli na terenie Cmentarza Osobowickiego** we Wrocławiu, prowadzonych przez dr. Krzysztofa Szwagrzyka z wrocławskiego OBEP IPN. W spotkaniu uczestniczyło kilkudziesięciu nauczycieli gimnazjów.
- 19–23 kwietnia **„Dni PRL”** zorganizowane przez Collegium Civitas we współpracy z BEP IPN, Ośrodkiem KARTA, Filmoteką Narodową oraz Centrum Edukacji Obywatelskiej, pod patronatem prezydenta Lecha Każyńskiego, odbyły się w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Cykl pięciu spotkań poświęcono czterem dekadom PRL oraz PKiN. Pokazano kilkanaście filmów dokumentalnych i fabularnych. Odbyły się też cztery dyskusje panelowe z udziałem m.in.: prof. Jerzego Eislera, prof. Andrzeja Garlickiego, prof. Karola Modzelewskiego i dr. hab. Pawła Machcewicza. Panele prowadzili wykładowcy Collegium Civitas: prof. Andrzej Friszke, prof. Andrzej Paczkowski, prof. Wojciech Roszkowski i Jacek Żakowski. Spotkaniu towarzyszyła wystawa: „Obraz wroga w propagandzie PRL” przygotowana przez OBEP IPN Łódź.
- 21 kwietnia **Konferencja „Z archiwum IPN...”** połączona z wystawą dokumentów ze zbiorów BUIAD IPN została otwarta przez prof. Leona Kieresa. Referat wprowadzający wygłosiła Bernadetta Gronek, dyrektor BUIAD.

- 22 kwietnia **Sesja popularnonaukowa „Armia Krajowa i konspiracja poakowska na ziemi rybnickiej 1942–1947”** odbyła się w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Rybniku. Sesję zorganizowały katowicki OBEP IPN, Urząd Miasta Rybnik, Muzeum w Rybniku, Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna oraz Okręg Śląski ŚZZAK.
- **Otwarcie sali im. gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”** i odsłonięcie tablicy pamiątkowej na murze budynku IPN odbyło się w Gdańsku Oliwie. W uroczystości uczestniczyli prezes IPN, abp. Tadeusz Gocłowski, córka generała – Maria Fieldorf-Czarska oraz liczni kombatanci z Armii Krajowej.
- 23 kwietnia **Inauguracja działalności Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grota” w Katowicach** została zorganizowana przez Okręg Śląski ŚZZAK i katowicki Oddział IPN.
- 25 kwietnia **Wystawa „Okupacja sowiecka na prawym brzegu Sanu w latach 1939–1941”**, przygotowana przez OBEP IPN Rzeszów, została zaprezentowana w Miejskim Ośrodku Kultury w Przeworsku.
- 26 kwietnia **Konferencja naukowa „Powiat przemyski – instalacja i utrwalenie władzy komunistycznej 1944–1956”**, przygotowana przez rzeszowski Oddział IPN i Państwową Wyższą Szkołę Zawodową w Przemysłu, odbyła się w siedzibie PWSZ.
- 27 kwietnia **Wystawa „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat... Pomoc ludności żydowskiej pod okupacją niemiecką w województwie białostockim”** została otwarta w Miejskim Ośrodku Kultury w Sokółce.
- **Final ustny konkursu „Propaganda a rzeczywistość lat 70.”**, zorganizowanego w roku szkolnym 2003/2004 przez gdański OBEP IPN, odbył się w sali konferencyjno-wystawienniczej im. gen. Emila Augusta Fieldorfa „Nila” w Gdańsku Oliwie.
- 28 kwietnia **Stanowisko w sprawie działań mających na celu dokonanie procesowej oceny zbrodni katyńskiej** przyjęło Kolegium IPN.
- **Wystawę „Polacy–Ukraińcy 1939–1947”**, przygotowaną przez lubelski OBEP IPN, otwarto w sali Ośrodka Badań Naukowych w Olsztynie. Uroczystość towarzyszyła Międzynarodowej Konferencji Naukowej „Dziedzictwo Polsko-Ukraińskie”.
  - **Wystawę „Wbrew władzy ludowej. Czekaając na akcję”** zorganizowaną przez białostocki OBUiAD otwarto w siedzibie Oddziału IPN w Białymstoku.
  - **Wyniki konkursu „Polska 1939–1989: drogi do niepodległości”** ogłosiło BEP IPN: I nagrody nie przyznano; II nagrodę – cyfrowy aparat fotograficzny – przyznano Annie Cichockiej za pracę „Między idealizmem a pragmatyzmem” (o koncepcjach odzyskania niepodległości prezentowanych na łamach paryskiej „Kultury”); III nagrodę – zestaw książek wydanych przez IPN – przyznano Marzenie Kozak za pracę „Wyrok – kara śmierci” i Wojciechowi Jerzemu Muszyńskiemu za pracę „Niepokorny przeciw gomułkowskiej szarzyźnie. Życie i działalność Przemysława Górnego”.

#### STATYSTYKA PRZYJMOWANIA WNIOSKÓW O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW/ZAPYTANIE O STATUS POKRZYWDZONEGO

	kwiecień 2004 r.	od początku wydawania
BIAŁYSTOK	8	1090
GDAŃSK	19 (6* + 4**)	2263 (698* + 287**)
KATOWICE	8	1531
KRAKÓW	18	1640
LUBLIN	12	740
ŁÓDŹ	13	806
POZNAŃ	15	1550
RZESZÓW	9	985
WARSZAWA	13	1645
WROCŁAW	9	1055
BUiAD	19 (1***)	1498 (100***)
KONSULATY	4	239
RAZEM	147	15042
<b>WNIOSKI ZREALIZOWANE</b>		<b>11169</b>

wnioski przyjmowane w delegaturach: \*Bydgoszcz, \*\*Koszalin, \*\*\*Radom

# POLACY WYPĘDZENI

**Obszerne fragmenty dyskusji panelowej „Polscy wypędzeni” zorganizowanej przez BEP IPN w Zamościu 2 grudnia 2003 r., której towarzyszyła wystawa „Wojenne dzieciństwo. Losy dzieci polskich pod okupacją hitlerowską” przygotowana przez OBEP IPN Łódź. W dyskusji udział wzięli ks. bp prof. dr hab. Tadeusz Pieronek (rektor PAT), prof. dr hab. Zygmunt Mańkowski (UMCS), prof. dr hab. Andrzej Friszke (członek Kolegium IPN) i red. Thomas Urban (korespondent „Süddeutsche Zeitung”, autor książki *Od Krakowa po Gdańsk. Wędrówka przez dzieje polsko-niemieckie*).**

**Grzegorz Motyka:** Oprócz zgromadzonych z okazji dzisiejszej dyskusji osób jest jeszcze jeden milczący jej uczestnik, to jest miejsce, gdzie ona się odbywa – Zamość i Zamojszczyzna, która jest miejscem szczególnym, jeśli chodzi o wysiedlenia w czasie drugiej wojny światowej. To tutaj próbowano stworzyć pierwszy próbny poligon niemieckiej strefy osiedleńczej. Wysiedlono stąd kilkadziesiąt tysięcy osób i zasiedlono te tereny Niemcami, m.in. z Rumunii. Ale, co równie istotne, Zamojszczyznę w pewnym sensie pośrednio dotknęły wysiedlenia już w latach 1939–1940. To tu m.in. spływali wysiedleńcy z Poznańskiego. Później w 1943 r. na Zamojszczyznę docierali Polacy z Wołynia, uciekający przed oddziałami UPA. Tylko w lipcu–sierpniu było ich kilka tysięcy w pobliskim powiecie hrubieszowskim. Zamojszczyzna to także wysiedlenia ludności ukraińskiej po wojnie i – o czym się chyba wcale nie pamięta – ostatnie przymusowe wysiedlenia ludności polskiej z 1951 r., kiedy doszło do tzw. wyrównania granic pomiędzy Polską a ZSRR. Także te wysiedlenia ludności polskiej były wysiedleniami przymusowymi.

Zbieramy się tutaj również z tego powodu, że wielkie emocje w Polsce wywołał projekt powstania Centrum Wypędzonych w Berlinie. Projekt ten spotkał się w naszym kraju z niechętnym przyjęciem. W czasie dyskusji, która nawiązała się wokół tego projektu czy wokół problemu wysiedleń, już niejednokrotnie zwracano uwagę, że w Niemczech dochodzi do rewizji historii, a zwłaszcza historii drugiej wojny światowej. Pojawia się lęk, że Niemcy zaczynają usprawiedliwiać to, co się stało w czasie wojny za ich przyczyną. Z całą pewnością możemy powiedzieć jedno – w Niemczech pamięć historyczna drugiej wojny światowej skupia się wokół dwóch wydarzeń – zagłady Żydów i wojny ze Związkiem Sowieckim. Wojny niezwykle krwawej i brutalnej, tu wskazuje się na los jeńców wojennych. Natomiast cierpienia pozostałych narodów i państw są traktowane jako drugorzędne.

## ZAPOMNIANE WYSIEDLENIA

Helga Hirsch na łamach „Rzeczpospolitej” zadała pytanie, czy jest jakaś różnica między bólem niemieckiej matki, która straciła dziecko







Fot. ze zbiorów IPN (GKSZpNP)

### Pacyfikacja Zamojszczyzny. Odbieranie dzieci rodzicom

w czasie bombardowania Hamburga, a bólem polskiej matki, której syna rozstrzelano na Pawiaku. Czy jest jakaś różnica pomiędzy polskim i niemieckim bólem? Takie stawianie sprawy nie spotyka się w Polsce ze zrozumieniem, wywołuje wręcz obawę, że te polskie cierpienia są po prostu zapomniane i niedostrzegane. Można też wskazać na niemiecką wystawę o zbrodniach Wehrmachtu; otóż rejestracja tych zbrodni rozpoczyna się w 1941 r., a więc od uderzenia na Związek Sowiecki. Nie ma żadnego wspomnienia na ten temat, co działo się wcześniej, chociażby w czasie kampanii polskiej we wrześniu i październiku 1939 r., kiedy oddziały Wehrmachtu i formacji paramilitarnych i policyjnych także popełniały zbrodnie. Między innymi z tego powodu IPN przygotowuje swego rodzaju polski suplement do niemieckiej wystawy o zbrodniach Wehrmachtu we wrześniu 1939 r.

Jeszcze jedną rzecz można wychwycić z tych dyskusji wokół Centrum Wypędzonych: należy mówić o ofiarach. Tak jak Niemcy chcą mówić o swoich ofiarach, tak również i my musimy mówić o swoich ofiarach. Polscy uczestnicy tej dyskusji uświadomili sobie, że o polskich wysiedlonych historia trochę zapomniata. Przede wszystkim pamiętamy o skierowanej przeciwko inteligencji zbrodniczej akcji „AB”, o masowych rozstrzeliwaniach, o obozach koncentracyjnych. Wyni-

ka z tego, że cierpienia tych osób, które zostały wysiedlone, były jakby mniejsze. I w związku z tym niewiele osób, nawet interesujących się historią, pamięta o tym, że przymusowe wysiedlenia ludności polskiej zaczęły się już we wrześniu 1939 r., w tym pierwsze wysiedlenia z Gdyni; że trwały one przez kolejne lata 1940 i 1941, objęły Wielkopolskę, Pomorze, Śląsk, Żywiecczynę; że dotknęły Zamojszczyznę; że były wysiedlenia z regionu białostockiego i z terenów, gdzie tworzone duże poligony wojskowe, chociażby na Rzeszowszczyźnie.

## UHR DEUTSCHE STADT

**Zygmunt Mańkowski:** Ta sala, w której dzisiaj zebraliśmy się, jest świadkiem wielkich i tragicznych wydarzeń. 15 lipca 1942 r. dowódca SS i policji, jeden z największych zbrodniarzy w rejestrze zbrodniarzy hitlerowskich, Odilo Globocnik, tym razem oficjalnie, w obecności dziennikarzy „*Krakauer Zeitung*”, ogłosił, że Zamojszczyzna będzie pierwszym „nasiedleńczym” terenem niemieckim na Wschodzie. Wówczas również ofiarował to miasto Himmlerowi, miało ono przyjąć nazwę Himmlerstadt, ale ponieważ nie było Hitlerstadt ani Goebelsstadt, więc zmieniono tę nazwę na Pflugstadt, miasto niemieckiego pług, który miał przeorać ziemie wschodnie. Ta nazwa też jednak nie weszła w życie i wciąż pisano „Zamosc”, jako niemieckie miasto, *uhr deutsche Stadt*. 28 listopada 1972 r., w trzydziestą rocznicę tych wydarzeń, odbyła się tu, w Zamościu, wielka międzynarodowa konferencja poświęcona przesiedleniom przez III Rzeszę i jej sojuszników w czasie drugiej wojny światowej. Zorganizował ją Komitet Historii II Wojny Światowej, organizacja ogólnoświatowa z siedzibą w Paryżu, na której czele stał wybitny uczyony francuski prof. Henri Michel, oraz Komisja Historii II Wojny Światowej, która działała przy PAN w Warszawie i UMCS. Te trzy instytucje zaprosiły do Zamościa wybitnych historyków z całego prawie świata. Efektem konferencji była książka, która – w dziwny sposób – nie trafiła na półki księgarskie.

Potrzeba poruszania tego tematu wynikała stąd, że Polska w oskarżaniu Niemców jest w znacznym stopniu osamotniona. Wówczas już Niemcy rośli w butę i w siłę. Relatywizowali swoje zbrodnie, spychając je na kogo się dało, a swoją odpowiedzialność za zbrodnie przemilczali. Nie chcieliśmy być samotni w tym krzyku rozpacz, jaki dochodził z Zamojszczyzny, wobec tego zaprosiliśmy wielu naukowców, żeby powiedzieli, jak Niemcy działali na ich terenach. Niemcy wysiedlali ludność, bo mieli manię prześladowczą owego *Lebensraum*, tworzenia nowej przestrzeni życiowej dla swego narodu, który miał uporządkować przyszłą, zdobytą przez nich Europę. Dotyczyło to również Styrii, Chorwacji, Tyrolu, Alzacji, Lotaryngii, Litwy, Łotwy i Ukrainy. Wszędzie tam Niemcy próbowali robić porządki i dokonywali przesiedlania, wypędzania ludzi w okrutny sposób.





## WYSIEDLENIA I EKSTERMINACJA

Celem jednak wszystkich tych akcji były głównie wysiedlenia, natomiast na Zamojszczyźnie chodziło o coś więcej. Zygmunt Klukowski, lekarz ze Szczepieszyna, był jednym z nielicznych świadków na procesie w Norymberdze, który miał udowodnić związek wysiedleń na Zamojszczyźnie z generalnym planem zagłady Słowian. Wtedy to się nie udało. Nam na tej sali w 1972 r. też to się nie udało. Ale udało nam się powiedzieć, że Zamojszczyzna stanowi ewenement w dziejach Europy okupowanej przez III Rzeszę i jej sojuszników, bo po raz pierwszy zastosowano tutaj połączenie przesiedleń z działaniami o charakterze eksterminacyjnym. Prof. Czesław Madajczyk w obecności zebranych historyków postawił tezę, której nie podważono, że tę akcję można nazwać wysiedleńczo-eksterminacyjną. W toku tych akcji segregowano ludzi, część mordowano, niektórych posyłano do Rzeszy na roboty przymusowe, zwane powszechnie niewolniczymi, oddzielano dzieci od rodzin i wysyłano do obozów dla dzieci w Łodzi, gdzie próbowano je germanizować. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego wysiedlenia ludzi na ziemiach wcielonych do Rzeszy, szczególnie na Zamojszczyźnie, to nie było rugowanie, przesiedlenie, to było wysiedlenie połączone z działalnością eksterminacyjną. W prawie międzynarodowym działanie takie nosi nazwę *debellacja*. *Debellatio*, o czym Polacy mało piszą, to jest uzurpowanie sobie prawa do dokonania w czasie wojny, jeszcze przed traktatem pokojowym, aneksji i trwałych zmian, które nie dadzą się łatwo usunąć. Rzecz więc polega na tym, że nasze działania na tzw. ziemiach odzyskanych były zgodne z prawem międzynarodowym, były zgodne z traktatem pokojowym zawartym w Poczdamie, potem przypieczętowanym w Helsinkach. Natomiast wysiedlenia na Zamojszczyźnie były z punktu widzenia prawa międzynarodowego zbrodnicze i nic nie może tego usprawiedliwić.

## NIEMCY NIEMCOM...

Był jeszcze jeden element, który zaskoczył wówczas świat i Europę. Mianowicie to, że Niemcy po raz pierwszy wtedy odeszli od zasady zdobywania terenów sobie przyległych. Wybór Zamościa, oddalonego od granic Rzeszy, był niebezpiecznym zjawiskiem. Po raz pierwszy przeskoczono przez pewne tereny, które później również miały być zgermanizowane. Budowano wielkie pasmo ziem od Siedmiogrodu aż po kraje nadbałtyckie, dawne Inflanty. To miał być pas, który miał podzielić Słowian i stąd miały wychodzić wypadowe uderzenia niemieckie aż po Ural. Jednocześnie w swego rodzaju kocioł wzięto ludność znajdującą się na zachód od tego pasa, który konsekwentnie miał być budowany. I na dodatek prowadzono eksterminację i segregację. W orbitę tych działań dostało się 297 wsi, około 110 tys. mieszkańców. Te zbrodnie powinny być ze szczególną siłą uwypuklane.

Wysiedlone tereny zasiedlano Niemcami z różnych okolic, przede wszystkim z Rumunii, z Besarabii, z Siedmiogrodu. Oni też padli ofiarą



nikczemnej niemieckiej hitlerowskiej polityki. To byli ludzie, których wyrzucono z ich siedzib rodzinnych, kiedy tamte obszary włączono na skutek ultimatum do terenów sowieckich. Niemców stamtąd zabrano, bo nie chcieli zostać na obszarze ZSRR, przeniesiono pod Łódź, obiecywano złote góry, mieli być osiedleni na ziemi wielkopolskiej i na Pomorzu. Ponieważ tamtejsze niemieckie władze odmówiły ich przyjęcia, Globocnik zdecydował się przyjąć ich tutaj i tutaj ich osadzić. Ani jednego dnia, ani jednej nocy nie mieli spokojnej. Tu się wszystko zakotłowało. Wybuchło powstanie zamojskie. Tego terminu nie nadużywamy, on został użyty przez jednego z wytrawnych dowódców niemieckiej żandarmerii, który to obserwował. Jego raport o powstaniu zamojskim i użycie tego słowa jest dosyć symptomatyczne. Nie udało się więc Niemcom opanować tego terenu. Niemcy, których tu „nasiedlono”, stali się też ofiarami. Wielu z nich uciekło w popłochu już w styczniu 1944 r., wielu zginęło w ogniu walki, kiedy 1. Front Ukraiński wtargnął na tę ziemię, a Armia Krajowa ruszyła do wszechstronnych działań, nie tylko odwetowych, ale także zaczepnych; kiedy Bataliony Chłopskie wypowiedziały walną bitwę na Zamojszczyźnie. Ofiarami tej walki padli Polacy i Ukraińcy. Musimy zrozumieć także, że Wołodymyr Kubijowycz, który kierował sprawą ukraińską przy Hansie Franku w rządzie GG, wielokrotnie protestował przeciwko temu, co zrobili Niemcy z Ukraińcami. Przesiedlili ich na miejsce wysiedlonych Polaków. Mieli oni bowiem przyjąć na siebie pierwsze uderzenia polskiego ruchu oporu z Puszczy Solskiej i Roztocza i bronić wsi zasiedlonych Niemcami. Zakotłowało się, Polacy uderzyli na te wioski. Ukraińcy odpowiedzieli również bezwzględną siłą, byli dobrze uzbrojeni. Posterunki ukraińskie były bardzo groźne dla Polaków, którzy ponieśli wielkie ofiary. Później Richard Wendler, który był zresztą szwagrem Himmlera, nowy szef dystryktu lubelskiego, pisał, że tutaj próbowano stosować angielskie metody, nastawiając jednych przeciw drugim. Nic z tego nie wyszło, wszędzie wybuchła nienawiść do Niemców, zarówno wśród Polaków, jak i Ukraińców. Ich też pozbawiono siedzib, obiecywano wiele, a stali się obiektem ataków polskiej partyzantki. Takie piekło zgotowali Niemcom Niemcy.

Straty Zamojszczyzny, wciąż niepoliczony do końca, są ogromne. Wprawdzie Niemcom udało się schwytać tylko około 50 tys. ludzi, ale 50 tys. znalazło się w tragicznej sytuacji. Ukrywali się po lasach w ziemie. Często docierały do nich wiadomości o tym, co się dzieje w obozach przesiedleńczych, o tych wywożonych transportami dzieciach. Zamojszczyzna poniosła ogromne straty, które trudno policzyć. Jeszcze do dziś ta ziemia liże swoje rany.

## LOS DZIECI

**Bp Tadeusz Pieronek:** Nie chciałbym występować w charakterze rektora Papieskiej Akademii Teologicznej, bo zobowiązywałoby mnie to do zaprezentowania udokumentowanych badań nad wysiedleniami na Żywiec-czyźnie. Wolę być świadkiem, świadkiem bezpośrednim, trochę łagod-



Fot. ze zbiorów IPN (OKŚZpNP w Łodzi)

Chłopiec w obozie „rasowym” przy ul. Spornej w Łodzi.  
Tam zdecydowano o germanizacji dzieci

niejszej formy wysiedlenia niż ta, którą przeżyli moi rodzice, rodzina i siostry. W wysiedleniu rodziców i sióstr nie brałem udziału, uratowałem się przed tym, ponieważ zostałem tydzień wcześniej wywieziony kilkanaście kilometrów na południe od Żywca. Znalazłem się w Kętach koło Oświęcimia u mojego wujka, z moimi dwoma kuzynami i ich matką, żoną oficera osadzonego już wówczas w oflagu w Choszczynie, a potem w Lubecie. Ciotka była zawodową nauczycielką, co okazało się bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla mnie i dla wielu innych dzieci w Kętach.

To moje wysiedlenie było łagodne, ponieważ znalazłem się wśród krewnych. Ale z tego nie wynika, że go nie odczułem. Byłem przede wszystkim pozbawiony przez pięć lat rodziców i jako dziecko musiałem zarabiać na życie. Całą wojnę spędziłem na pasieniu krów, co dla chłopaka sześciolatniego jest rodzajem niewoli. Byłem też blisko Oświęcimia i miałem świadomość, co się tam dzieje, ponieważ jako ministrant brałem udział w pogrzebach urn z rzekomymi prochami więźniów Oświęcimia, które czasem rodzina zdołała wydobyć od władz niemieckich z obozu. Pamiętam Oświęcim z tamtych czasów. Czuję do dziś zapach kominów z krematorium. Ta łagodna forma wysiedlenia nie była jedyką. Ponieważ budynek, w którym mieszkaliśmy, był w dobrym stanie, wysiedlono nas ponownie, przerzucając do jakiejś rodziny, tłocząc nas w pomieszczeniach, które nie były wystarczające dla tej liczby osób.

## MACIE 15 MINUT

Ale ja chciałem być tutaj także świadkiem pośrednim, to znaczy chciałem się powołać na dość szczegółową relację, jaką opracował mój ojciec o wysiedleniu z Żywiecczyny. Relacja co prawda została napisana w 1965 r., ale jest o tyle wierna, że ojciec był wójtem dość dużej gminy, w której mieściła się także i moja wioska, która się nazywała Radziechowy, i część Żywca za rzeką Sotą. Żywiec był wolny od Żydów,

tam obowiązywał przywilej królewski, że nie wolno było im tam się osadzać, a w Zabłociu, za rzeką, to była druga część miasta, w której granicach mieszkało bardzo wielu Żydów. Tam ojciec przed wojną był wójtem. Miał wykształcenie, miał pewien rodzaj talentu poetyckiego, pisał wiersze, dokumentował wydarzenia w różnego rodzaju pieśniach, które były śpiewane w rodzinie. Te przekazy mają dużą autentyczność, były pisane na żywo. Chciałbym państwu streścić parę fragmentów jego wspomnień, jak wyglądało wysiedlenie.

Krążyła po wsi wieść, że nastąpią wysiedlenia, ponieważ już nastąpiły w sąsiednich wioskach. Ale wiadomości o charakterze tego wysiedlenia były mylne. Mówiono mianowicie, że są to przesiedlenia do miejsc, gdzie można lepiej pracować, znaleźć się w lepszych warunkach życiowych, gdzie przyjmuje się ludzi z orkiestrą i z weselem, i oczywiście oni wszystko mają do dyspozycji. Taka rozmowa odbyła się między innymi przy stoliku z piwem, gdzie chłopci zebrali się w kółku rolniczym dnia 2 października 1940 r. Opowiadali sobie te rzeczy. Wszedł na to jeden z żandarmów niemieckich, policjant o nazwisku Baron, który usłyszał, że tam ludzie śpiewają sobie „Jeszcze Polska nie zginęła”, więc zabrał do aresztu kogo mógł, ale przeczył, jakoby w tej miejscowości miały być wysiedlenia. Co się okazało? Następnego dnia, 3 października 1940 r. o godz. 4.00 rano przebudził mieszkańców warkot ciężkich samochodów. Wokół wsi ustawiono karabiny maszynowe. Nikogo nie wpuszczano ani nikogo nie wypuszczano, a nawet w samej wsi nie można było przechodzić z miejsca na miejsce. Policja przeprowadzająca wysiedlenia ulokowała się w naszym domu. Zaciągnęli linię telefoniczną i zaczęli wysiedlanie. Ustanowiono dwa miejsca zbiórki – pierwsze koło strażnicy, w środku wsi, drugie na górze, na placu Mików. To była duża, góraska wioska, droga schodziła w dół w dolinę Soły. Wysiedlenie objęło prawie dwie trzecie wsi. Niemcy wchodzili do domów trójkami, odczytywali listę wyznaczonych do wysiedlenia mieszkańców tego domu i po niemiecku zapowiadali: macie 15 minut, możecie zabrać bagaż do 25 kilogramów, dokumenty, papiery. Ponieważ wśród tych wysiedlających byli Ślązacy, to po śląsku odzywali się mniej więcej tak: „Bajtliki se pobiercie najwyżej 25 kilogramów, papira, dowoda, a nie bier pierzyna, kołdra i kładungu, bo jak cie, pieruna, zawale tom graba, to ino bachora z ciebie wyleco”.



## JAK BYDŁO

Taki był klimat i ten klimat jest udokumentowany faktami. Po prostu brano ludzi za kark i kolbami wyrzucano z domu. Jeśli ktoś nie chciał zastosować się do rozkazu albo zabierał pierzynę czy coś ciepłego – choć był to wprawdzie ciepły październik, ale można się było spodziewać, że wygnanie trochę potrwa – to po prostu rozpruwano to bagnetami, nie licząc się z niczym. Brano wszystkich, niezależnie od tego, w jakim byli wieku, były tam także małe dzieci, między innymi moja siostra,



Fot. ze zbiorów IPN (GKŚZpNP)

Wysiedleni opuszczają wioskę.  
Akcja wysiedleńcza na Zamojszczyźnie

która właśnie skończyła rok. Ludzi ładowano do ciężarówek, jak bytło zganiano na odpowiednie miejsce i segregowano. Potem przewieziono do Żywca, ok. 7 km dalej. Umieszczono jedną grupę w szkole, drugą w budynku „Sokoła”, gdzie ludzie byli przetrzymywani przez trzy dni, widocznie jeszcze nie było decyzji gdzie, jakimi środkami i w jakim kierunku pojadą. Nikt nie interesował się zupełnie, co ci ludzie będą jedli, co będą pili. Dopiero po pewnym czasie zatroszczył się o to Polski Czerwony Krzyż. Po trzech dniach załadowano ich na zamknięte bydlęce wagony i transportem przez Bielsko, Łódź przewieziono do Lubartowa. Można sobie wyobrazić, jak wyglądali ci ludzie sftoczeni w bydlęcych wagonach bez żywności, bez napojów, choć np. w Łodzi ogłoszono, że dzieci mogą dostać mleko. Jak matki wyszły po to mleko, okazało się, że mleka było kilka litrów na kilka wagonów, reszta wróciła z kwitkiem.

## WYSIEDLENI CZY PRZESTĘPCY

Perfidią Niemców było to, że ci wysiedleńcy zjawiali się w tych rejonach Polski, do których ich przeznaczano, w aurze przestępców. Władze na miejscu nie były zawiadamiane o tym, że przyjedzie jakiś transport. Z niewiadomych powodów transport, w którym znajdowała się moja rodzina, został wyładowany w Lubartowie i stamtąd przewieziony furmankami do Parczewa, bez żadnej troski o to, co tym ludziom może się stać po drodze. Mówiłem, że był to ciepły październik, ale właśnie tam zaczęły się trudności z pogodą, bo przyszła bardzo

gwałtowna burza. Jadący wozami ludzie znaleźli się w strasznej sytuacji – umęczonych wcześniejszą podróżą zaskoczyło zimno, silny wiatr, ulewny deszcz, wozy się przewracały. Przywieziono ich na plac do Parczewa i rozdzielano, moi rodzice i siostry dostali się do miejscowości Stępków, gdzie przywieziono ich po prostu pod próg. Rozdzielenie wysiedlonych po domach było zadaniem wójta. Przychodził do domu, otwierał drzwi i – proszę bardzo, tu jest pięć czy sześć osób. Z mojej wioski wysiedlono 214 rodzin (w sumie 1031 osób). Rodziny przeciętnie liczyły po pięć–sześć osób. Proszę sobie wyobrazić, że do tych domów na Podlasiu, które były inne niż dzisiaj budowane, zwykle to była kuchnia i jakaś komórka, nawet nie zawsze z podłogą, tam włoczono tych ludzi bez żadnych perspektyw.

Pamiętam, jak mama opowiadała, że kiedy się znaleźli w domu, na stole był jakiś talerz z barszczem, właścicielka tego domu zabrała szybko ten barszcz, no bo tym „bandytom” przecież nie należało się nic. Oczywiście tak przedstawiała przybyszów perfidna propaganda. Miejscowi z czasem dowiedzieli się, jak jest naprawdę, i zaczęli odnosić się przyjaźnie do wysiedlonych. Pierwszą szansą, jaka się pojawiła, była możliwość zebrania ziemniaków, które nie były jeszcze do końca wykopane, a drugą zebranie chrustu w lesie na ogrzanie miejsca. Nie wszystkie te pomieszczenia, gdzie umieszczono wysiedlonych, nadawały się do zamieszkania. Były przypadki, że przydzielano ludzi do ruder albo do budujących się domów, niewykończonych, bez drzwi, bez okien.

Ojciec dokumentuje szczegółowo, z nazwiskami, wszystkie straty, jakie poniosła moja wioska. Budynek i rodzinne gospodarstwa, które zostawili, częściowo uległy zniszczeniu, częściowo rozbiórce, czasami zostały przyłączone do bauerów, którzy brali gospodarstwa, nie jedno, tylko kilka naraz. Ludzie na wysiedleniu nie tylko zaczęli od niczego, ale potem byli ścigani przez Niemców łapankami na roboty do Niemiec. Młodzież w tym czasie nie miała możliwości nocować w domu, bo łapanki były przeprowadzane często i co więcej, za takie łapanki, za jedną głowę Niemcy płacili po 50 zł. Moja siostra opowiadała mi, jak miesiącami kryła się przed tymi łapankami, potem udało jej się opuścić Lubelszczyznę i przedrzeć się na Żywiecczyznę podczas wojny. Nie chcę tutaj opowiadać więcej szczegółów, bo można każdy dzień opisać. To była gehenna dziesiątków tysięcy ludzi z Żywiecczyzny. W naszej okolicy 19 tys. osób pozbawiono wszystkiego w ciągu piętnastu minut.

## W CIENIU HOLOCAUSTU

**Thomas Urban:** Jestem pod wielkim wrażeniem prezentowanej tu wystawy, jestem też pod wrażeniem słów księdza biskupa i pana profesora. Oczywiście są to rozdziały historii nienowe dla mnie, ale jednak robi to wielkie wrażenie, jeśli człowiek jest bezpośrednio konfrontowany z takimi zdjęciami czy z takimi wypowiedziami. Faktycznie, istnieje wielki problem w obecnych relacjach polsko-niemieckich,





Fot. ze zbiorów IPN (OKŚZpNP w Łodzi)

Po egzekucji w okolicach Łodzi

polegający na tym, że w Niemczech mało wiadomo o reżimie, o terrorze niemieckim w czasie okupacji. Faktem jest, że większość Niemców ma bardzo słabe wyobrażenie, jak wyglądała okupacja w Polsce, że tu był zupełnie inny reżim niż we Francji czy w Holandii. W pamięci zbiorowej Niemców, jeśli można używać takiego sformułowania, dominuje, jeśli chodzi o drugą wojnę światową i o Europę Wschodnią – Holocaust i wojna ze Związkiem Radzieckim. Los Polaków i reżim okupacyjny w Polsce stoi w cieniu tych dwóch kompleksów. Mogę zacytować prezydenta niemieckiego Herzoga, który dziewięć lat temu, kiedy został przez ówczesnego prezydenta Wałęsę zaproszony na obchody rocznicy Powstania Warszawskiego, powiedział w wywiadzie dla niemieckiego pisma „Stern”, że bardzo się cieszy, że jest wzruszony, iż prezydent Wałęsa zaprosił go na rocznicę powstania w getcie warszawskim. Co to znaczy? To nie była prosta pomyłka, ta pomyłka bardzo dużo pokazuje. Przede wszystkim potwierdza to, że świadomość niemiecka jest zdominowana przez pamięć o Holocaustie. I nie ma wątpliwości, tak ma być, bo to jest najczarniejsza strona w niemieckiej historii. W cieniu tego kontekstu historycznego stoi np. Powstanie Warszawskie. Analizowałem niedawno podręczniki szkół niemieckich,

co tam jest napisane o drugiej wojnie i o niemieckim reżimie okupacyjnym. To nie jest tak, że całkiem to jest przemilczane.

## ŚWIADOMOŚĆ NIEMCÓW

Jak wyjść z takiej sytuacji? Niemcy powinni wiedzieć, jak wygląda świadomość zbiorowa sąsiadów, czyli Polaków, którzy są ważnymi sąsiadami Niemców. Ja codziennie jestem z tym konfrontowany w mojej pracy korespondenta. W Niemczech bardzo mało ludzi interesuje się sprawami polskimi. Były prowadzone badania w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Lipskiego, z których wynika, że relacje o sytuacji w Polsce czyta 10–15 proc. Niemców. Akurat ci Niemcy mają, jak mówią socjologowie, bardzo wysoką kompetencję jako czytelnicy, są w ogóle dobrze poinformowani. Wśród tych czytelników są Niemcy, którzy kiedyś żyli na terenie na wschód od Odry i Nysy i mają sporo wiedzy o Polsce. Przeciętny członek Związku Wypędzonych wie więcej o Polsce niż przeciętny inny Niemiec, którego ta sprawa nie dotyczy.

Wobec koncepcji Eriki Steinbach w Niemczech są różne poglądy. Oczywiście nie ma jednolitej opinii, ogólnej opinii, jak to się obserwuje w Polsce. Ja w tym kontekście mam opinię być może na pierwszy rzut oka szokującą w Polsce, bo ja jestem zdania, że takie centrum może zaistnieć. Oczywiście nie w takiej formie, w jakiej zaproponowała Steinbach. Ale takie centrum może stworzyć stronie polskiej szansę pokazania Niemcom (i tu wracamy do tematu tej konferencji), jakie były i jak wyglądały wypędzenia Polaków. Stan obecny jest taki, że Niemcy mało wiedzą o tym, a powinni wiedzieć. Dlatego jestem zdania, że trzeba patrzeć, jakie są wspólne pola. Obecna sytuacja jest taka, że Polacy opowiadają sobie – i to spełnia ważną funkcję społeczną i psychologiczną – jakie były losy Polaków w czasie okupacji. W Niemczech obserwujemy teraz takie zjawisko, że Niemcy, duża część społeczeństwa, ale nie wszyscy, chcą rozmawiać o swoich ofiarach bombardowań, przesiedleń, wypędzeń i o kobietach gwałconych przez żołnierzy z Armii Czerwonej. Ale nie wynika z tego, że jest chęć fałszowania historii.

## MOST MIĘDZY MONOLOGAMI

W Niemczech dwa lata temu pokazywany był film dokumentalny, na którego podstawie opublikowano książkę *Ostatnie ofiary Hitlera. Wypędzeni*, która stała się bestsellerem. Tematem tego programu i książki było to, jak w Polsce mówi się krótko, że sami Niemcy zgotowali sobie ten los. To nie były ofiary Bieruta, Benesza, generała Zawadzkiego, Gomułki czy Stalina, to były ofiary Hitlera. Myślę, że w Niemczech jednak jest zgoda na to, że wypędzenie, przesiedlenie Niemców po wojnie było skutkiem wojny, którą rozpoczęli Niemcy. Dlatego hasło o fałszowaniu historii jest nie na miejscu, bo oprócz marginesu nacjonalistycznego, który niestety istnieje w Niemczech, jak w każdym kraju, nikt nie kwestionuje takiej interpretacji 1939 r. i wojny.



Fot. ze zbiorów IPN

#### Wysiedlenie ludności polskiej z powiatu Biłgoraj

Obserwuję zgodę w moim kraju na to, że Niemcy ponoszą odpowiedzialność za wojnę, i chociaż nie jest zadaniem dziennikarza obrona polityka, ja w tym momencie to robię. Erika Steinbach nie kwestionuje odpowiedzialności Niemców za wojnę i nie interpretuje roku 1939 inaczej, niż robią to historycy niemieccy i polscy. Myślę, że w tym punkcie nie ma takiej wielkiej różnicy w interpretacji, jak to często jest przedstawiane w debacie w Polsce. Jestem zdania, że strona polska powinna przynajmniej spróbować podjąć dialog i przedstawić to, co Polacy chcieliby pokazać Niemcom, a co mieści się w tym krótkim, jaskrawym hasle „wypędzenie”. Niemcy bardzo mało wiedzą o wypędzeniu Polaków z Zamojszczyzny itd. Niemcy nie wiedzą o Powstaniu Warszawskim, które też mieści się pod tym hasłem „wypędzenie”, bo, jak wiadomo, każdy Polak to wie, po Powstaniu Warszawskim ci, którzy nie zostali wzięci do obozów, zostali wypędzeni. Byłaby to więc także okazja, żeby opowiadać Niemcom o Powstaniu Warszawskim. Ja przygotowuję książkę o wypędzeniach i tam będzie rozdział o Powstaniu Warszawskim. Dlatego myślę, że obecna sytuacja wygląda tak – jest monolog na temat wypędzeń po stronie niemieckiej. Niemcy w bardzo niewielkim stopniu rozumieją czy akceptują argumenty strony polskiej. Jest też monolog po stronie polskiej. Polacy nawzajem opowiadają sobie o terrorze niemieckim. Ale trzeba szukać mostu między tymi dwoma monologami.

## POLSKIE ZANIEDBANIA

**Andrzej Friszke:** Chciałbym zwrócić uwagę na pewną rzecz, o której mówił też pan redaktor Urban w odniesieniu do naszych własnych dokonań i zaniechań w zakresie edukacji, nie tylko niemieckiego społeczeństwa (czym też powinniśmy się zajmować), ale naszego polskiego społeczeństwa. Tak się jakoś stało w ciągu ostatnich kilkunastu lat, że zainteresowania historyków publikacje poszły w zupełnie innych kierunkach. I to jest poniekąd zrozumiałe – w okresie PRL zajmowano się bardzo obficie zbrodniami niemieckimi w Polsce, warunkami okupacji niemieckiej w Polsce. Powstały na ten temat dziesiątki książek. Od końca lat osiemdziesiątych pojawiła się możliwość wnikliwszych badań nad zbrodniami sowieckimi, nad powojennymi zbrodniami komunistycznymi, i główny nurt historiografii podążył w tę stronę. Ukazało się wiele prac na te tematy. Tymczasem historycy, którzy zajmowali się okresem okupacji, zbrodniami niemieckimi odeszli na emeryturę, w zasadzie nie pozostawiając następców, którzy by się tym samym dalej zajmowali, a niektóre instytucje wręcz się przekwalifikowały i zajmują się czym innym. Efekt tego jest, powiedziałbym, dość dramatyczny.

Kiedy wybuchła sprawa Centrum Wypędzonych – w zasadzie próbujemy uruchomić rezerwy, żeby być w stanie podjąć dialog. Przed konferencją rozmawialiśmy o fundamentalnej pracy prof. Czesława Madajczyka o okupacji niemieckiej w Polsce, która wyszła w 1970 r. w niezbyt wielkim nakładzie. Ona jest dostępna badaczom, ale nigdzie nie można jej kupić. Nasza wiedza na temat wojny nie jest doskonała, delikatnie mówiąc, nowe prace nie powstają. Można mieć nadzieję, że efektem tej burzy wokół centrum będzie i to, że zostanie wyrównany front, czyli pojawią się badacze, którzy ponownie zajmą się problemami okupacji, z inną wrażliwością na różne konteksty, niż czyniono to czterdzieści lat temu, z większą wrażliwością na problemy, o których wtedy albo nie myślano, albo nie wolno było pisać.



## OBLICZANIE STRAT

Pamiętam, że kilka lat temu, przygotowując jakąś pracę dotyczącą spraw okupacji, zwróciłem się o pomoc do prof. Madajczyka. Okazało się, że szalenie trudno jest dokonać bilansu polskich strat w czasie okupacji. Badacze kwestionują wiele wskaźników cyfrowych przyjmowanych w okresie PRL dla opisanie różnorodnych represji podejmowanych w czasie okupacji. Wiele danych podawano w niezbyt precyzyjny sposób. Akurat problemu wypędzeń może to w tak wielkim stopniu nie dotyczyć, jak sprawy ofiar czy więźniów obozów koncentracyjnych. Nie jesteśmy w stanie doliczyć się, ilu było więźniów obozów koncentracyjnych. To był właśnie przedmiot mojej rozmowy z prof. Madajczykiem. Tak wielki badacz też w zasadzie był bezradny w oszacowaniu liczby ofiar, poza ogólnymi stwierdzeniami, że było to kilkaset tysięcy ludzi.



Fot. ze zbiorów IPN Poznań

Poznań. Dziecko zmuszone przez Niemców do noszenia ośmieszającej tablicy

W próbach tworzenia bilansu strat polskich najważniejszą chyba publikacją syntetyczną jest praca z 1994 r., w której zawarta jest dyskusja wielu wybitnych historyków, usiłujących policzyć polskie ofiary; w tym wypadku chodzi o ofiary bezpowrotne, czyli po prostu zabitych, zamordowanych. Chodzi mi o specjalny numer „Dziejów Najnowszych” z wypowiedziami prof. Czesława Łuczaka, prof. Krystyny Kerstenowej, prof. Mańkowskiego. Jak się w to dokładnie wczytamy, to z danych wynika, że liczby znane nam wszystkim z podręczników szkolnych: 6 mln ofiar ogólnie, 3 mln Żydów i 3 mln nie-Żydów, w świetle obecnej wiedzy chyba się nie bronią. Zginęło 2 mln Polaków etnicznych, to daje się wyliczyć, przy czym łącznie z okupacją sowiecką, ale straty poniesione z rąk sowieckich wynoszą najwyżej 300–400 tys. Znaczna większość ofiar bezpowrotnych, czyli śmiertelnych z czasów wojny, to są ofiary polskie, które poniosły śmierć z rąk niemieckich.



## ILU WYPĘDZONYCH

Ten wstęp był mi potrzebny po to, by zaznaczyć, że te liczby, które za chwilę podam, są wynikiem prób ostrożnego liczenia, żeby nie podawać liczb szokująco wielkich, ale nie mających oparcia w danych rzeczywistych. Liczby, które podam, zostały zaczerpnięte z pracy prof. Czesława Łuczaka, zmarłego niedawno wybitnego znawcy okupacji niemieckiej, zwłaszcza na ziemiach zachodnich, w Wielkopolsce, ale nie tylko. Mianowicie prof. Łuczak obliczał, że w okresie 1939–1944 w Kraju Warty Niemcy wysiedlili w sumie 630 tys. ludzi, Polaków, z których część trafiła do Generalnego Gubernatorstwa, mniej więcej na takich zasadach, jak opisywał to tutaj ks. bp Pieronek, zwykle przez jakieś obozy przejściowe i potem lokowanie kątem u kogoś. Część wywieziono na roboty do Niemiec i rozproszono w postaci robotników przymusowych w III Rzeszy. Ze Śląska wywieziono ok. 80 tys. ludzi, z Pomorza, według Łuczaka, 124 tys. Prof. Bogdan Chrzanowski, który całe życie zajmuje się badaniem okupacji na Pomorzu, pokazuje pewne rozbieżności co do liczb dotyczących tego terenu. Z okręgu białostockiego i ciechanowskiego to jest po 25–28 tys. Ziemie te zostały wcielone do Rzeszy. Łącznie, jeśli dodać do tego dzięki wysiedlenia na Pomorzu, Łuczak obliczał, że z ziem wcielonych do Rzeszy usunięto ponad 900 tys. osób, dokładnie 923 tys. Tylu ludzi w ciągu czterech lat zostało usuniętych z ziem, które miały zostać poddane silnej i szybkiej germanizacji. Na terenie GG największy obszar wysiedleń, stanowi ziemia, na której jesteśmy, stąd wysiedlono 116 tys. ludzi. Gigantycznym obszarem wysiedleń była Warszawa po Powstaniu Warszawskim. Obejmuje to ponad pół miliona ludzi wyrzuconych z miasta. Według obliczeń prof. Łuczaka wysiedlenia na całym terenie ziem polskich pod okupacją niemiecką objęły 1 mln 710 tys. osób. Niektóre dane mogą być w wyniku uściśleń obniżone, ale to nie będzie znaczące dla tego bilansu. To jest liczba gigantyczna.

Podczas tego spotkania się tym nie zajmujemy, ale trzeba mieć to w perspektywie – wysiedlenia na ziemiach wschodnich z roku 1940, wysiedlenia do Związku Sowieckiego. Różne liczby kiedyś podawano, obecnie przyjmuje się, w wyniku ustaleń przede wszystkim historyków rosyjskich, do 400 tys. osób wysiedlonych. To jest w sumie ponad dwa miliony ludzi brutalnie wyrzuconych z własnych domów, w bardzo szybkim tempie pozbawionych majątku. Mniej więcej wszędzie wysiedlenie wyglądało podobnie jak to, o czym mówił ksiądz biskup. Czasami trochę gorzej, czasami trochę lepiej.

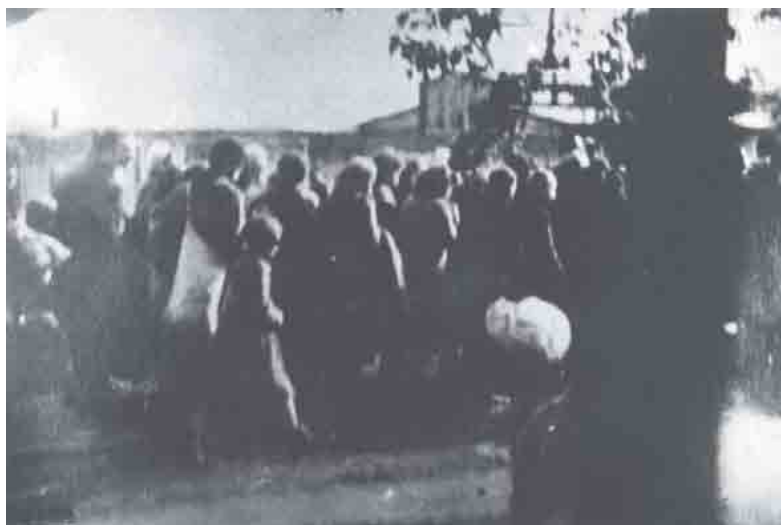
## INŻYNIERIA SPOŁECZNA

Wysiedlenia, wypędzenia, masowe przesiedlenia, to jest specyfika historii powszechnej głównie XX wieku. Początek tych wielkich akcji ma miejsce w czasie pierwszej wojny światowej. Intencje bywały różne w tym czasie, czasem bardzo złe, a czasem zmierzające do złagodzenia pewnych konfliktów. Pierwszy przypadek zmuszenia ludzi do opuszcze-





nia ich siedzib w czasie I wojny wiązała się z konfliktem turecko-ormiańskim. Turcy zamordowali wtedy blisko milion Ormian. Pierwsze wielkie ludobójstwo XX wieku stanowi zapowiedź tego, co się stanie podczas drugiej wojny światowej. Około pół miliona Ormian, w warunkach masakry, która się tam odbywała, ratowało się ucieczką. To jest pierwsze wielkie wysiedlenie dwudziestowieczne. Społeczność międzynarodowa, zmierzając do załagodzenia konfliktów etnicznych na sporych obszarach (głównie dotyczyło to obszaru dawnego państwa tureckiego) była gotowa zaakceptować zasadę wymiany ludności. W 1919 r. podpisano



Fot. ze zbiorów IPN

Wysiedleni w drodze na Majdanek

traktat, na mocy którego przeprowadzono wymianę ludności między Grecją a Bułgarią. W 1923 r. konwencja w Lozannie zdecydowała o wymianie ludności z terenów greckich i tureckich. Ta wymiana objęła, jak się oblicza, łącznie ze spontanicznymi ucieczkami, dwa miliony ludzi. To też była sytuacja gigantycznych przesunięć ludności.

Oczywiście te uwagi nie zmierzają do tego, żeby zrelatywizować tragizm wojennych wysiedleń. Pokazują drogę, na którą weszli Europejczycy, ale też pokazują, że wysiedlenia, których dokonywano w czasie drugiej wojny światowej, podporządkowane były jednemu celowi, tzn. oczyszczeniu etnicznemu ziem polskich pod kolonizację niemiecką i zmianie etnicznego charakteru tego kraju. Były zatem elementem wielkiej inżynierii społecznej.

## KTO WYSIEDLAŁ NIEMCÓW

Trzeba powiedzieć też słowo o wypędzeniach Niemców i o tym, co się działo w latach 1945–1947. Przede wszystkim należy podkreślić, że część tego gigantycznego procesu wypędzeń uruchomił sam Hitler w sposób całkowicie bezpośredni. Pierwsze wyjazdy Niemców odbywały się na

rozkaz konkretnych władz niemieckich i przy zorganizowaniu odpowiednich środków transportu. Ja w tej chwili boję się rzucać liczbami, ale dotyczy to i ludności Wrocławia, i wielu miast Prus Wschodnich. Te słynne statki bombardowane i torpedowane na Bałtyku przez Rosjan, które przewoziły ludność cywilną w ramach zorganizowanej niemieckiej akcji ewakuacyjnej. W Polsce mało się o tym wie.

Jeśli debata polsko-niemiecka będzie się toczyć w sposób mniej emocjonalny, pozwoli dowiedzieć się, co Hitler i jego kompani wymyślili, żeby tych wszystkich ludzi przed nadchodzącym frontem zabierać w gigantycznych ilościach na zachód. Przecież nie względy humanitarne o tym decydowały. Te ucieczki organizowane przez władze nazistowskie oraz ucieczki spontaniczne, będące wynikiem tej paniki, którą podsycano, objęły *de facto* większość ludności tego terenu. Większość tak zwanych wypędzonych (bo tak nazywają ich Niemcy) uszła, zanim nadszedł front i zanim przyszłość tych ziem została zdecydowana.

Decyzje o wysiedleniu Niemców z terenów, które zostały przyznane Polsce na mocy konferencji poczdamskiej, obejmują, jak oceniają historycy (te sprawy były dość pieczołowicie badane w ciągu ostatnich lat), około trzech milionów ludzi. Są to wysiedlenia, które zostały zaakceptowane przez społeczność międzynarodową – w postaci zwycięskich mocarstw, choć odbywały się za pełnym przyzwoleniem i akceptacją społeczeństwa polskiego. Nie było właściwie w tamtym czasie sprzeciwów wobec zasad wysiedlania Niemców z Polski, nikt się nie sprzeciwiał. Trudno sobie wyobrazić taki sprzeciw, jeżeli pamiętamy o tym, że zbrodnie niemieckie spowodowały u wielu ludzi poczucie krzywdy, a często i pragnienie odwetu. Taka sytuacja relatywizowała wszelkie możliwe zranienia strony przeciwnej, obwinianej o tak masowe zbrodnie. Przyzwolenie na wysiedlenie Niemców z Polski wynikało też z przekonania, bardzo silnego i słusznego, że gdyby tych wysiedleń nie dokonano, to współżycie tych dwóch narodowości na jednym terenie byłoby w zasadzie niemożliwe. Nie bardzo można sobie wyobrazić w pierwszych dwudziestu–trzydziestu powojennych latach, w kontekście pamięci drugiej wojny światowej, współżycie Niemców i Polaków na jednej ziemi.

Częstym zwyczajem na konferencjach IPN jest odwoływanie się do własnych wspomnień i świadectw, i ja to zrobię. Urodziłem się w Olsztynie. Tam mieszkałem do osiemnastego roku życia. Pamiętam ze swego dzieciństwa to niesłychane napięcie między Polakami a resztką pozostałej tam ludności. To nawet nie byli Niemcy, to właściwie byli Mazurzy, ale na ogół byli identyfikowani jako Niemcy. Niekiedy sami się uważali za Niemców. Zapamiętałem to wielkie napięcie między ludnością mówiącą po polsku i ludźmi, którzy posługiwali się niemieckim. Nie wyobrażam sobie w tamtych czasach funkcjonowania obok siebie takich społeczności w większej skali, na większych obszarach. Jest potrzebny upływ czasu, czas leczy wszystkie rany, nie powinien jednak prowadzić do zapomnienia, bo to jest bardzo niebezpieczne. Mam nadzieję, że tocząca się de-



bata przyczyni się w perspektywie przede wszystkim do ożywienia w nas samych pamięci o drugiej wojnie światowej i o popełnionych wówczas zbrodniach oraz umożliwi przeniesienie tej informacji i przyjęcie jej przez jakąś istotną część społeczeństwa niemieckiego.

## MIGRACJE NA LUBELSZCZYŹNIE

**Zygmunt Mańkowski:** Zakład Historii Najnowszej UMCS prowadził bardzo dokładne badania na temat tego, co się stało na Lubelszczyźnie w czasie drugiej wojny światowej. Janina Kiełboń napisała pracę doktorską, niedostrzeżoną przez historiografię, pod tytułem *Migracje ludności w dystrykcie lubelskim w latach 1939–1944*. Staraliśmy się pokazać, co się działo podczas okupacji w zakresie migracji ludności. Przedstawiliśmy państwu tylko wyniki naszych ustaleń. Osadzono około 5 tys. jeńców wojennych. Na Majdanek skierowano 250 tys. osób. Przesiedlono Żydów, Polaków, Niemców i Ukraińców – w sumie 878 tys. Jeśli chodzi o Żydów, to 600 tys. trafiło do Bełżca. Wywieziono 260 tys. Wewnątrz dystryktu przeniesiono 442 tys. Globalnie, według bardzo dokładnych badań Janiny Kiełboń, zmieniło miejsce pobytu w jednym tylko dystrykcie 1 mln 580 tys. osób, w tym 750 tys. mieszkańców województwa było przesiedlonych; 30 proc. przedwojennych mieszkańców. Mówi to wiele o gigantycznych transferach, migracjach, które przeszły przez to województwo. Było to dosyć typowe.

## DZIECI ZAMOJSZCZYŹNY

**Julian Grudzień:** Tak się złożyło, że kieruję związkiem, który w swoich szeregach skupia więźniów byłych obozów koncentracyjnych. Najliczniej-



Fot. ze zbiorów IPN

Badanie przez niemieckiego lekarza. Wysiedlenie z powiatu Biłgoraj

szym u nas środowiskiem są „dzieci Zamojszczyzny”. Chciałem serdecznie podziękować panu profesorowi Leonowi Kieresowi i IPN, że ta sesja, dyskusja odbywa się właśnie w Zamościu, że jest tu wystawa poświęcona dzieciom, traktująca o obozie w Łodzi. Wiele osób z Zamojszczyzny przeszło też przez ten obóz. Trzeba podziękować panu prof. Mańkowskiemu za słowa o charakterze wysiedlenia na Zamojszczyźnie. To trudno nazwać przesiedleniem. Ja doznałem tego na własnej osobie, byłem małym, czteroipółletnim dzieckiem i w zasadzie nie pamiętam tych spraw. Trudno to nazwać przesiedleniem, jeżeli wypędza się mieszkańców z ich domostw, zabiera się dobytek całego życia, tak że tracą wszystko na okres trzech, czterech, pięciu lat. Wracali w 1945 r. w swoje strony. Z wielkim szacunkiem dla słów wypowiedzianych przez księdza biskupa, nie mówiąc, że ktoś bardziej, ktoś mniej ucierpiał w tym okresie, chciałem tutaj podkreślić, że to co, się działo na Zamojszczyźnie, szczególnie w pierwszym rzucie wysiedleń, poczynszy od listopada 1942 r. i zimą, do lutego 1943 r., to była sprawa wręcz nie do opowiedzenia. Starsi ludzie pamiętają, mróz sięgał trzydziestu stopni i poniżej. I w takich warunkach rozpoczęły się transporty kolejowe z obozu zamojskiego (od 10 listopada 1942 r.) w okolice Siedlec. Niekiedy te pociągi po kilka dni turlały się po ziemi siedleckiej, zanim zabrano z nich dzieci i rodziny. Ale nie o tych cierpieniach chciałem mówić. Bardzo mi jakoś przykro, że z wypowiedzi wynikało, że Niemcy nie wiedzą, co zrobili Polakom, a w szczególności Zamojszczyźnie. Jest takie opracowanie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, na podstawie różnych dokumentów, wydane w czterech językach, w którym wyraźnie napisano, że takiego czegoś w okresie drugiej wojny światowej i okupacji hitlerowskiej, takiej masowości i takiego tragizmu, jaki miał miejsce na ziemi zamojskiej, nie było w całej Europie i na świecie. Tam mówi się o ludobójstwie i dzieciobójstwie. Te trzydzieści tysięcy dzieci o czymś mówi. Nieznana jest liczba dzieci, które zmieniły nazwisko i zostały wywiezione na ziemie niemieckie do III Rzeszy. Trudno to ustalić. Zamość jest miastem zaprzyjaźnionym z miastem niemieckim, przyjeżdżają tutaj i niemieccy uczeni i młodzież, wycieczki. W ubiegłym roku na Zamojszczyźnie był kręcony film o okresie wysiedleń i tragedii dzieci. Słyszałem, że ten film był pokazywany w telewizji niemieckiej.

Niemcy posiadają bardzo wiele dokumentów, między innymi w specjalnym archiwum, gromadzącym akta dotyczące więźniów obozów koncentracyjnych i obozów pracy, w Bad Arolsen. Ja otrzymałem stamtąd akt zgonu mojego ojca, który zginął w Oświęcimiu, z taką tłoczoną pieczęcią wydaną przez urząd miasta Bad Arolsen. Są dokumenty dotyczące liczby osób, które zginęły, które przebywały w więzieniach. Wiadomo, że udało się przeżyć nielicznym. Mnie się wydaje bardzo ważne to, że dzisiejsza dyskusja i wystawa odbywają się w Zamościu. Chciałbym zwrócić się z prośbą, żeby zostały opracowane materiały z tej dyskusji, żeby w końcu udowodnić stronie niemieckiej, jaki charakter miały wysiedlenia na terenie Zamojszczyzny, jaki charakter w stosunku do dzieci miał hitlerowski obóz u zbiegu ulic Piłsudskiego i Okrzei. Istotne jest postanowienie pol-

skiego Sądu Najwyższego z 1982 r., które mówi, że obóz zamojski uznaje się jako równorzędny obóz koncentracyjny dla dzieci do lat 14. Są wokół tego różne niedomówienia, różne niejasności. Jeżeli będziemy wspólnie nad tym pracować, to społeczeństwo niemieckie w końcu dowie się, co działo się w okresie okupacji w Polsce i na ziemi zamojskiej. Wiem, że nie znają tego młodzi ludzie i ci, którzy nie chcą nic o tym wiedzieć. Ja oprócz ojca straciłem trzech stryjków – rodzonych braci mojego ojca. Nie chcę mówić o tragediach tej wojny. Może kiedyś ktoś się o tym dowie w Niemczech. Teraz jest fundacja niemiecka dotycząca odszkodowań „Pamięć, odpowiedzialność, przyszłość” i Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie. Czy nie śmieszne wydaje się dla społeczności niemieckiej, żeby dziecku, które straciło w obozie Auschwitz oboje rodziców i od dzieciństwa jest sierotą, przyznać tysiąc marek odszkodowania? Nie chodzi o pieniądze, tylko o to, jak się do tej sprawy podchodzi.

**Thomas Urban:** Problem nie leży w publikacjach, bo są, również po niemiecku, publikacje o Zamościu, podobnie jak są publikacje o Powstaniu Warszawskim. Problem polega na tym, jak wpływać na to, żeby ludzie je czytali. To jest problem pedagogiczny, pedagogom w Polsce ten problem też nie jest obcy. To jedno. Co zaś dotyczy odszkodowań dla robotników przymusowych w Niemczech, to umowy o takich odszkodowaniach nie zostały zakwestionowane przez żadną partię w Polsce i istnieje ogólna zgoda na ten temat. Zawsze będzie pytanie o ich wysokość, ale społeczeństwo wie, że Niemcy mają ponosić za to odpowiedzialność.

## MILCZENIE O WOŁYNIU

**Teresa Radziszewska:** Ja również pochodzę z Zamojszczyzny. Mój dziadek w 1922 r. pojechał na Wołyń, tam kupił ziemię i tam przesiedliła się cała moja rodzina. W 1940 r. mieliśmy takie szczęście, że Sowietów nie wywieźli nas na Syberię. Rodzice mieli już przygotowane suchary. Potem wkroczyli Niemcy, wywozili na roboty do Niemiec. W 1943 r. Ukraińcy dokonali tego, co się zwie wypędzeniem czy rzezią. Ja zostałam sama. Zamordowali mi rodziców i rodzeństwo. Miałam wówczas 9 lat. Na temat tych mordów na Wołyniu nikt nie mówił i nie mówi się nadal. Ja uciekałam boso, w cienkiej sukience. Rodzice zginęli 4 września, brat miał 5 lat, siostra 3, najmłodszy braciszek półtora roku. Z mojej miejscowości 92 osoby zostały zamordowane przez Ukraińców. Otoczyli całą naszą kolonię. Mordowali siekierami, kłuli widłami, czym się dało, małe dzieci powrzucaли do studni. To były straszne rzeczy, to była tragedia, której się nie da opisać. Mam tutaj wspomnienia dzieci Wołynia, o których się nie mówi. Dzieci Zamojszczyzny, my im nie zazdrościmy, przeszły okropne rzeczy, wiadomo, ale dziś one mają jakieś przynajmniej symboliczne odszkodowania, a dzieci Wołynia nie mają nic. Nawet się o nich nie mówi. To jest okropne, bo to jest tak, jakbyśmy my nie byli dziećmi polskimi, jakby tam nie było Polski.



Nie wiem, dlaczego o tym się nie mówi. Sześćdziesiąta rocznica doprowadziła do tego, że świat dowiedział się wreszcie trochę o morderstwach dokonywanych na Wołyniu. Jest na rotundzie krypta pamięci Polaków pomordowanych na Wołyniu. Tam jest parę tysięcy nazwisk na tablicy zawieszanej przez osoby, które zostały wypędzone, uciekły stamtąd; bo trudno nazwać przesiedleniem to, że ludzie uciekali spod siekier i łopat Ukraińców.

## TRUDNA PAMIĘĆ

**Grzegorz Motyka:** Chciałem wrócić do tekstu Helgi Hirsch, który ukazał się w „Rzeczpospolitej”, a który poruszył mnie osobiście. Helga Hirsch powoływała się tam na losy młodego pokolenia Niemców, pośrednio dotkniętego wojną. Podawała przykład jednego z młodych Niemców, który dowiedział się, że jego dziadek był uwikłany w zbrodnie wojenne, i pisze, jak wielkim problemem dla tego młodego człowieka jest to, że nigdy wcześniej o tym nie dowiedział się od swojej rodziny, od babci. Podała też kilka innych przykładów dotyczących problemów młodych Niemców związanych z przeszłością. Ja jestem z Mazowsza, z terenów wcielonych do Rzeszy, w mojej rodzinie wspomnienia okupacyjne były bardzo często przywoływane. Mój dziadek zginął w obozie koncentracyjnym w Mauthausen-Gusen za przynależność do polskiej konspiracji. Dla mnie miejscem, do którego na pewno chciałbym kiedyś w życiu pojechać, jest właśnie Mauthausen-Gusen. Chciałbym to miejsce zobaczyć, ale w związku z tym nie potrafię zdobyć się na współczucie i pełne zrozumienie tego typu postawy i tego typu argumentacji. Powiem więcej, w tekście Helgi Hirsch poczułem, jakby mi próbowano powiedzieć, że ta moja pamięć wojenna nie jest ważna, że po stronie polskiej to dotyczy tylko pokolenia dziadków. Chciałem zadać wszystkim panelistom pytanie, jak pamiętać o tej wspólnej przeszłości, aby się nie zapamiętać po prostu, żeby ta przeszłość nie utrudniała nam przyszłości? Jak powinniśmy temu zaradzić, jeśli w ogóle jest jakaś odpowiedź na to pytanie?

## BEZ NIENAWIŚCI

**Zygmunt Mańkowski:** Politologia UMCS prowadziła badania dotyczące przeszłości – nie tylko tego, jak tę wysiedleńczą i osadniczą przeszłość zapamiętano, ale jak wpływa ona na odnoszenie się do Niemców. Powiedziałem już, że żal mi tych Niemców, których tutaj osiedlono, w liczbie 12 tys., którzy padli ofiarą tej manipulacji niemieckiej, tragicznej, bo przecież ich tutaj przeniesiono z różnych stron – to byli Niemcy nie tylko z Besarabii i Bukowiny, ale i wołżańscy, i spod Leningradu i nawet ze Słowenii, których sami Niemcy określili jako bardzo niebezpiecznych dla Niemców. Okazało się, że z biegiem lat poglądy jakoś złagodniały. W ankietach nie przejawiano jakiejś głębokiej nienawiści do Niemców, rozumiano, że minęło jedno i drugie pokolenie, że to, co się stało, jest tragiczne, ale że nie możemy się z nienawiścią odnosić do Niemców. Kiedy chodzę po



Zamojszczyźnie, to widzę, że te sprawy przestały być już tak gorące, palące, budzące nienawiść. Ludzie chcą jednak zrozumieć – dlaczego to się stało, kto jest temu winien. Tu, na tej sali, była taka dyskusja, kiedy mówiono, że to wszystko zrobił Hitler i niemiecka elita, ale sprzeciwili się temu historycy z całego świata. Uważano, że cały naród niemiecki jest winien temu, co się stało. Czas robi swoje, oddala się to wszystko. Jest jednak groźne ostrzeżenie – definicja ludobójstwa stworzona przez trybunał w Norymberdze. To jest bardzo groźna przestroga, że takie rzeczy mogą się powtórzyć. I dlatego ta wielka zbrodnia tutaj popełniona nie powinna być zapomniana.

## ZROZUMIEĆ DRUGICH

**Thomas Urban:** Ja też w końcu chciałbym powiedzieć parę słów osobistych. Znam opowieści wujków i ciotek mojej żony o tragedii na Wołyniu i na Kresach, bo moja żona jest z Wrocławia, a jej rodzina pochodzi z Kresów. Dlatego ja osobiście też dużo słyszałem o tych tragediach. Nie ma wątpliwości, że były one tolerowane i inspirowane, a być może nawet zorganizowane przez okupanta niemieckiego. Z drugiej strony moi rodzice są też z Wrocławia, z Breslau, więc ja czuję się w tych rozmowach o wypędzeniach trochę „pomiędzy”. Rozumiem, że to jest bardzo ważne. I nie chodzi o to, że są napisane książki o wszystkich rozdziałach wojny. Bardzo ważne jest to, żeby ci, którzy czują się pokrzywdzeni (subiektywnie po stronie niemieckiej też wielu ludzi czuje się pokrzywdzonymi, tak jak po stronie polskiej), mieli świadomość, iż druga strona wie o ich losie. Z opowiadań mojej matki, która teraz ma osiemdziesiąt lat, ja jako dziecko wiedziałem, że Niemcy musieli opuścić Dolny Śląsk. Ale też jako dziecko dowiedziałem się od moich rodziców, że ci Polacy, którzy tam teraz mieszkają, też niedobrowolnie tam przyszli, też zostali przesiedleni, wypędzeni itd. Obserwuję, że teraz większość starych ludzi, prawie wszyscy, dąży do wewnętrznej harmonii i do pojednania. Byłem w zeszłym roku ze swoją starą matką we Wrocławiu i ona wzruszyła się bardzo, oglądając, jak Polacy pięknie wszystko wyremontowali. Myślę, że my nie możemy zapominać, że najważniejsze jest, że istnieje dialog, i że każda strona musi go akceptować niezależnie od tego, że sprawcami i inicjatorami tej wojny byli Niemcy, bo tego nikt nie kwestionuje, że ważna w tym kontekście jest empatia dla drugiej strony.

## DZIEDZICZENIE PAMIĘCI

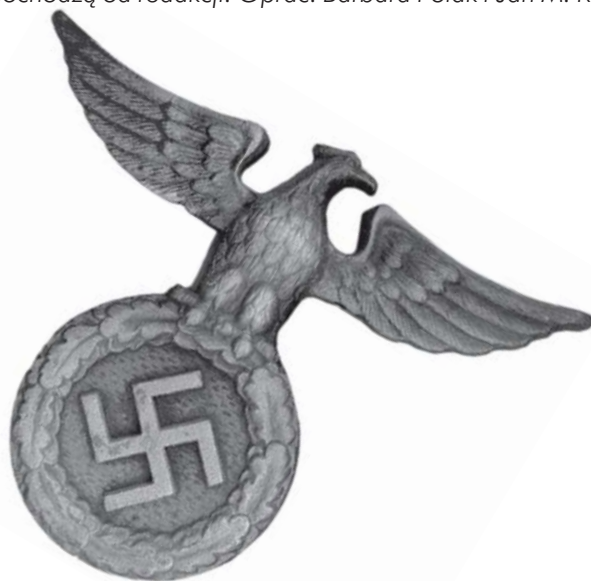
**Andrzej Friszke:** Tylko jedna uwaga do, jak rozumiem, krytyki tego wyliczenia, że pominąłem Wołyn. Oczywiście, państwo mają rację, że to też były wypędzenia, wysiedlenia i one by się nie odbyły, gdyby Niemcy nie dali na to przyzwolenia, ale ta liczba, którą ja wymieniałem, dotyczy wysiedleń zorganizowanych przez administrację i przeprowadzanych systematycznie według pewnego planu. Wołyn jednak jest czymś innym, to jest spowodowanie takiej sytuacji, że ludzie sami uciekają, dokonuje się masowy exodus, to w działaniach okupanta niemieckiego było coś



szczególnego, gdzie indziej tego nie zrobiono. Zwykle to były uporządkowane wysiedlenia, wieś po wsi, policja zajeżdżała i wysiedlała. Podane przeze mnie liczby dotyczyły tylko tego typu działań.

Przede wszystkim myślę, że trzeba pamiętać, bo brak pamięci jest rzeczą bardzo, bardzo złą. Pytanie: czy jest coś takiego jak dziedziczenie win? Ono się pojawia. Myślę, że nie ma czegoś takiego jak dziedziczenie win i w związku z tym następne pokolenia nie ponoszą odpowiedzialności za to, co złego robili ich rodzice czy dziadkowie. Natomiast oczywiście powinny pamiętać, że coś takiego było. Nie mogą się tego wyprzeć, nie mogą uznać, że to ich nie dotyczy, bo to ich dotyczy. Nie ma dziedziczenia win, jest dziedziczenie pamięci. Ta pamięć powinna być przestrożą, żeby się nie powtórzyły kolejny raz tak straszne tragedie. Często chyba dzieje się tak, że tragedie się powtarzają przez nieświadomość, przez brak pamięci, przez uznanie, że to, co robiono kiedyś, nie ma żadnego znaczenia. Myślę, i tu się godzę z panem redaktorem, że jest nam wszystkim potrzebna pewnego rodzaju empatia i spokój w rozważaniu tej przeszłości, bo pamięć nie powinna być sprzężona z uczuciem nienawiści czy takim ostrym zapamiętaniem, choć czasem jest to zrozumiałe, w przypadku gdy dotyczy to ludzi, którzy wspominają własne cierpienia. Ale gdy dotyczy to następnych pokoleń, to już nie jest to takie zrozumiałe i może być bardzo niebezpieczne. Należy próbować przeciwstawiać się takiemu zapamiętaniu i sianiu nienawiści. Trzeba dążyć do tego, by zrozumieć, że i Niemcy się zmienili, i Ukraińcy się zmienili; dążyć do empatii i budowania lepszego, wspólnego świata.

*Śródtytuły pochodzą od redakcji. Oprac. Barbara Polak i Jan M. Ruman*



# POWRÓT DO RUIN CZY REJS DO ZIEMI OBIECANEJ?

Z BOGDANEM CHRZANOWSKIM ROZMAWIA BARBARA POLAK

**B.P.** – W historycznych wnętrzach zamojskiego ratusza IPN zorganizował dyskusję dotyczącą problemu wypędzeń dokonywanych przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej na terenie podbitej i okupowanej Polski. Niejako w cieniu tych zagadnień znajdują się sprawy związane z powrotami wypędzonych do swoich domów, a przynajmniej do swoich utraconych małych ojczyzn, choćby na Pomorze. Dla historyków jest to może temat marginesowy, ale w ludzkich biografjach bardzo ważny.

**B.C.** – Wojenną i tuż powojenną specyfiką Trójmiasta, czy szerzej Pomorza Gdańskiego, było daleko idące zróżnicowanie zarówno scenariuszy wypędzeń, jak i scenariuszy powrotów. Powrót wysiedlonych mieszkańców Gdyni to było coś zupełnie innego niż w Gdańsku, w Gdyni wracali oni bowiem do swoich domostw. Niektórzy gdańszczanie też wracali na swoje, ale wśród przedwojennych mieszkańców Gdańska Polacy byli mniejszością. W zniszczonym Gdańsku (śródmieście w ponad 90 proc., inne dzielnice w 60 proc.) życie trzeba było budować od nowa. Taki właśnie zrujnowany Gdańsk wracał do Polski.

**B.P.** – Należy pamiętać, że o ile większość ludzi opuszczających np. Gdynię opuszczała to miasto pod przymusem w zorganizowanych transportach, o tyle ich powroty miały zupełnie inny charakter. Ludzie wracali różnymi sposobami i z bardzo różnych miejsc. Był to jednak powrót niezorganizowany, nie wynikał on z polityki państwa, w odróżnieniu od wygnania Polaków z Gdyni i Pomorza czy Wielkopolski, które były skutkiem zbrodniczej polityki Trzeciej Rzeszy.

**B.C.** – W 1939 r. Niemcy wysiedlali ludzi z Wielkopolski, z Pomorza i ze Śląska do Generalnego Gubernatorstwa (GG). Tworzyli tam skupiska wysiedlanych. Warto powiedzieć, że istniał pewien plan powrotów, i był to plan w pewnym sensie urzędowy. Pracowały nad nim struktury Polskiego Państwa Podziemnego i emigracyjne władze Rzeczypospolitej w Londynie. Na kanwie wspomnianych środowisk wysiedlonych z ziem zaanektowanych do Rzeszy, wiosną 1941 r. w Generalnym Gubernatorstwie utworzono Korpus Zachodni (KZ), w którego skład wchodził Polacy przesiedleni z Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Według istniejących od 1941 r. planów powstania powszechnego, Korpus miał wkroczyć na teren Wielkopolski i Pomorza. Przewidziany był do odtworzenia sił zbrojnych w tzw. drugim rzucie. Na terenie GG powstały liczne placówki KZ, m.in. w Warszawie, Krakowie, Lublinie, Częstochowie. Te plany nie zostały jednak zrealizowane, bo wydarzenia militarne i polityczne potoczyły się zupełnie inaczej.

Po wojnie ziemie zachodnie stały się miejscem schronienia dla wielu osób zagrożonych aresztowaniem ze strony sowieckich i polskich władz bezpieczeństwa. W tym celu, z polecenia szefa sztabu Komendy Obszaru Zachodniego Delegatury Sił Zbrojnych mjr. Kazimierza Leskiego, w końcu maja 1945 r. udał się na Pomorze Zachodnie, m.in. do Szczecina, Bolesław Jackiewicz, szef Biura Informacji i Propagandy tejże komendy, który miał tam budować bazy dla

przyszłych osiedleńców. Było to związane z tym, że w Polsce centralnej oddziały leśne tracily powoli rację bytu. Aby uniknąć represji w stosunku do żołnierzy, planowano ich przeniesić na nowe tereny, w tym właśnie Pomorza Zachodniego i Środkowego. Tutaj jeszcze NKWD czy Urzędy Bezpieczeństwa nie były tak mocno osadzone w terenie. Łatwiej było się ukryć, bo w jakimś sensie wszyscy byli obcy. Rozpoczynała się wielka powojenna wędrówka ludów.

**B.P. – Można powiedzieć, że fala osób powracających na Pomorze z wygnania w GG ginęła w większym nurcie owej wędrówki.**

**B.C. –** To była ogromna migracja ze wschodu i zachodu. Przyjeżdżali tu ludzie zewsząd, jak do Eldorado. To byli nie tylko Polacy, ale i Ukraińcy, Białorusini, trochę Żydów. Z obozów koncentracyjnych i z pracy przymusowej w Niemczech wracali na wschód tzw. dipisi (ang. *displaced persons*). Niektórzy z nich zatrzymywali się właśnie tutaj. Przybywali również ludzie z Polski centralnej, zwłaszcza ze zniszczonej Warszawy. To była też część masowego exodusu warszawiaków, którzy w Powstaniu Warszawskim stracili cały swój dobytek. Trójmiasto znalazło się również na szlaku ludzi opuszczających swoje ojczyste strony utracone przez Polskę na rzecz Związku Sowieckiego, czyli Kresy Północno-Wschodnie, a więc Wilno, Grodno, Lidę. Trafiali tu również ludzie ze Lwowa. Przybyszami ze wschodu zajmował się Państwowy Urząd Repatriacyjny.



Fot. ze zbiorów IPN

Defilada w dwudziątą rocznicę Odzyskania Niepodległości, Gdynia, 11 listopada 1938 r.

Wiatr od morza pociągał także ludzi z Mazur, z terenów Polski południowej czy południowo-wschodniej. Znam taki przypadek, że w wyniku spalenia wsi Temeszów, niedaleko Dynowa (na ten temat wśród miejscowej ludności krążą różne opinie, mówi się o Ukraińcach), jej mieszkańcy trafili na Pomorze Środkowe, konkretnie w Koszalińskie. Także Mierzeję Wiślaną: Stegnę, Sztutowo, zasiedlali m.in. ludzie z Kieleckiego i Lubelskiego. Napływ ludności był wzmacniany jeszcze komunistyczną propagandą. To zresztą dotyczyło wszystkich tzw. ziem

odzyskanych. Nie padało to w próżnię, jeszcze przed wojną wiele partii politycznych lansowało w swoim programie szerszy dostęp do morza niż ten, który zapewnił nam po pierwszej wojnie światowej traktat wersalski. Przybywali tu również żołnierze z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Propaganda komunistyczna zachęcała, żeby przyjeżdżać, wracać do Ojczyzny. Oczywiście nie informowano, jaki los ich tutaj czeka. Legalne władze polskie przebywające na wychodźstwie były temu przeciwnie, bo przewidywano, co tych ludzi może tutaj spotkać. Część z nich przybyła na m/s „Sobieski”, inni na pokładzie najsztywniejszego polskiego okrętu z czasów drugiej wojny światowej, niszczyciela ORP „Błyskawica”. Najpierw witano ich kwiatami, a później poddawano represjom, może nie wszystkich, ale znaczną część.

Oczywiście zawsze w takich przypadkach z niestabilizowanej sytuacji politycznej starały się korzystać osoby przypadkowe. Na ziemię zachodnie, a więc na Pomorze i do Trójmiasta, przyjeżdżali tzw. szabrownicy, którzy zamierzali się szybko wzbogacić, przywłaszczając sobie porzucone mienie, np. poniemieckie na obszarze byłego Wolnego Miasta Gdańska. Można powiedzieć, że przykład „szedł z góry”. Na oczach miejscowej i napływowej ludności dokonywała się eksploatacja gospodarcza, m.in. poprzez rabunek, dewastację, demontaż i wywożenie mienia przemysłowego do ZSRR. Takie przypadki miały miejsce niemal na całym Pomorzu. Do tego dochodziły deportacje ludności pomorskiej na wschód.

**B.P. – Powróćmy do sprawy zasiedlania przez powracających i nowych mieszkańców Trójmiasta. Dokąd oni właściwie przybywali? Historyczne centrum Gdańska zostało spalone przez Sowieców. Mniej zniszczone były takie dzielnice jak Oliwa czy Wrzeszcz. Właściwie ocalały Gdynia i Sopot.**

**B.C. –** Najpierw oczywiście zasiedlano ocalałe domy i mieszkania w lepiej zachowanych częściach budzącego się do życia Trójmiasta, w Gdańsku Oliwie, we Wrzeszczu. Także władze wielu urzędów, które nominalnie funkcjonowały w Gdańsku, swoje początkowe siedziby miały na jego obrzeżach, np. w Oliwie.

**B.P. – Wśród powracających do Gdyni znalazł się również budowniczy tego miasta – Eugeniusz Kwiatkowski. Jakie były jego losy?**

**B.C. –** Początkowo władze komunistyczne starały się stworzyć obraz „politycznego otwarcia” dla wszystkich kierunków politycznych. Do pracy w gospodarce morskiej angażowano ludzi z różnych środowisk tak przedwojennych, jak i Polskiego Państwa Podziemnego. Jako przykład może tutaj posłużyć postać ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego, który po pobycie za granicą, w lipcu 1945 r. powrócił do kraju. Mianowany delegatem rządu do spraw odbudowy Wybrzeża, przewodniczył jednocześnie Komisji Planu Rozbudowy Trójmiasta. Jednak ówczesna władza dość szybko pozbyła się tego wielkiego człowieka i znakomitego fachowca. Już w połowie 1948 r. otrzymał nakaz opuszczenia Gdyni i musiał wyjechać do Krakowa. Bardzo krótko prowadził wykłady w Szkole Nauk Politycznych przy Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1949 r. został odsunięty od pracy dydaktycznej. Później utrzymywał się z pisania podręczników z zakresu chemii. Odebrano mu również majątek – Owczary, który dopiero stosunkowo niedawno odzyskały jego córki. Podobnych przypadków szyskan, a nawet represji w stosunku do części kadry gospodarki morskiej, która powróciła na Wybrzeże, było więcej. Gospodarka ponosiła niepowetowaną stratę, gdyż ludzie ci byli świetnymi fachowcami pracującymi w swoich dziedzinach jeszcze przed wojną, a niektórzy z nich podczas okupacji związali się z komórkami



Gdynia – port w 1939 r.

zajmującymi się zagadnieniami morskimi w łonie Komendy Głównej AK (np. Wydział Marynarki Wojennej „Alfa”) i Delegatury Rządu RP na Kraj (np. Wydział Morski Departamentu Przemysłu i Handlu). Wymienić tu można mjr. rez. Jerzego Michalewskiego, kmdr. por. Konstantego Jacynicza, kmdr. Adriana Migurskiego, kmdr. Hilarego Sipowicza i innych.

#### **B.P. – Część nowych mieszkańców Pomorza to ludzie, którzy szukali tu schronienia.**

**B.C.** – Po akcji „Burza” przyjeżdżali tu ludzie uciekający przed represjami NKWD i UB. Na przykład członkowie oddziału Józefa Kurasia „Ognia”, uciekając z Podhala przed represjami UB, rozproszyli się po Trójmieście. Ale było też i odwrotnie – znam człowieka, który w 1946 r. uciekł z Gdańska przed NKWD i UB i zamieszkał w Karpaczu pod zmienionym nazwiskiem (prawdziwe ujawnił dopiero w 1956 r.). Ruchy migracyjne w obu kierunkach były wówczas zjawiskiem bardzo częstym. Różne były ludzkie motywacje i różne losy.

#### **B.P. – Nowa sytuacja społeczna Pomorza i Trójmiasta stworzyła szczególne warunki dla powojennej konspiracji antykomunistycznej.**

**B.C.** – Rzeczywiście powstała ciekawa sytuacja, jeśli chodzi o sprawę konspiracji, zwłaszcza tzw. poakowskiej. Działała tutaj organizacja „Nie” (Niepodległość), która zresztą szybko musiała zwinąć swoje żagle, następnie Delegatura Sił Zbrojnych, a później WIN. Przyjeżdżali do Trójmiasta ludzie z Polski centralnej, ponieważ uznawali, że mają tutaj szersze możliwości działania, bo nie są znani na tym terenie. Uciekali tu przed represjami UB, ale nie tylko – przez polskie porty prowadziła po prostu, tak jak w okresie drugiej wojny światowej, jedna z dróg komunikacji morskiej z Zachodem.

Działało tutaj również podziemie obozu narodowego. Powstał Okręg Pomorski Narodowego Zjednoczenia Wojskowego „Semper Fidelis”. Była np. bardzo silna kolonia członków i sympatyków Stronnictwa Narodowego w Sopocie, której działacze przybyli z Warszawy.



**B.P. – Najbardziej chyba znanym oddziałem powojennego podziemia zbrojnego działającym na Pomorzu była 5. Brygada Wileńska mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”.**

**B.C. –** Rzeczywiście większość żołnierzy tego doborowego oddziału (odpowiadającego liczebnością mniej więcej kompanii regularnego wojska) trafiła tutaj z Wileńszczyzny, za swoim charyzmatycznym dowódcą „Łupaszka”. Liczył on, że w swojej działalności znajdzie oparcie w innych przesiedleńcach z Kresów, a także w miejscowych patriotach. Nie bardzo to się udało. Mjr. Szendzielarz nie zawsze rozumiał specyfikę Pomorza, chociaż zdawał sobie sprawę, że teren ten nie nadaje się do prowadzenia akcji bojowych na szerszą skalę. Był to dla niego także i osobisty dramat, zaistniała bowiem konieczność rozwiązania oddziału i opuszczenia Pomorza. Dodatkową przyczyną były, niestety coraz bardziej skuteczne, działania operacyjne podejmowane przez resort Bezpieczeństwa Publicznego.

Generalnie partyzantki pomorskiej, zarówno antyniemieckiej, jak i antykomunistycznej, nie można porównać z tym, co było w GG, nie mówiąc już o Kresach Wschodnich. Trzeba pamiętać o trudnych warunkach terenowych, niesprzyjających tego typu działaniom. Tylko Bory Tucholskie były większym kompleksem leśnym, w którym partyzanci mogli znaleźć naturalne schronienie.

**B.P. – Jaki stosunek do Polski i polskiej walki o niepodległość w latach wojny i w latach powojennych mieli Kaszubi?**

**B.C. –** To są bardzo trudne sprawy. Trzeba pamiętać, że Kaszubi zamieszkiwali przed wojną po obydwu stronach granicy. Podczas jesieni 1939 r. (nazywanej „krwawą jesienią 1939 r.”) na całym Pomorzu zginęło około 40 tys. osób (dane są tutaj nieco rozbieżne), w tym wielu Kaszubów optujących za Polską. Najbardziej znane miejsca martyrologii z tego okresu to lasy w Piaśnicy, w Szpęgawsku czy las Barbarka. Już 2 września 1939 r. przywieziono pierwszy transport do budowanego obozu Stutthof. Istotnym elementem dezintegrującym społeczeństwo ziem zachodnich (a także północnych) była niemiecka lista narodowościowa, aczkolwiek sytuacja na poszczególnych obszarach kształtowała się w sposób zróżnicowany. W słynnym *Aufrufie* (odezwie) z 22 lutego 1942 r. namiestnik (Gauleiter) Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie – Albert Forster – groził, iż niewpisanie się na listę będzie uznane jako postawa wroga wobec narodu niemieckiego. Mieszkańcy Pomorza mieli żywo w pamięci rok 1939 i nikt nie mógł przewidzieć, że sytuacja ta się nie powtórzy. Stąd duży odsetek wpisywanych, zwłaszcza w północnych powiatach. Były też wioski, które masowo odmawiały składania tych deklaracji. Był to ogromny dramat ludności Pomorza dostrzegany przez czynniki kierownicze Polskiego Państwa Podziemnego (zarówno aparatu wojskowego, jak i cywilnego) już podczas okupacji. Efektem podpisania listy było wcielenie do wojska niemieckiego. Prowadzono walkę z językiem polskim (paradoksalnie, później przebywający po wojnie w polskim więzieniu Forster sam uczył się naszego języka!). Upraszczając: na ziemiach zachodnich, w tym na Pomorzu, nie wolno było być Polakiem. Jednak Pomorze podjęło walkę z niemiecką okupacją. Masowy udział w konspiracji antyhitlerowskiej umożliwił zorganizowanie struktur Polski Podziemnej i Polskiego Państwa Podziemnego. Pomorze wniosło więc istotny wkład w walkę z okupacją niemiecką, ponosząc przy tym ogromne straty ludnościowe.

**B.P. – A jaki był stosunek Kaszubów do instalującej się po wojnie „władzy ludowej”?**



Zniszczenia portu gdyńskiego w 1945 r.

**B.C.** – Społeczność kaszubska nie była jednorodna. Cezary Obracht-Prondzyński w książce *Kaszubi. Między dyskryminacją a regionalną podmiotowością* (Gdańsk 2002) postawę Kaszubów ujął w czterech zasadniczych kategoriach: strategia zaangażowania, strategia dystansu, strategia selektywnej akceptacji i strategia odrzucenia. Można powiedzieć, że w tych kategoriach mieści się cała kwintesencja postaw w stosunku do rzeczywistości, zwłaszcza powojennej. Tę nową rzeczywistość zamierzano tworzyć przez włączenie się w odbudowę kraju, zachowując jednocześnie dystans i nieufność, a nawet wrogość wobec systemu narzucanego z zewnątrz. Powodowane to było również zachowaniem się sowieckich władz okupacyjnych i rodzimych komunistów, w tym organów bezpieczeństwa publicznego. Tzw. grupy operacyjne PPR i późniejsze władze nie rozumiały specyfiki Pomorza i ludności kaszubskiej. Do tego dochodziły oskarżenia o wpisywanie się na niemiecką listę narodowościową. Część społeczeństwa pomorskiego podjęła walkę niepodległościową z nową okupacją. Powstawały tutaj struktury Delegatury Sił Zbrojnych, WiN oraz licznych organizacji o różnych orientacjach politycznych, nie zawsze zakładanych przez przybyszy z Polski centralnej. Jednak udział ten nie był może tak masowy jak w innych częściach kraju, co wcale nie oznaczało bezkrytycznego poparcia władz komunistycznych. Oddział mjr. „Łupaszki”, gdyby miał pełniejsze oparcie na Kaszubach, utrzymałby się znacznie dłużej. Ale nie było też jakiegś totalnej wobec niego wrogości. Po prostu ludzie byli już zmęczeni prawie sześciolletnią wojną i okupacją.

### **B.P. – Jak Kaszubi przyjmowali ludność napływającą na Wybrzeże?**

**B.C.** – Różnie. Tutejsza ludność jest bardzo nieufna. To jest ludność, która była gnębiona przez wieki i intensywnie poddawana brutalnemu procesowi germanizacji. Kaszubi do-

świadczyli naprawdę bardzo dużo tak od Niemców, jak i od Sowieców i generalnie są zamknięci w sobie, a wilniacy i lwowiacy pomimo wszystkich doświadczeń są ludźmi bardziej otwartymi. To są pewne różnice kulturowe. Była też kwestia folkslisty – przynależność ludności rodzimej do którejkolwiek jej grupy budziła w przybyszach nieufność, niekiedy traktowano Kaszubów jak Niemców. Kaszubi też nie zawsze przyjmowali przybyszów z otwartymi ramionami. Nawet w stanie wojennym kwestia niemieckiej listy narodowościowej stanowiła czasem element walki politycznej.

Jak wiadomo, nie tylko wśród Kaszubów, ale wśród całej ludności Pomorza byli ludzie, którzy się oparli przyjęciu folkslisty. Ale nawet wśród tych, którzy podpisali folkslistę, byli tacy, którzy pomagali Polakom, przekazywali informacje, bo mieli dostęp do radia. Wielu było bardzo czynnie i ofiarnie zaangażowanych w pracę konspiracyjną. Przykładowo jedna z bardziej zastraszonych łączniczek Komendy Okręgu Pomorskiego AK miała „grupę”, bo podpisali ją jej rodzice. Takich przypadków na Pomorzu zdarzało się wiele. Na tle wpisów pojawiły się pewne rozbieżności w aparacie Okręgowej Delegatury Rządu (ODR). Przyjęto tam zasadę, że pracownicy Wydziału Bezpieczeństwa ODR nie mogą wpisywać się na listę. Przypomnijmy raz jeszcze, że tu w czasie wojny nie wolno było być Polakiem. Tu nie było nawet tzw. prasy godzinowej. To był teren przeznaczony w pierwszej kolejności do germanizacji. Należy przy tym podkreślić, że wszelkie postawy, oceny i sądy ludności pomorskiej, w tym ludności kaszubskiej, nie mogą być uogólniane.

**B.P. – Niemniej w końcu stosunki między przybyszami i ludnością miejscową ułożyły się przynajmniej poprawnie, animozje może pozostały, ale wyrosły nowe pokolenia, dla których miejscem urodzenia jest Trójmiasto czy Pomorze, już są „tutejsi”.**

**B.C. –** Mimo istniejących do dziś pewnych odrębności kulturowych nie istnieją jakieś wyraźne antagonizmy. Przybyli tu różni ludzie, tworząc różne społeczności, również wyznaniowe. Ale najlepszym przykładem pogodzenia różnych losów, tradycji i historii jest wielki kult obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, której wizerunek wisi w gdańskiej katedrze. Symboliczne znaczenie mają też tablice poświęcone martyrologii i walkom Polaków na Wschodzie, które znajdują się w licznych kościołach Trójmiasta.



**Bogdan Chrzanowski** – ur. w 1950 r. w Gdyni, dr hab., historyk badający okupacyjne dzieje Pomorza, ze szczególnym uwzględnieniem Polskiej Podziemnej i Polskiego Państwa Podziemnego. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego (1973 r.), gdzie w 1979 r. uzyskał doktorat w zakresie nauk humanistycznych. W 1999 r. habilitował się na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Autor kilku książek, licznych artykułów i recenzji dotyczących ZWZ-AK, Związku Jaszczurczego, NSZ oraz „Miecza i Pługa”. Napisał m.in.: *Konspiracja Rządu RP na Pomorzu w latach 1939–1945*, Gdańsk 1992; *Związek Jaszczurczy i Narodowe Siły Zbrojne na Pomorzu 1939–1947*, Toruń 1997; *Miecz i Pług (Zjednoczone Organizacje Ruchu „Miecz i Pług”) na Pomorzu w latach okupacji niemieckiej 1939–1945*, Toruń 1997; *Wydział Marynarki Wojennej „Alfa” Komendy Głównej Armii Krajowej*, Toruń 2001 (współautor: A. Gąsiorowski). Pracownik naukowy Muzeum Stutthof i wykładowca w Gdańskiej Wyższej Szkole Humanistycznej.

# WYPĘDZENIA Z POMORZA

**Ostatnio – za sprawą tzw. wypędzonych – głośno było o wysiedleniach Niemców z terenów Polski po drugiej wojnie światowej. Związek Wypędzonych zdaje się nie pamiętać o tym, o czym pamiętać nie chce. Niniejszy artykuł stanowi próbę przedstawienia w ogólnych zarysach problematyki wysiedleń na obszarze ziem polskich, z których po aneksji do Rzeszy utworzono jednostkę administracyjną pod nazwą Okręg Rzeszy Gdańsk–Prusy Zachodnie (Reichsgau Danzig Westpreussen). Był to obszar Wolnego Miasta Gdańska, sześć powiatów z prowincji wschodniopruskiej (Elbląg-miasto, Elbląg-powiat, Malbork, Susz i Sztum) oraz większa część przedwojennego województwa pomorskiego wraz ze skrawkiem województwa warszawskiego. W skład Okręgu Rzeszy Gdańsk–Prusy Zachodnie utworzonego 26 października 1939 r. (na mocy dekretu Hitlera z 8 października 1939 r.) wchodziły trzy rejencje: gdańska, bydgoska i kwidzyńska.**

## Drang nach Osten

Geneza hitlerowskich planów zawładnięcia Europą Wschodnią ma swoje źródło w dążeniach Niemiec do rozszerzenia swych granic terytorialnych poprzez ekspansję na wschód, tzw. Drang nach Osten. Także Trzecia Rzesza domagała się zmian terytorialnych mających na celu oderwanie od Polski Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Urzędy mające na celu zgermanizowanie wschodu zaczęły powstawać i funkcjonować zasadniczo od 1939 r. Konkretnie zamierzenia w tej dziedzinie znalazły wyraz w dekreście Adolfa Hitlera z 7 października 1939 r. „O umocnieniu Niemczyzny”. Realizację ich powierzono nowo mianowanemu Komisarzowi ds. Umocnienia Niemczyzny Reichsführerowi SS – Heinrichowi Himmlerowi.

Dekret ten zawierał główne wytyczne: sprowadzenie do Rzeszy Niemców mieszkających poza granicami kraju, zlikwidowanie grup narodowych stanowiących „zagrożenie dla Rzeszy i jej mieszkańców” oraz utworzenie nowych niemieckich terenów osadniczych. Chodziło tutaj o tereny polskie zajęte przez Wehrmacht.

W ten sposób Hitler stworzył „prawną” postawę do rozpoczęcia akcji wysiedleńczych ludności polskiej, wywożenia jej do obozów koncentracyjnych oraz w niedalekiej przyszłości do tworzenia gett dla ludności żydowskiej.

## Umacnianie niemieckości

Na podstawie powyższego dekretu powołano Urząd Komisarza Rzeszy ds. Umocnienia Niemczyzny. Kierownikiem planowania tego urzędu został SS-Oberführer prof. Uniwersytetu Berlińskiego – Konrad Meyer-Hetling<sup>1</sup>.

Realizacja koncepcji „umacniania niemieckości” w duchu narodowosocjalistycznym dokonywana była przez stosowanie różnorodnych metod eksterminacji zarówno bezpośred-

<sup>1</sup> Szerzej: B. Chrzanowski, *Założenia polityki hitlerowskiej na terenach okupowanej Polski w świetle wydawnictw konspiracyjnych*, „Studia Historica Slavo-Germanica” 1986 (1989), t. XV, s. 231–242; *Okupacja i ruch oporu* [w:] *Dziennik Hansa Franka 1939–1945*, t. I, Warszawa 1972, s. 112–114.

niej, jak i pośredniej, w tym wysiedleń. Wybitny polski badacz tej problematyki Czesław Madajczyk zdefiniował termin „przesiedlenia hitlerowskie”, rozumiejąc przez to pojęcie wszelkie formy przymusowych wysiedleń ludności nieniemieckiej, a więc rugowanie lub wykwaterowywanie, niektóre formy ewakuacji, masowe i długotrwałe opuszczanie dotychczasowych miejsc zamieszkania, długotrwały zakaz powrotu, dobrowolną repatriację Niemców, udział w osadnictwie oraz przymusowe osiedlanie<sup>2</sup>.

## Polityka przesiedleń

Polityka przesiedleńcza Trzeciej Rzeszy kształtowała się więc wokół kilku punktów: 1) zagadnień ogólnopolitycznych i rasowych; 2) przesłanek policyjno-wojskowych związanych z potrzebami wojennymi; 3) koncepcji na okres powojenny.

Koncepcje ogólnopolityczne i rasowe wynikały z dążeń do utworzenia jednego zwartego obszaru etnicznego, czyli tzw. Wielkich Niemiec. Do tego doszła idea „przestrzeni życiowej” (*Lebensraum*). Występowały również przesłanki rasowe, sprowadzające się do „konieczności usunięcia elementów małowartościowych” i repatriacji Niemców etnicznych. Rzucano hasło: „Utraciecie kraj rodzinny po to, by odzyskać ojczyznę”<sup>3</sup>. Dlatego też rozpoczęto wysiedlenia Polaków z ziem zachodnich do Polski centralnej, a stamtąd przesiedlano ludność niemiecką do Rzeszy.

Koncepcje policyjno-wojskowe dotyczyły wysiedleń w przypadku tworzenia poligonów dla Wehrmachtu i SS lub budowy obiektów wojskowych<sup>4</sup>.

Jednym z dokumentów charakteryzujących politykę władz niemieckich wobec narodu polskiego był memoriał dr. Erharda Wetza i Günthera Hechta – pracowników Głównego Urzędu NSDAP dla Spraw Polityki Rasowej. Nosił on datę 25 listopada 1939 r. i był zatytułowany *Sprawa traktowania ludności byłych polskich obszarów z rasowo-politycznego punktu widzenia*. Memoriał składał się z trzech części. Część pierwsza dotyczyła zarysu historycznego Polski, jej struktury demograficznej itp. W drugiej rozpatrywano zagadnienia traktowania ludności na terenach zaanektowanych do Rzeszy. Część trzecią poświęcono omówieniu problemów związanych z ludnością polską na pozostałych obszarach. Plan ten zakładał całkowitą likwidację polskiego życia gospodarczego, kulturalnego, wysiedlenie ludności nienadającej się do zniemczenia oraz osiedlenie na ziemiach zaanektowanych osadników z Rzeszy i innych krajów. Także w Generalnym Gubernatorstwie wszelkie dziedziny życia niezbędne do rozwoju narodu polskiego miały ulec drastycznym ograniczeniom. W planie tym znalazły się też sugestie co do losu ludności żydowskiej.

W styczniu 1940 r. ukazał się następny memoriał *Podstawy prawne niemieckiej polityki wobec Polski, według narodowosocjalistycznego punktu widzenia*, a wiosną tego roku K. Meyer-Hetling opracował *Założenia kształtujące politykę przesiedleńczą i osadniczą w byłej Polsce*. Plan Meyera-Hetlinga składał się z trzech części: „A”, „B” i „C”. W części „A” zawarto uwagi dotyczące dalszej ekspansji Niemiec na wschód Europy. Z kolei część „B” dotyczyła sprawy germanizacji ziem zaanektowanych do Rzeszy. Rozważano tam zastosowanie środków niezbędnych do szybkiego zgermanizowania tych terenów. Planowano zakończenie osadnictwa na wsi w ciągu pięciu lat, a w miastach w ciągu dziesięciu lat<sup>5</sup>.

<sup>2</sup> Zob. C. Madajczyk, *Faszyzm i okupacje 1938–1945*, Poznań 1984, t. II, s. 257.

<sup>3</sup> Cyt. za *ibidem*, s. 260.

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 264–265.

<sup>5</sup> Por. E. Serwański, *Wielkopolska w cieniu swastyki*, Poznań 1970, s. 64–66; K.M. Pospieszalski, *Hitlerowskie „prawo” okupacyjne w Polsce. Wybór dokumentów*, cz. 1. *Ziemia „wcielone”*, Poznań 1952, s. 1–28; *Program narodowościowy Rassenpolitischen AMT-u z 1939 roku na ziemiach polskich*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich” (dalej: „BGKBN”) 1948, t. IV.

Natomiast 15 maja 1940 r. Himmler przygotował dokument *Kilka uwag o traktowaniu obco-plemieńców na Wschodzie*, zawierający wytyczne w stosunku do narodu polskiego oraz narodów, które bądź już znalazły się pod władzą Niemiec, bądź miały się w przyszłości pod nią znaleźć<sup>6</sup>.

W 1941 r. zaczęto przygotowywać plany pod kątem przyszłej kolonizacji terenów leżących na wschód od Niemiec. Plany te powstały zarówno w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, jak i w Urzędzie Komisarza Rzeszy ds. Umacniania Niemczyzny. Założenia kolonizacji obszarów wschodnich nazwano Generalnym Planem Wschodnim (Generalplan Ost – GPO). Plan ten nie zachował się i znany jest z dyskusji, jaka toczyła się wokół niego w 1941 i 1942 r. Generalny Plan Wschodni miał „uporządkować” problemy narodów słowiańskich według koncepcji narodowosocjalistycznych. Himmler jednak uważał, że wszelkie plany należy zsynchronizować w jedną całość (Gesamtsiedlungsplan – GSP) z wcześniejszymi przygotowaniami dla terenów Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie, tzw. Kraju Warty, Górnego Śląska, części Prus Wschodnich (rejencji ciechanowskiej) oraz obszarów Francji. W Głównym Urzędzie Rzeszy powstała też koncepcja utworzenia tzw. wałów osadniczych (*Wehrwall*), zamieszkanymi przez chłopów – dawnych żołnierzy niemieckich. Pierwszy zamierzano zorganizować w Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie, następnie w Poznańskim, Łódzkim, na Śląsku i w rejencji ciechanowskiej. Uznano, że „to są terytoria, które teraz będą systematycznie zasiedlane, aby stopniowo wyprzeć z nich element polski”<sup>7</sup>.

Na przełomie 1942 i 1943 r. rozpoczęto prace nad kolejnymi wersjami Generalnego Planu Wschodniego. W tym czasie, co jest znamienne, przypada największe nasilenie eksterminacji na ziemiach polskich, w tym likwidacja ludności żydowskiej.

## Wysiedleńcze eksperymenty

Obszar Polski stanowił więc pole do szerokich eksperymentów polityki wysiedleńczej. Jak już wspomniano, w pierwszym rzucie germanizacji podlegały terytoria zaanektowane, w tym Pomorze. Jeszcze w maju 1942 r. Hitler w rozmowie z namiestnikiem Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie Albertem Forsterem uznawał, że na Pomorzu proces ten ma zostać zakończony w ciągu dziesięciu lat. Natomiast Generalne Gubernatorstwo początkowo miało odegrać rolę „przytułka” dla przesiedlanej ludności polskiej. Jednak ani Hitler, ani Himmler nie porzucili myśli wysiedlenia Polaków i osiedlenia tam ludności niemieckiej. Jedną z pierwszych prób była akcja wysiedleńcza przeprowadzona na Zamojszczyźnie na przełomie lat 1942–1943<sup>8</sup>.

Podczas okupacji nie znano oczywiście wszystkich planów hitlerowskich. Jednakże poszczególne organizacje Polski Podziemnej i wojskowo-cywilne pionierzy Polskiego Państwa Podziemnego (ZWZ-AK, Delegatura Rządu RP na Kraj) prawidłowo oceniały decyzje okupanta

<sup>6</sup> Zob. *Dziennik Hansa Franka...*, t. I, s. 288–290.

<sup>7</sup> Cyt. za C. Madajczyk, *Generalna Gubernia w planach hitlerowskich. Studia*, Warszawa 1961, s. 104. Zob. także: K.M. Pospieszalski, *Hitlerowska polemika z »Generalplan Ost« Reichsführera SS, »Przegląd Zachodni» 1958, nr 3, s. 347–369; W sprawie generalnego planu wschodniego, »BGKBZN» 1949, t. V, s. 209–242; C. Madajczyk, *Generalplan Ost, »Przegląd Zachodni» 1961, nr 3, s. 66–103; idem, Generalna Gubernia...*, s. 95–105; idem, *Cele wojenne III Rzeszy na Wschodzie [w:] Wschodnia ekspansja w Europie Środkowej. Zbiór studiów nad tzw. niemieckim »Drang nach Osten«*, red. G. Labuda, Poznań 1963, s. 235–258; C. Madajczyk, *Faszyzm...*, t. I, t. II; idem, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, Warszawa 1970, t. I, t. II, *passim*.*

<sup>8</sup> C. Łuczak, *Polityka ludnościowa i ekonomiczna hitlerowskich Niemiec w okupowanej Polsce*, Poznań 1979, s. 22–36; idem, *Polityka ekonomiczna Trzeciej Rzeszy w latach drugiej wojny światowej*, Poznań 1982, s. 78–79.



niemieckiego i sowieckiego. I tak np. w styczniu 1941 r. „Biuletyn Informacyjny” (organ centralny ZWZ-AK) pisał: „»Drang nach Osten« – parcie niemczyzny na wschód – trwa nieprzerwanie od margrabiego Gerona, poprzez Krzyżaków, Fryderyka Wielkiego i Bismarcka do Adolfa Hitlera. Dopiero jednak obecnie władcy Niemiec potrafili dla tego odwiecznego dążenia znaleźć formułę jaskrawą w swej prostocie: Niemcom potrzebny jest zamieszkały przez Polaków obszar życiowy (*Lebensraum*) – Polaków zatem usunąć trzeba. Aby wykonać to zadanie, użyto środków tak gwałtownych i okrutnych, że słynne niegdyś »rugi« bismarckowskie wydają się wobec nich dziecinną zabawką. Historia nowoczesna nie zna przykładu podobnego barbarzyństwa”<sup>9</sup>. Podziemne publikacje wielokrotnie przypominały społeczeństwu polskiemu dzieje ekspansjonistycznych dążeń Niemiec. W pełni zdawano sobie sprawę, że hitleryzm dąży do podboju innych narodów, a następnie do ich wyniszczenia. Na podkreślenie zasługuje fakt, że już podczas okupacji rozróżniano dwutorowość polityki eksterminacyjnej polegającej na unicestwianiu biologicznym (eksterminacja bezpośrednia) oraz odpowiednich decyzjach natury ekonomicznej, zmierzających do jak najdalej idącej eksploatacji ekonomicznej ziem polskich i ich ostatecznego zgermanizowania. W pojęciu tym mieściła się też polityka wysiedleńcza i osadnicza. W 1944 r. „Biuletyn Informacyjny” podawał: „Szef policji niemieckiej Himmler stoi na czele całej akcji zarówno osadniczej, jak i wysiedleńczej. Gestapo składa listy kandydatów i przeprowadza samo wysiedlenie. Pomaga mu w tym wojsko, SS oraz Selbstschutz (ochrona własna) i Hilfspolizei (policja pomocnicza), formacje o charakterze milicyjnym złożone z Volksdeutschwów. Nakazy wysiedlenia wydają miejscowe władze: burmistrz – w mieście, Landrat – na wsi”<sup>10</sup>.

### Etapy eksterminacji

Tereny Pomorza już w pierwszych godzinach wojny stały się miejscem egzekucji ludności polskiej. Akcja eksterminacyjna przebiegała tutaj w kilku fazach. Okres pierwszy trwał zasadniczo przez cały wrzesień 1939 r. Wówczas główną rolę w dokonywaniu zbrodni odgrywał Wehrmacht oraz grupy operacyjne policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa (*Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienst*). Faza następną trwała od końca września 1939 do stycznia 1940 r. Tym razem czołowym realizatorem programu eksterminacji stały się tzw. oddziały samoobrony – organizacji paramilitarnej *Selbstschutz*. Nastąpiło wówczas największe nasilenie egzekucji. Kolejny okres to lato 1940 – jesień 1944, kiedy to liczba masowych rozstrzeliwań znacznie zmalała. Teraz eksterminację bezpośrednią zastąpiły różnorodne formy eksterminacji pośredniej. Wprawdzie dochodziło do egzekucji kilku- lub kilkunastoosobowych grup, głównie za pośrednictwem tzw. wymiaru sprawiedliwości, lecz nie w takich rozmiarach jak w okresie 1939–1940. Od jesieni 1944 r. do pierwszych miesięcy 1945 r. terror okupacyjny nasilił się ponownie. Egzekucje miały teraz charakter bardziej odwetowy, co było związane ze wzmożoną działalnością pomorskiej konspiracji, ewakuacją więźniów i obozów oraz tzw. oczyszczaniem zaplecza wobec zbliżającego się frontu.

### Etapy wysiedleń

Wysiedlenia z ziem zachodnich, a więc i z Pomorza, przebiegały w dwóch fazach. Pierwsza to tzw. wysiedlenia dzikie, przeprowadzane z polecenia władz lokalnych, bez zgody centralnych urzędów administracji Rzeszy, trwające mniej więcej do połowy (lub do końca)

<sup>9</sup> „Biuletyn Informacyjny”, 16 I 1941 r.

<sup>10</sup> *Ibidem*.

listopada 1939 r. Faza druga to już akcje planowe, dokonywane na skalę masową przy zaangażowaniu urzędów administracji centralnej w początkach 1940 r.<sup>11</sup>

Pierwsze migracje ludności Pomorza podczas drugiej wojny światowej rozpoczęły się już we wrześniu 1939 r. Wielu Polaków, chroniąc się przed nadchodzącą armią niemiecką, opuszczało swoje miejsca zamieszkania, udając się w głąb kraju. Uchodźcy z ziem zachodnich i północnych zapoczątkowali masowe przesiedlenia z Pomorza, Wielkopolski i Śląska. 21 września 1939 r. na konferencji odbytej w Berlinie u szefa policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa Reinharda Heydricha nakazano dowódcom grup operacyjnych przesiedlenie ludności żydowskiej do Polski centralnej. Z kolei 11 października 1939 r. – po uzgodnieniu z Hitlerem – Himmler, już jako Komisarz Rzeszy dla Umocnienia Niemczyzny, upoważnił policję bezpieczeństwa i służbę bezpieczeństwa do rozpoczęcia wysiedleń ludności polskiej i żydowskiej z Gdańska, Gdyni i Poznania. Niezależnie od tych zaleceń trwały już wysiedlenia Żydów i Polaków. Nie czekano bowiem na wytyczne z Berlina, które docierały na Pomorze z pewnym opóźnieniem. Lokalne władze wzywały ludność polską do opuszczenia miejsca zamieszkania w ciągu 24 godzin. Otaczano całe dzielnice miast kordonami wojska i policji, a następnie usuwano ich mieszkańców. Zezwalamo na zabranie jedynie niezbędnej odzieży i żywności. Niektórzy zostali usunięci z własnych domostw na wniosek miejscowych Niemców, chcących zagarnąć nieruchomości Polaków. Akcje wysiedleńcze na Wybrzeżu Gdańskim, w powiecie bydgoskim Poznaniu czy Kaliszu stanowiły wstęp do przygotowań tych terenów dla nowych osadników – Niemców bałtyckich. Z kolei wysiedlenia z Gdyni wiązały się z decyzją osadzenia w tym mieście, ważnym dla morskiego przemysłu wojennego, jak największej liczby Niemców<sup>12</sup>.

### **Prawzór wysiedleń**

Jedną z pierwszych akcji wysiedleńczych stanowiły wydarzenia na początku października 1939 r. w Gdyni Orłowie. W swojej kronice Ludwik Landau zanotował pod datą 14 grudnia 1939 r.: „Otrzymałem też dziś sprawozdanie o prawzorze akcji wysiedleńczych: o wysiedlaniu ludności polskiej z Gdyni [...]. Pierwszym punktem objętym tą akcją było Orłowo. O godz. 5.30 rano jednego z pierwszych dni października polecono grupie wybitniejszych mieszkańców przygotowanie ludności do ewakuacji na godz. 6. Istotnie o tej porze zajęte były auta z megafonami, z których dawano polecenia, przesuwając termin do godz. 9. O tej porze cała ludność miała się zebrać w określonym punkcie, zabierano wszystkich bez względu na wiek, stan zdrowia itd., była rodzina, która udała się w tę drogę z trumienką dziecka. Zabierać wolno było tylko ręczny bagaż, pieniędzy nie więcej niż 20 zł; przechodzono przez wielokrotne rewizje, przy których zabierano nie tylko pieniądze, ale i kosztowności, zdzierając np. pierścionki z palca. Wysiedlonych umieszczono przejściowo w obozach (w Chyloni i in.)<sup>13</sup>, po czym wsadzano do pociągów ewakuacyjnych, oddzielnie mężczyzn, oddzielnie kobiety z dziećmi. Za Orłowem poszedł Kack<sup>14</sup>, po którym były trzy dni przerwy, potem Wzgórze

<sup>11</sup> C. Łuczak, *Polityka ludnościowa...*, s. 117 i n.

<sup>12</sup> *Ibidem*. Zob. także: B. Chrzanowski, *Główne założenia hitlerowskiej polityki germanizacyjnej [w:] Wysiedlenia Polaków z Gdyni w latach 1939–1945 przez okupanta niemieckiego, materiały z sesji zorganizowanej przez Stowarzyszenie Gdynian Wysiedlonych, Muzeum Miasta Gdyni i Oddział Gdański IPN dn. 2 XII 2003 r., s. 8–21; A. Gąsiorowski, *Wysiedlanie z ziem zachodnich Rzeczypospolitej w okresie okupacji niemieckiej (ze szczególnym uwzględnieniem Pomorza) [w:] ibidem, s. 24–50.**

<sup>13</sup> Dzielnica Gdyni.

<sup>14</sup> Dzielnica Gdyni.

# Ogłoszenie

1. Dla bezpieczeństwa policyjnego ludność polska opuści w najbliższym czasie miasto Gøtenhaven, o ile nie posiada pozwolenia na pobyt ze strony policji bezpieczeństwa lub Prezidenta Policji. Osoby te otrzymały specjalne wykazy.

Odrębne wnioski o zezwolenie na pobyt są hezcelowe.

2. W najbliższych dniach istnieje możliwość dobrowolnego powrotu do innych obszarów polskich. Ze strony administracji wojskowej zestawia się zatem w krótkim czasie pociągi transportowe:

a) **W kierunku do Częstochowy—Kielec**

b) **W kierunku do Siedlec**

c) **W kierunku do Lublina**

3. Każda osoba może na podróż zabierać ze sobą pakunek ręczny o wadze nie ponad 25 kg. Ponadto istnieje dla każdej osoby możliwość nadania pakunku o wadze nie przewyższającej 50 kg. Pakunek nadawczy nie przedstawiający walizki itp., należy dobrze zasznurować i w każdym wypadku zaopatrzyć w sztyld właściciela.

4. Podróż pociągiem jest bezpłatna.

5. Na pierwsze 36 godzin należy zabrać ze sobą środki żywnościowe. Po przybyciu pociągów przewozowych na miejsce przeznaczenia ludność zostanie zaopatrzona przez władze wojskową.

6. Pomieszczenie na stacji końcowej jest przygotowane.

7. Zabieranie ze sobą mebli i zwierząt żyjących jest wzbronione.

8. Przy opuszczeniu mieszkania wszystkie klucze należy pozostawić w drzwiach.

9. Zgłoszenia do podróży pociągami przewozowymi ~~—o wyznaczeniu~~ nastąpić w kompetentnych posterunkach policyjnych przy podaniu ~~adresu~~ i pociągu. Posterunki policyjne wydają numerowane bilety, zawierające ilość osób i miejsce przeznaczenia i uprawniające do wzięcia udziału w podróży.

10. Dzień i czas odjazdu specjalnych pociągów ogłosi się przez wywieszenie plakatów. Do używania specjalnego pociągu przewozowego uprawnione są wyłącznie osoby posiadające bilety z numerami, podanymi na plakatach.

Gøtenhaven, dnia 15. października 1939r.

**Prezydent Policji**

Focha, Grabówek, Witomino, Obłuże<sup>15</sup>, a dalej poszczególne ulice właściwego miasta. Przeprowadzaniu przymusowej ewakuacji z tych dzielnic towarzyszyło wzywianie do dobrowolnego emigrowania z pozostałych części, na co dawano przepustki do każdego wskazanego punktu, także po drugiej stronie kordonu (np. do Lwowa i nawet Kijowa). Ludność częściowo korzystała z tych przepustek, częściowo, chcąc jeszcze dłużej pozostać w Gdyni, na wieść o wysiedleniu zapowiedzianym w jednej dzielnicy, przenosiła się z walizkami, tobojami itd. do znajomych czy krewnych w innej części. 25 X zjawiło się obwieszczenie zatytułowane »Ostatnia odezwa«, wzywające resztę ludności do najrychlejszego opuszczenia miasta. Mój sprawozdawca wtedy właśnie opuścił Gdynię, w której było już wtedy tylko niewiele ludności. Emigrujący indywidualnie rozproszyli się po kraju; wysiedlani przymusowo wywożeni byli do czterech punktów: do Częstochowy, Kielc, Siedlec i Lublina. Z tych punktów przenoszono ich do okolicznych gmin, powierzając wójtom i sołtysom, którzy ich rozdzielali po domach, oczywiście nie będąc w możności dania im jakiegokolwiek możności utrzymania się<sup>16</sup>.

Przypuszczalnie na podstawie tego samego źródła opis wysiedleń w Gdyni zamieściło wydawnictwo Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu RP na Kraj pt. *Z pierwszej linii frontu*, red. K. M. Pospieszalski, Warszawa, w marcu 1943 r., s. 145: „Pierwszą ofiarą niemieckiej akcji wysiedleńczej padło wybrzeże polskie, a szczególnie Gdynia. W Orłowie, przedmieściu kąpielowym Gdyni, pojawiły się w dniu 10 X 1939 r. o godz. 7 rano czerwone afisze, wzywające ludność polską, by co do jednego o godz. 9-tej opuściła pod karą śmierci swe domy, zabierając ze sobą tylko najkonieczniejsze przedmioty osobiste, i oczekiwała dalszych rozkazów na ulicy do dworca prowadzącej. W następstwie na ulicy stanęło kilka tys. ludzi, z których jedną część odprowadzono pod bagnetami policji do sąsiedniego przedmieścia Witomino, a drugą do dalszego przedmieścia Chylonia i tam rozmieszczono w domach robotników i gospodarzy aż do odjazdu kolejją. Około 20 X rozpoczęły się pierwsze przymusowe transporty wysiedleńców do Polski Centralnej. W wielu wypadkach matkom nie pozwolono zabierać ciepłych rzeczy dla dzieci. Niebawem nastąpiło wysiedlanie mieszkańców innych dzielnic Gdyni. Ucisk władz stawał się coraz nieznośniejszy. Polskich pieniędzy urzędowo nie przyjmowano, a na zamianę ich na walutę niemiecką nie pozwolono Polakom. Wysiedleńcom nie było wolno zabierać więcej niż 50 złotych. Około 30 tys. mieszkańców jeszcze w 1939 r. wywieziono z Gdyni. Tak było początkowo. W drugiej fazie było już gorzej. Niewygodny pobyt w barakach. Długie oczekiwanie na wywózkę. Niepewność losu. Ciężkie warunki życia. I stąd nowa fala. „Wędrowni Ludów”. Wędrowni ta stała się od tego czasu aż po dzień dzisiejszy czymś nieodłącznym w życiu polskiego narodu. Popłynęły z Gdyni fale uchodźców, którzy na dworcu spotykali spóźnionych obywateli wracających dopiero z ewakuacji. Co za sceny! Dramaty!”

O wysiedleniach na Pomorzu pisały również wydawnictwa Polski Podziemnej. Przykładowo w styczniu 1941 r. „Biuletyn Informacyjny” podawał: „Wysiedlanie rozpoczęło się już we wrześniu 1939 r. Na pierwszy ogień poszła Gdynia, za nią – w październiku Poznań, Bydgoszcz i inne miasta Wielkopolski i Pomorza oraz wielka własność ziemska. Wysiedlono nasamprzód inteligencję miejską i ziemian, właścicieli fabryk i warsztatów. Podobnie jak przy aresztowaniach i rozstrzeliwaniach starano się wydalac z Generalnej Guberni jed-

<sup>15</sup> Wzgórze Focha – południowa część Gdyni, obecnie Wzgórze Św. Maksymiliana. Natomiast Grabówek, Witomino i Obłuże są dzielnicami Gdyni.

<sup>16</sup> L. Landau, *Kronika wojny i okupacji*, t. I, Warszawa 1962, s. 134–135. O wysiedleniach z ziem zachodnich, w tym z Pomorza, L. Landau wspominał kilkakrotnie. Zob. np. *ibidem*, s. 126, 142–143, 181 i n.

nostki wybitniejsze i bardziej wpływowe [...]. W listopadzie po represjach masowych zabrano się do wysiedlania z miasteczek. W zimie przyszła kolej na zamożne chłopstwo”<sup>17</sup>.

### Przesiedlenia i osadnictwo

Wobec niechęci Forstera do osadzania na Pomorzu Niemców bałtyckich (Baltendeutschów) Himmler 26 października 1939 r. zdecydował się na zawieszenie wysiedleń z terenów zachodnich, chociaż nie przerwano ich automatycznie. I tak w dniach 22–26 listopada 1939 r. wysiedlono około 8 tys. Polaków z powiatu gdańskiego, kościerskiego, a w początkach grudnia – około 3,5 tys. Polaków i Żydów z Gdańska i Sopotu<sup>18</sup>.

Według niepełnych danych do końca listopada 1939 r. z ziem zachodnich wysiedlono do Generalnego Gubernatorstwa od 30 tys. do 40 tys. osób, w tym kilka tysięcy z Gdyni (niekiedy podawana jest liczba 50 tys. z samej Gdyni, w tym 12 tys. wysiedlonych i 38 tys. opuszczających swoje miejsce zamieszkania „dobrowolnie”; nie jest wykluczone, że zarówno te dane, jak i inne podane w artykule ulegną zmianie wobec prowadzonych badań historycznych)<sup>19</sup>.

Na temat zasięgu i kierunków wysiedleń dyskusje w kierowniczych kręgach Trzeciej Rzeszy toczyły się w czasie trwających tzw. wysiedleń dzikich. 30 października 1939 r. rozporządzeniem wykonawczym do dekretu Hitlera z 7 października tr. O umocnieniu niemieczyny wyznaczono kryteria wysiedleń z Pomorza. W pierwszym rządzie objęły one ludność napływową, czyli urodzoną poza terenem dawnego zaboru pruskiego, oraz ludność żydowską. W kolejnym rozporządzeniu z 3 listopada 1939 r. Himmler zezwolił na dalsze przesiedlenia w Poznańskim i na Pomorzu, wiążąc je z osadnictwem Niemców z Litwy, Łotwy i Estonii. Uznał, że dzięki wysiedleniu części mieszkańców Gdyni proces zmian ludnościowych będzie przebiegał bez zakłóceń. Dodatkowym ułatwieniem była dogodna komunikacja morską pomiędzy Gdynią a krajami nadbałtyckimi<sup>20</sup>.

### Zaplanowane wypędzenia

W kilka dni później, 8 listopada 1939 r., podczas narady w Krakowie Wyższych Dowódców SS i Policji: Generalnego Gubernatorstwa, Prus Wschodnich, Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie i Okręgu Śląskiego, uzgodniono stronę techniczną planowanych wysiedleń. Ludność polska i żydowska miała zostać przesiedlona do Generalnego Gubernatorstwa transportem kolejowym. Z terenów tych zamierzano wysiedlić około miliona osób. Termin rozpoczęcia akcji wyznaczono na połowę listopada 1939 r.<sup>21</sup> W związku z powyższymi ustaleniami Wyższy Dowódca SS i Policji w Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie SS-Gruppenführer Richard Hildebrandt 15 listopada 1939 r. zwołał naradę z udziałem pomorskich władz lokalnych. Ustalono szczegóły polityki wysiedleńczej, a więc kwestii wysiedleń z obszarów zarezerwowanych dla wojska, przyjęcia Baltendeutschów i wysiedlenia 400 tys. Polaków i Żydów. Uznano, że na Pomorze może przybyć jedynie ograniczona liczba Niemców z państw bałtyckich. W pierwszej

<sup>17</sup> „Biuletyn Informacyjny”, 16 I 1941 r. Zob. także: *Polska Gdynia – Gotenhafen*, „Walka”, 1 XI 1941 r., nr 4.

<sup>18</sup> Przed wojną Sopot wchodził w skład obszaru Wolnego Miasta Gdańska. Zob. J. Sziling, *W Rzeszy – czym była niemiecka okupacja na Pomorzu* [w:] *Polskie Państwo Podziemne na Pomorzu 1939–1945*, red. G. Górski przy współpracy K. Minczykowskiej, Toruń 1999, s. 29.

<sup>19</sup> Por. W. Jastrzębski, J. Sziling, *Okupacja hitlerowska na Pomorzu w latach 1939–1945*, Gdańsk 1979, s. 145 i n.; C. Łuczak, *Polityka ludnościowa...*, s. 117 i n.

<sup>20</sup> W. Jastrzębski, J. Sziling, *op. cit.*, s. 144–146; W. Jastrzębski, *Hitlerowskie wysiedlenia z ziem polskich wcielonych do Rzeszy w latach 1939–1945*, Poznań 1968, s. 21.

<sup>21</sup> W. Jastrzębski, J. Sziling, *op. cit.*, s. 146–147.



kolejności planowano usunięcie Polaków z południowej części Pomorza z racji dużych skupisk ludności polskiej w tych rejonach, a także rodzin zamordowanych we wrześniu–październiku 1939 r. Generalnie chodziło o usunięcie tzw. elementów stanowiących zagrożenie dla Trzeciej Rzeszy, w tym osób mogących prowadzić działalność niepodległościową<sup>22</sup>.

Drugi etap, tym razem wysiedleń planowych, rozpoczął się więc formalnie w drugiej połowie listopada 1939 r., w praktyce jednak – w początkach 1940 r. Akcję wysiedleńczą miał ułatwić spis ludności przeprowadzony między 3 a 6 grudnia 1939 r., a także powołanie w marcu 1940 r. komisji badającej zażalenia o niesłuszne wysiedlenie i uznanie składającego skargę za folksdojczą. Problem odpowiedniej kwalifikacji, w myśl ustawodawstwa niemieckiego, miał znaleźć rozstrzygnięcie we wprowadzanej w latach 1941–1942 niemieckiej liście narodowościowej. Jak wiadomo, namiestnik Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie, A. Forster, dążył do zgermanizowania jak największej liczby ludności zamieszkującej Pomorze.

Wysiedlenia przeprowadzono przy pomocy policji ochronnej (Schutzpolizei – Schupo), żandarmerii oraz gestapo. Ludność polska – nieinformowana wcześniej, często budzona w nocy lub nad ranem – musiała w ciągu 10–30 minut ubrać się, spakować, zabrać ręczny bagaż (od 25 do 30 kg – osoba dorosła i 10 kg – dziecko) oraz niewielką kwotę pieniędzy. Wysiedleńców lokowano w tzw. punktach zbiorczych, a później w obozach przesiedleńczych, np. w Toruniu, Smukale czy w Potulicach. Tam często konfiskowano i tak niemal mikroskopijny bagaż<sup>23</sup>.

Kolejne wysiedlenia rozpoczęły się w Bydgoszczy, skąd 4 i 6 maja 1940 r. ewakuowano 1431 osób. W tym samym czasie podobne akcje przeprowadzono w Gdańsku, Gdyni, Rumi, Wejherowie, Tczewie, Grudziądzu, Toruniu i Chełmży (w ostatnich dwóch miastach wyrzucono z domów około tysiąca Polaków). W sumie wysiedlono wówczas 736 osób, które zostały skierowane do Lublina.

We wrześniu i październiku 1940 r. przystąpiono do dalszej realizacji planów wysiedleńczych. Z Bydgoszczy wydalono 1,7 tys. osób, a z Gdyni – około 22 tys. Wysiedlenia objęły też inne miasta pomorskie. Oblicza się, że w okresie tzw. wysiedleń planowych Pomorze opuściło – do 15 listopada 1940 r. – 30 758 osób<sup>24</sup>.

## Do wysiedleń i do germanizacji

W celu skorygowania akcji wysiedleńczej 15 listopada 1940 r. utworzono w Gdańsku Centralę Przesiedleńczą (Umwanderezentralstelle). Centrala przeprowadzała odpowiednią kwalifikację osób przeznaczonych do wysiedlenia i zgermanizowania oraz przygotowywała miejsca zamieszkania dla przyszłych osadników niemieckich.

<sup>22</sup> Zob. *ibidem*, s. 147; W. Jastrzębski, *Hitlerowskie wysiedlenia...*, s. 50–92; zob. także raporty bydgoskiego Einsatzkommando z września 1939 r., gdzie zwracano uwagę na „niebezpieczeństwo” tworzenia konspiracji i stawianie oporu ze strony inteligencji, w tym Kościoła katolickiego. Por. IPN – KŚZpNP w Warszawie, Najwyższy Trybunał Narodowy, sygn. 170, 208.

<sup>23</sup> C. Łuczak, *Polityka ludnościowa...*, s. 117–120.

<sup>24</sup> Por. W. Jastrzębski, J. Sziling, *op. cit.*, s. 149; J. Sziling, *W Rzeszy...*, s. 29; *Dzieje Gdyni*, red. R. Wapiński, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1980, s. 222–225; *Zarys dziejów Rumi*, red. J. Banach, Toruń 1994, s. 173–177; Z. Malczewski, *Wejherowo i powiat morski, wrzesień 1939 – maj 1945 (Kronika)*, Gdańsk 1981, s. 56–59; *Lipusz-Dziemiiany*, red. J. Borzyszkowski, Gdańsk 1994; *Historia Tczewa*, red. W. Długokęcki, Tczew 1998; *Historia Wejherowa*, red. J. Borzyszkowski, Wejherowo 1998. Na temat literatury dotyczącej okupacji niemieckiej na Pomorzu do 2000 r. zob. B. Chranowski, *Badania nad okupacją Pomorza ze szczególnym uwzględnieniem Kaszub [w:] Badania Kaszuboznawcze w XX wieku. Materiały pokonferencyjne*, red. J. Borzyszkowski i C. Obracht-Prondzyński, Gdańsk 2001, s. 198–221.





Fot. ze zbiorów IPN

Żołnierze niemieccy zrywają godło polskie na siedzibie Komisariatu Rządu w Gdyni. Podpis, z propagandowej gazety niemieckiej, informuje, że robi się to „überall in den alten deutschen Städten” (wszędzie w starych niemieckich miastach – sic!). Gdynia w czasach niemieckiego zaboru była niewielką wioską kaszubską, w której można było zobaczyć stadka kóz i suszące się sieci. Miastem stała się w Rzeczypospolitej pod koniec lat 20.



Bilet w jedną stronę dla Polaka wypędzonego z Gdyni

Ze zbiorów Stowarzyszenia Gdynian Wysiedlonych

Ocenia się, że od połowy listopada 1940 r. do 15 marca 1941 r., tj. do zamknięcia granicy Generalnego Gubernatorstwa dla transportów wysiedleńczych, co miało związek z przygotowaniem do wojny z ZSRR, wysiedlono do Polski centralnej ponad 10 504 Polaków i 381 Żydów<sup>25</sup>. Wydarzenia te zostały odnotowane w prasie podziemnej. W kwietniu 1941 r. organ Delegatury Rządu RP na Kraj „Rzeczpospolita Polska” pisał: „Podjęte ponownie zimą i prowadzone w bestialski sposób wysiedlenie z ziem zachodnich trwa nadal. Przybiera ono w ostatnich czasach masowy charakter. O masowym charakterze tej nowej akcji świadczy okólnik gen[eralnego] gubernatora z dn. 17 stycznia 1941 r. rozestany do gubernatorów i starostów, w którym zawiadamia, że od 1 lutego do 1 maja przybywać będą z ziem zachodnich dwa pociągi dziennie z wysiedleńcami po tysiąc osób każdy. Okólnik zawiera bardzo szczegółowe zarządzenia, dotyczące zakwaterowania, wyżywienia i zatrudnienia wysiedlonych”<sup>26</sup>. O wysiedleniach na Pomorzu pisał też „Biuletyn Informacyjny”: „Nasilenie wysiedleń z Ziemi Zachodnich dotknęło w ostatnich tygodniach nie notowane dotąd masy ludności. Ogromne, wielopociągowe transporty przybywają do Generalnej Guberni z [...] Bydgoszczy, Torunia, Włocławka, Grudziądz, Tczewa [...]. Dzięki sposobom stosowanym w czasie wysiedleń pozostają bez zmian. Przeważnie nocą, około 20 minut czasu na opuszczenie domu, tylko z węzłkami [...], odłączenie zdrowych i młodych z natychmiastowym przeznaczeniem na roboty do Rzeszy”<sup>27</sup>. W innym numerze, z marca 1941 r., to samo pismo zamieściło szerszy opis akcji wysiedleńczych „Z różnych stron Pomorza, Wielkopolski, Kujaw i okolic Łodzi nie przestają napływać wiadomości o coraz nowych masowych wysiedleniach Polaków, które ostatnio objęły głównie chłopów. Rugi obejmują całe wsie. Tysiące rodzin chłopskich, doszczętnie ograbionych, pędzi się na punkty zbrojne. Na punktach tych oddziela się mężczyzn – kierowanych do Rzeszy na roboty, od pozostałych członków rodziny, których wywozi się do Generalnej Guberni”<sup>28</sup>.

W tym samym czasie gazetka podziemna „Akcja”, przedstawiając wysiedlenia w południowych rejonach Pomorza, wspominała też o obozie przesiedleńczym w Potulicach, pisząc, że Niemcy rozpoczęli: „na Pomorzu nową falę wysiedleń z Bydgoszczy, Torunia, Grudziądz, Włocławka, Płocka i szeregu innych miast. W Bydgoszczy w ciągu 3 dni od 19–21 lutego br. wysiedlono od 2–3 tys. osób. Między pierwszą a szóstą w nocy zajeżdżają przed dom samochody i w ciągu kilku minut Polacy muszą opuścić mieszkanie. Niektórym nie pozwolono nic ze sobą zabrać. Aresztowano przeważnie całymi rodzinami, ale bywały wypadki, że zabierano tylko żonę i dzieci, a męża – jako zatrudnionego w jakimś niemieckim przedsiębiorstwie – pozostawiono na miejscu. Nie pozostawiono nawet obłożnie chorych i niedołążnych starców. Wysiedlonych gromadzono zrazu w szkole świętojańskiej, skąd następnie wywożono koleją do Nakła, a z Nakła pędzono pieszo 9 km do zamku w Potulicach, gdzie mieściło się seminarium duchowne. W Potulicach trzymano ich przez trzy dni bez wyżywienia i wody, twierdząc, że każdy powinien być zabrać ze sobą żywność. Tutaj następnie obrabowano wszystkich w wszelkich cennych przedmiotów, jak z pieniędzy, biżuterii, lepszych części odzieży, bielizny i pościeli. Następnie posortowano wysiedlonych na grupy: młodzież zabrano do Niemiec, a starszych i dzieci wysłano do Guberni”<sup>29</sup>. Przedstawienie powyższych faktów w prasie podziemnej ma duże znaczenie dla prowadzonych badań historycznych, ponieważ okres ten nie jest dotychczas szerzej znany.

<sup>25</sup> W. Jastrzębski, J. Sziling, *op. cit.*, s. 151–152; W. Jastrzębski, *Hitlerowskie wysiedlenia...*, s. 81.

<sup>26</sup> Zob. *Wysiedlenia z ziem zachodnich*, „Rzeczpospolita Polska”, 5 IV 1941 r., nr 2, s. 11.

<sup>27</sup> „Biuletyn Informacyjny”, 16 I 1941, s. 3–4.

<sup>28</sup> *Ibidem*, 20 III 1941 r.

<sup>29</sup> „Akcja”, 8 III 1941 r., nr 8, s. 7.

## Obozy przesiedleńcze

W związku ze wspomnianymi już przygotowaniem do wojny ze Związkiem Radzieckim, w marcu 1941 r. zawieszono wysiedlenia do Generalnego Gubernatorstwa i rozpoczęto tzw. wysiedlenia wewnętrzne w ramach Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. W ten sposób od kwietnia 1941 r. do końca 1942 r. przesiedlono 18 815 osób<sup>30</sup>.

Jak wiadomo, usunięta ze swoich mieszkań ludność kierowana była do obozów zbiorczych. Początkowo były to obozy internowania, potem stały obozy zbiorcze podporządkowane 3 lutego 1941 r. Centrali Przesiedleńczej, a od maja 1941 r. – obozy przesiedleńcze. Najbardziej znane to: obóz w Toruniu na terenie dawnej fabryki smalcu (tzw. smalcówka lub szmalcówka), obóz w Potulicach, obóz na terenie dawnej fabryki maszyn „Arkona” w Tczewie i w Smukale. Dokonywano tam selekcji osób nadających się do zniemczenia lub kierowano je do Generalnego Gubernatorstwa, do innych obozów, względnie do prac rolnych w gospodarstwach niemieckich czy prac w przemyśle wojennym w Rzeszy. Obozy te spełniały również funkcje eksterminacyjne.

Obóz przesiedleńczy w Toruniu utworzony został w lutym 1940 r. Przeważający procent stanowili wysiedleńcy z Pomorza oraz osoby odmawiające podpisania folklisty. Przebywało tam około 2,5 tys. osób. Więźniowie, wśród których znajdowały się dzieci, kobiety i starcy, spali na cementowych podłogach, pokrytych cienką warstwą zgnitej słomy. W dokumentach Delegatury Rządu RP na Kraj znajduje się następująca wzmianka o tym obozie: „Spójrzmy do wnętrza tej smalcowni, a zobaczymy tu ludzi wychudzonych, w łachmanach, podobnych raczej do widm niż do żywych istot, obojętnych na wszystko. Są oni ciasno stłoczeni na jednej sali wszyscy razem, tj. mężczyźni, kobiety, młode dziewczęta, dzieci, starcy, młodzieńcy. O godz. 19-tej zamyka się ich w sali, nie pozwalając wyjść na podwórze fabryki, a do wnętrza wstawia się kubły do potrzeb fizjologicznych. Z rana pędzi się tych ludzi pod uzbrojonym konwojem policyjnym, zaopatrzonym w wytresowane psy gończe, do robót, a dzieci pozostawione są tam same [...]”<sup>31</sup>. Epidemia tyfusu, złe warunki sanitarne, głód i brutalne traktowanie powodowały wysoką śmiertelność. Obóz zlikwidowano w czerwcu 1943 r.<sup>32</sup>

Obóz w Smukale utworzono we wrześniu 1941 r. Usytuowany został na terenie przedwojennej fabryki „Karbide Wielkopolski” i podlegał Centrali Przesiedleńczej w Gdańsku. Przeciętnie przebywało tam od ponad 1,4 do 1,6 tys. więźniów. Teren obozu otoczono siatką i pilnie strzeżono. Przybyłych poddawano selekcji. Zdolnych do pracy, w wieku od 14 do 60 lat, używano do prac przymusowych. Niemowlęta otrzymywały raz w tygodniu filiżankę chudego mleka. Zimą 1942 r. wybuchła tam epidemia tyfusu. Obóz zlikwidowano w lutym 1943 r. Bardzo złą opinię miał obóz przesiedleńczy w Potulicach. W latach 1941–1945 liczba więzionych wynosiła około 25 tys. ludzi. Od października 1941 do stycznia 1942 r. obóz ten podporządkowany był komendantowi Stutthofu. Od września 1942 r. stał się centralnym obozem przesiedleńczym na Pomorzu, pełniąc jednocześnie funkcje obozu pracy. W lutym 1943 r. przejął on więźniów ze Smukaty, a w czerwcu tr. – ze „szmalcówki”. O obozie tym dość szeroko informowały gazetki konspiracyjne, poświęcając mu więcej miejsca niż obozowi Stutthof. W lecie 1943 r. pismo „Ziemie Zachodnie Rzeczypospolitej” (dodatek do centralnego organu Delegatury Rządu, którym była „Rzeczpo-

<sup>30</sup> W. Jastrzębski, J. Sziling, *op. cit.*, s. 153–154; W. Jastrzębski, *Hitlerowskie wysiedlenia...*, s. 90.

<sup>31</sup> Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), Akta Delegatury Rządu RP na Kraj (dalej: Akta DR), sygn. 202/III/7, 154.

<sup>32</sup> W. Jastrzębski, *Hitlerowskie wysiedlenia...*, s. 107.

spolita Polska”) komunikowało: „Potulice zostaną symbolem hańby niemieckiej. W obozie tym przebywa nadal ok. 15 tys. Polaków, którzy kolejno wymierają. Śmiertelność jest wielka, zwłaszcza wśród dzieci. Z reguły giną wszystkie niemowlęta. Ludność stara się przemycać żywność do obozu”<sup>33</sup>. Mało znany jest też fakt przywiezienia na Pomorze, w pierwszych miesiącach 1943 r., kilku grup dzieci zamojskich z akcji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie, przeprowadzonej na przełomie 1942/1943 r. Donosiły o tym meldunki Delegatury Rządu RP na Kraj. W sprawozdaniu Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Prasy podano: „Dzieci z Gen[eralnej] Guberni przywiezione na Pomorze liczyły od 4–10 lat. Dzieci oddane ludności w Toruniu liczyły 4–5 lat. Dzieci przebywające w Garczynie [obóz pod Kościerzyną – B.C.] liczą 6–10 lat. W obozie garczyńskim przebywa jeszcze 300–400 dzieci. W Bydgoszczy na dworcu działy się wstrząsające sceny, gdy dzieci z wagonów błagały ludność, by je wykupiono. Podobne licytacje odbywały się według niepotwierdzonych wiadomości w Gdyni, Chojnicach i Tczewie. W Garczynie na tym tle doszło do zajęć, ponieważ z całych Kaszub zjeżdżali tam Polacy, by wykupić dzieci. W związku z tym aresztowano szereg osób. Niezmienionej postawy narodowej Polaków wpisanych na NLN [niemiecką listę narodowościową] dowodzi fakt, iż wraz z resztą ludności robili wszystko, by dzieci ratować od zagłady i zniemczenia przez ich wykupienie (26 III 1943).

[...] Opinią publiczną Pomorza wstrząsnęła w marcu wiadomość o licznych transportach dzieci z »Gen[eralnego] Gub[ernatorstwa]«. Na dworcach kolejowych Pomorza Niemcy oficjalnie sprzedawali dzieci zgłaszającej się ludności polskiej, pobierając 40 marek za dziecko. W Garczynie pod Kościerzyną umieszczono część dzieci w specjalnym obozie. Z Garczyna rozdzielono pewną grupę dzieci kolonistom niemieckim z Besarabii, którzy zaraz oddali je Polakom, pobierając za to opłaty. Niektóre dzieci pozbawione są całkowicie dokumentów”<sup>34</sup>. W kolejnym numerze pisma „Ziemie Zachodnie Rzeczypospolitej” zaznaczono, że są to dzieci z Zamojszczyzny<sup>35</sup>.

Wyjaśnić trzeba, że obóz we wsi Garczyn położony nad jeziorem pod Kościerzyną, powstał jesienią 1939 r. na terenie przedwojennych obiektów obozu wypoczynkowo-szkoleniowego Przystosobienia Wojskowego i Związku Harcerstwa Polskiego. Założono go dla polskich jeńców wojennych. Przebywali on tam do przełomu 1939–1940 r. Następnie do 1942 r. mieścił się tam obóz przejściowy (*Barackenlager*). Przetrzymano w nim młodzież pochodzącą głównie z Kaszub, którą usiłowano zgermanizować. Do Garczyna przywożono też wysiedlanych Polaków zarówno z Pomorza, jak i z Generalnego Gubernatorstwa. W 1944 r. powstał tam obóz szkoleniowy SS. W dotychczasowej literaturze przedmiotu wydarzenia te nie są szerzej znane, poza publikacjami omawiającymi dokumenty Delegatury Rządu i wydawnictwa Polski Podziemnej.

W styczniu 1943 r. na Pomorzu akcje wysiedleńcze, związane z osadnictwem Niemców sprowadzanych z obszarów wschodnich, zostały zakończone. Likwidacji uległy też obozy przesiedleńcze, a obozowi potulickiemu nadano status wychowawczego obozu pracy. Jednakże nadal odbywały się lokalne wysiedlenia, np. w związku z budową obiektów wojskowych m.in. w okolicach Brus, gdzie we wsi Wielkie Chełmy jesienią 1943 r. powstał poligon SS<sup>36</sup>. W „Ra-

<sup>33</sup> „Ziemie Zachodnie Rzeczypospolitej” 1943, nr 4, s. 14. Por. także: W. Jastrzębski, *Potulice – hitlerowski obóz przesiedleńczy i pracy (1941–1945)*, Bydgoszcz 1967, s. 46–57, 78–81.

<sup>34</sup> AAN, Akta DR, sygn. 202/III-148.

<sup>35</sup> „Ziemie Zachodnie Rzeczypospolitej” 1943, nr 2.

<sup>36</sup> W. Jastrzębski, J. Sziling, *op. cit.*, s. 158; M. Orski, *Poligon SS na Pomorzu Gdańskim. Filia obozu koncentracyjnego Stutthof i obozy dla ludności cywilnej ewakuowanej z Warszawy*, Gdańsk 1992, s. 12 i n.

porcie o sytuacji na ziemiach zachodnich nr 11 (styczeń – luty 1944 r.)” zanotowano: „Wysiedlanie polskiej ludności wiejskiej wznowiono znowu głównie w powiatach tucholskim, chojnickim i sępoleńskim. Na przestrzeni od Kościerzyny wysiedlono i wywieziono do obozu w Potulicach prawie całą ludność polską w liczbie ok. 8 tys. osób, nie wyluczając wpisanych na NLN [niemiecką listę narodowościową]. Zdolnych do pracy skierowano na roboty do Rzeszy. M.in. dużo Polaków wywieziono do okręgu sudeckiego do wycinania lasów. Na opróżnionym terenie powstać ma wielki poligon; według innych informacji tworzą tu Niemcy wielki etap dla frontu północnego »szwedzkiego« i w związku z tym oczyszczają teren z elementów niepewnych. Ponadto odbyły się liczne wysiedlenia Polaków w pow. wyrzyskim, sępoleńskim i chojnickim. Wysiedleń dokonywano nad wieczorem wzgl[ędnie] nad ranem. Wysiedlonym nie wolno było nic ze sobą zabrać. Wysiedlono głównie »opornych« oraz osoby i rodziny, które były ciężarem dla skarbu państwa (renty, zapomogi). Mieszkanie po wysiedlonych zajęli głównie Niemcy ewakuowani z Ukrainy. Ilość rodzin ostatnio wywłaszczonych, wysiedlonych i osadzonych w obozie przejściowym w Potulicach z okolic Chojnic oblicza się na 600”<sup>37</sup>.

\* \* \*

Na zakończenie wypadu zwrócić uwagę na status społeczno-prawny ziem zaanektowanych, gdyż związana z tym była polityka wysiedleńcza. Podobnie jak ziemie wschodnie, tak i tereny zachodnie II Rzeczypospolitej zostały „włączane” w obszar innych państw. W pierwszym przypadku przez ZSRR pod hasłem „rewolucji światowej i wyzwolenia spod władz polskich obszarników”, drugim zaś – przez Trzecią Rzeszę pod hasłem „przestrzeni życiowej – *Lebensraum*”. Władze sowieckie i niemieckie uważały te ziemie za część składową swoich państw. Inkorporacja stanowiła tutaj faktyczną aneksję, a terytorium „okupowanym” stało się Generalne Gubernatorstwo<sup>38</sup>. Właśnie na ziemiach zachodnich władze niemieckie dążyły do stworzenia państwa jednolitego pod względem ideologicznym, rasowym, demograficznym i ekonomicznym. Stąd wysiedlenia z Pomorza, Wielkopolski i Górnego Śląska i osadzanie na ich miejsce Niemców w myśl hasła: „Każdy Niemiec politycznym żołnierzem Führera”. Wysiedlani z ziem zachodnich Polacy oraz Żydzi kierowani byli do Generalnego Gubernatorstwa i do gett (a potem do obozów natychmiastowej zagłady)<sup>39</sup>.

Dane liczbowe dotyczące wysiedlonej ludności z Pomorza są rozbieżne. Według W. Jastrzębskiego do początków 1943 r. wysiedlono 121 765 osób, w tym 91 533 do Generalnego Gubernatorstwa i 30 232 wyrugowanych w ramach tzw. przesiedleń wewnętrznych, do obozów i prac przymusowych lub poddanych procesowi germanizacji. C. Łuczak wymienia liczbę 124 tys. osób. Z kolei J. Sziling pisał o ponad 170 tys. wysiedlonych, w tym 90 tys. do Polski centralnej<sup>40</sup>.

<sup>37</sup> AAN, Akta DR, sygn. 202/III/139.

<sup>38</sup> Por. W. Jastrzębski, *Sowietyzacja kresów wschodnich i germanizacja ziem zachodnich. Dwie koncepcje polityki okupantów na ziemiach polskich w dobie II wojny światowej* [w:] *Sowietyzacja kresów wschodnich II Rzeczypospolitej po 17 września 1939 r.*, wyd. A. Sudoł, Bydgoszcz 1998, s. 81–87; W. Długoborski, *Spółczesność polskie pod dwiema okupacjami 1939–1941*, „Rocznik Muzeum w Gliwicach”, t. XVII, Gliwice 2002, s. 439–454.

<sup>39</sup> W. Długoborski, *op. cit.*, s. 454.

<sup>40</sup> Por. W. Jastrzębski, *Hitlerowskie wysiedlenia...*, s. 134; W. Jastrzębski, J. Sziling, *op. cit.*, s. 158–159; J. Sziling, *Wysiedlenia...*, s. 21–23; *idem*, *W Rzeszy...*, s. 29; C. Łuczak, *Polityka ludnościowa...*, s. 136; *idem*, *Polska...*, s. 146.

Natomiast według niepełnych danych, podczas okupacji z różnych stron Europy przybyło na Pomorze około 130 tys. Niemców, w tym 57 tys. z Europy Wschodniej.

Jak widać, posunięcia władz niemieckich wskazują na realną groźbę urzeczywistnienia generalnych koncepcji wysiedleńczych, a w niektórych przypadkach nawet początki ich realizacji, czego dowodem mogą być wysiedlenia na ziemiach zachodnich (w tym na Pomorzu) oraz w Generalnym Gubernatorstwie (m.in. próba kolonizacji na Zamojszczyźnie).

Także drugi okupant – Związek Radziecki – przeprowadzał wysiedlania ludności polskiej, nie wiedząc, że podobny los gotuje mu w przyszłości obecny jego sojusznik – Trzecia Rzesza.

Wszelkie plany wprowadzenia tzw. nowego ładu przekreśliła klęska Niemiec. Słusznie zauważył C. Madajczyk: „fakt, iż Himmler opracowując GPO przygotowywał do realizacji wytyczne samego Hitlera, które ten wypowiadał w znanych rozmowach w Kwaterze Głównej, pozwalają sądzić, że groźba wprowadzenia w życie zbrodniczych projektów była bardzo poważna. Mogła je przekreślić tylko klęska. I rzeczywiście zaistniała sytuacja odwrotna – armie narodów, których ludność miała znaleźć się na dalekiej Syberii, znalazły się w 1945 r. w Berlinie”<sup>41</sup>.

Koniec drugiej wojny światowej nie zakończył problemów ludnościowych. Rozpoczęły się nowe migracje i wysiedlenia ze wschodu na zachód: ludności niemieckiej z terenów zachodniej Polski, Prus Wschodnich i ludności polskiej z Niemiec i Europy Zachodniej (byli więźniowie, robotnicy przymusowi, wojskowi z Polskich Sił Zbrojnych) oraz ze wschodnich obszarów przedwojennej Rzeczypospolitej. W tym miejscu koniecznie trzeba wspomnieć o wywożeniu na wschód tysięcy Pomorzaków, wśród których byli żołnierze pomorskiego podziemia<sup>42</sup>. Był to kolejny exodus stanowiący konsekwencję drugiej wojny. Wiele kontrowersji, jakie powstały wokół tych spraw, czeka jeszcze na wyjaśnienie<sup>43</sup>.

Według ostrożnych szacunków przymusowe i dobrowolne przemieszczenia ludności, podczas i w wyniku drugiej wojny światowej, objęły blisko 50 milionów ludzi. Rzeczywiście „była to największa fala migracyjna, jaką przeżyła Europa od czasów wędrówki ludów sprzed piętnastu wieków”<sup>44</sup>.

<sup>41</sup> C. Madajczyk, *Polityka...*, t. I, s. 148–149; *idem*, *Generalna Gubernia...*, s. 108.

<sup>42</sup> Imienny wykaz ponad 280 osób zob. M. Golon, Aneksy do artykułu *Represje NKWD wobec uczestników konspiracji pomorskiej* [w:] *Powojenne losy konspiracji pomorskiej. Materiały sesji naukowej w Toruniu w dniu 19 listopada 1994 r.*, red. E. Zawacka i R. Kozłowski, Toruń 1995, s. 195–216 oraz s. 59–80. Zob. także: M. Golon, *Polityka radzieckich władz wojskowych i policyjnych na Pomorzu Nadwiślańskim w latach 1945–1947*, Toruń 2001; G. Baziur, *Armia Czerwona na Pomorzu Gdańskim 1945–1947*, Warszawa 2003; W. Jastrzębski, *W dalekim obcym kraju. Deportacje Polaków z Pomorza do ZSRR w 1945 roku*, Bydgoszcz 1990. Por. także: *Ludność niemiecka w województwie pomorskim w latach 1945–1950. Jej liczebność, rozmieszczenie i zróżnicowanie* [w:] *Problemy narodowościowe...*, s. 53–92; *idem*, *Losy ludności niemieckiej na ziemiach dawnych i nowych po zakończeniu II wojny światowej (na przykładzie Pomorza Nadwiślańskiego)* [w:] *Mniejszości narodowe i wyznaniowe na Pomorzu w XIX i XX wieku. Zbiór studiów*, red. M. Wojciechowski, Toruń 1998, s. 201–227.

<sup>43</sup> Problematyka wysiedleń nabrała teraz szczególnego znaczenia wobec koncepcji zbudowania w Berlinie „Centrum Wypędzonych”.

<sup>44</sup> Cyt. za: J. Marszałek, *Bilanse II wojny światowej* [w:] *Druga wojna światowa. Osądy, bilanse, refleksje*, Lublin 1998.



## ERIKA Z RUMI

**Ostatni akt wojny na Pomorzu rozegrał się 10 maja 1945 r., gdy skapitulowały wojska niemieckie na Helu. Półtoraroczna wówczas Erika Hermann – znana dziś jako Erika Steinbach – i jej młodsza o rok siostra, pod opieką matki, Eriki Christy Hermann z domu Grote, były już wtedy w Niemczech. Nie objęły ich uzgodnienia aliantów z Poczdamu dotyczące przesiedlenia ludności niemieckiej. Wyjechały w rodzinne strony ojca Wilhelma Karla Hermann – do Hanau nad Menem.**

Miasto Rumia pod Gdynią nigdy nie było ich Heima. Erika Grote przyjechała tu z Berlina, gdzie mieszkała na Lessingstrasse 41 (urodzona w Bremie 27 stycznia 1922 r.), w ślad za swoim narzeczonym Wilhelmem Karlem (urodzonym 29 stycznia 1916 r. w Hanau), który jako podoficer (feldfelbel) Wehrmachtu został skierowany w 1941 r. do służby w jednostce pomocniczej na lotnisku w Rumi, przemianowanej na Rahmel. Nie mieli tu niczego własnego. Mieszkali na kwaterze, prawdopodobnie u kaszubskiej rodziny Raulinów. Nie przysługiwał im dom po wypędzonych z „wyzwolonej” Rumi Polakach. Takie prawo mieli tylko oficerowie z lotniska. Część z nich mieszkała w hotelu Claassena, część w domach wypędzonych Polaków, którym wręczono bezpłatny bilet na pociąg towarowy w jedną stronę. Kierunek Częstochowa, Siedlce, Radom, czyli tzw. Generalne Gubernatorstwo. Tu był teraz Reich. Dla kilkudziesięciu tysięcy ludzi z Gdyni, Rumi i innych miast i miejscowości Pomorza była to prawdziwa tragedia. Budowniczości „polskiej Kalifornii” – Gdyni i jej zaplecza portowego – prawdziwi pionierzy II Rzeczypospolitej na Pomorzu, w pocie czoła budujący pomyślność swoich rodzin wraz z wyrastającym z dnia na dzień nowym, wielkim miastem portowym, zostali w jednej chwili pozbawieni dorobku całego życia. Dowiedzieli się, że mogą zabrać ze sobą 25 kg bagażu, dom powinni pozostawić uprzątnięty, a klucze w drzwiach. Oni i tak byli jednak w lepszym położeniu niż ci, których uznano za niebezpiecznych dla Rzeszy: działaczy znienawidzonego przez Niemców Polskiego Związku Zachodniego, polskich organizacji społecznych, księży, nauczycieli i innych przedstawicieli inteligencji polskiej. Ludzi tych zabijano nad dołami, niedaleko wsi Piaśnica, gdzie śmierć znalazło 12 tysięcy Polaków. W ten sposób zginął m.in. wójt Rumi Hipolit Roszczyniański. Jego brat, ks. Edmund Roszczyniański (znajduje się na liście obecnie prowadzonego procesu beatyfikacyjnego), został zamordowany w pobliskich Cewicach. Mieszkańcy Rumi trafili też do obozu koncentracyjnego Stutthof, gdzie wielu z nich zginęło.

\*

Rumia to 40-tysięczne dziś miasto, zrastające się coraz silniej z aglomeracją trójmiejską. Do centrum Gdyni jest stąd nie dalej niż 10 km. Przed wojną ta nadmorska wieś gwałtownie się rozbudowała dzięki Gdyni. Budowniczości Gdyni, przybysze z różnych stron Polski, chętnie kupowali tu działki budowlane, parokrotnie tańsze niż w Gdyni. Miejscowy magistrat przymykał też oko na dzikie budownictwo. To wszystko sprawiło, że konglomerat kilku



Samoloty Morskiego Dywizjonu Lotniczego na lotnisku w Rumi, lato 1939 r. Z prawej dowódca Lądowej Obrony Wybrzeża – płk. Stanisław Dąbek. Popętnił samobójstwo po kapitulacji, w październiku 1939 r. Czwarty z lewej zamordowany jesienią 1939 r. w Piaśnicy wójt Rumi Hipolit Roszczyniański

kaszubskich wiosek – Rumi, Zagórze, Szmelty, Janowa i Białej Rzeki – zamienił się w 12-tysięczne miasteczko ze stacją Rumia-Zagórze, przy ważnej magistrali kolejowej Gdańsk–Berlin. Atrakcją miasta było nie tylko piękne położenie na nadmorskiej równinie, ale też lotnisko, na którym stale stacjonowało kilka samolotów z Morskiego Dywizjonu Lotnictwa w Pucku, obserwujących polskie wybrzeże. 1 maja 1936 r. lotnisko zostało udostępnione dla komunikacji pasażerskiej. Lądowały tu szybowce i małe samoloty uczestniczące w lotach gwiazdzystych. W sezonie letnim lądowały tu także samoloty pasażerskie Polskich Linii Lotniczych, kursujące między Warszawą a Gdańskiem. Ruch na trasie Warszawa–Rumia objął w ostatnim roku przed wybuchem wojny 3 tysiące pasażerów. Kiedy wybuchła wojna i Niemcy podeszli 9 września 1939 r. do Rumi, polscy piloci poderwali maszyny i wylądowali na Kępie Oksywskiej, gdzie zameldowali się u płk. Stanisława Dąbka, dowódcy Lądowej Obrony Wybrzeża, by kontynuować walkę. Obrona Rumi była zacięta i krwawa, trwała przez wiele dni. Na cmentarzu w Rumi pochowano 147 polskich żołnierzy. W sąsiednim Wejherowie, na cmentarzu ewangelickim, wyrosło 276 grobów niemieckich. Może w akcie zemsty, a może bez żadnego powodu, niemieccy żołnierze z 322. pułku piechoty mjr. von Diensta zamordowali w Rumi-Białej Rzece 21 polskich jeńców z Wejherowskiej Kompanii Ochotniczej. Była to ewidentna zbrodnia wojenna, popełniona przez żołnierzy Wehrmachtu. Nie jedyna tej jesieni i tej wojny w Rumi. Już we wrześniu 1939 r. funkcjonariusze Einsatzgruppe SS i SD (Sicherheitsdienst) zabijali ludzi na podwórkach i ulicach miasta – według sobie tylko znanych kryteriów, by zastraszyć Polaków i złamać opór. Zygmunt Milczewski, najbliższy współpracownik zamordowanego wójta Hipolita Roszczyniańskiego, przed wojną sekretarz Urzędu Gminy Rumia, poszukiwany przez gestapo, wyjechał do Krakowa, gdzie wstąpił do Armii Krajowej. Po wojnie, choć był z zawodu ekonomistą, poświęcił wiele

lat życia na prace historyczne – dokumentowanie zbrodni popełnionych przez Niemców na mieszkańcach Rumi i powiatu wejherowskiego.

\*

Do Rumi-Białej Rzeki trafił w roku 1941 feldfelbel Wilhelm Karl Hermann. Stacjonowała tu jednostka niemiecka, stanowiąca obsługę lotniska. W Rumi produkowano też części do samolotów. Niemcy utworzyli oddziały robocze z jeńców wojennych – polskich, brytyjskich i francuskich. Części do samolotów produkowano też w obozie pracy, gdzie trzymano mężczyzn i kobiety – Polaków, Rosjan, Włochów i innych. W Rumi montowano Focke-Wulfy, Heinkle i Junkersy. Niemcy rozbudowali lotnisko, które należało teraz do zespołu lotnisk wojskowych rejonu Gdyni.



Niemiecy mechanicy przy pracy

Wilhelm Hermann stacjonował w Białej Rzece, ale nie czuł się dobrze w towarzystwie wojskowych. Szukał kontaktów w mieście. Nie miał tu żadnej rodziny, choć niektórzy w Rumi mówią, że rzeźnik Hermann mógł być jego dalekim krewniakiem. Nazwisko Hermann było jednak często spotykane wśród pomorskich Niemców. Najbardziej znany w czasie wojny był Fritz Hermann, SS-Brigadeführer, prezydent rejencji gdańskiej, którego po wojnie oskarżano o zbrodnie popełnione na Polakach w latach 1939–1942.

Feldfelbel Wilhelm Hermann zaprzyjaźnił się z rodziną kierownika zakładu wodociągów miejskich (Wasserwerk) w Rumi, Pawła Obersiega. Rodzina Obersiegów została zaliczona do reichsdeutschow, a ponieważ Paweł znał

się na wodociągach, został kierownikiem zakładu. Po wojnie nie chciał jednak słyszeć o wyjeździe do Niemiec. Dzięki dobrym świadectwom miejscowych Polaków i Kaszubów pozostał w Rumi, gdzie zmarł w latach osiemdziesiątych. Żona Obersiega była Kaszubką. W domu mówili po niemiecku, po kaszubsku, a modlili się – zwyczajem rodzin kaszubskich – tylko po polsku. Z tego powodu, a także oskarżenia o słuchanie BBC, Obersieg miał w pewnym okresie poważne kłopoty, z których udało mu się jednak wywinąć. Być może dlatego, że był powszechnie lubiany w mieście, bo wielu ludziom pomógł. Poza tym posiadał jak mało kto sztukę... pędzenia bimbru. Skutecznie ukrywał to przed władzami przez całą wojnę. Kiedy jednak w marcu 1945 r. do Wasserwerku zawitali Sowieci, wszystkie najtajniejsze skrytki zostały natychmiast zdemaskowane. Żołnierze sowieccy przekopali cały ogród. Trud się optać... Obersiegów nie było już w Wasserwerku. Tydzień wcześniej Paweł otrzymał rozkaz od władz, by przygotował Wasserwerk do wysadzenia, jak tylko wojska sowieckie dotrą w okolice Rumi. Nie posłuchał rozkazu, uciekł z rodziną

i ukrył się. 25 marca żandarmi przyjechali po „zdrajcę”, ale go nie znaleźli. Dzięki ucieczce Obersiega wodociągi zostały uratowane, Niemcy nie zdążyli już ich zniszczyć. Za to pobliska radiostacja na Dębogórskiej wyleciała w powietrze.

\*

Od początku służby do stęsknionego feldfebla przyjeżdżała z Berlina narzeczona – Erika Grote. Wkrótce, 18 stycznia 1943 r., Wilhelm i Erika pobrali się w Rumi. Świadcami byli dwaj podoficerowie z lotniska – Fröh i Ludwig. Sześć miesięcy później, 26 lipca 1943 r., przyszła na świat pierwsza córka Erika. Najbardziej zagadkowy jest fakt, że poród nastąpił w służbowym mieszkaniu Pawła Obersiega w Wasserwerku. Dziś, po latach, trudno jest ustalić, dlaczego tu. Być może Erika uznała, że mieszkanie Obersiega jest lepiej wyposażone i poród będzie bezpieczniejszy? A może, jak żartuje stary rumianin, przyszła tu w poszukiwaniu męża, który zasmakował w bimbrze Pawła Obersiega? Jeszcze jakiś czas po porodzie młoda matka przebywała u Obersiegów.



Fot. ze zbiorów IPN

Obóz jeńców wojennych (Polaków, Brytyjczyków i Francuzów) w Rumi.  
Zdjęcie wykonane w roku 1940, w warunkach konspiracji

Prawdopodobnie w styczniu 1944 r. Wilhelm Karl Hermann trafił na front wschodni. Erika była już w ciąży z drugą córką, którą urodziła w październiku. To był czas, kiedy jeszcze nie było paniki, kiedy jeszcze na latarniach w Gdańsku nie wieszano prawdziwych czy domniemyanych dezertersów z armii niemieckiej, kiedy do Trójmiasta nie napłynęła jeszcze wielka fala uchodźców z Prus Wschodnich. Jednak przeczona Erika zadbała o bezpieczny powrót do Reichu. Nie czekając na najgorsze, spakowała się, zabrała dzieci i w styczniu 1945 r. wróciła do Niemiec, do Hanau. Nieprawdziwe są informacje o tym, że cudem uniknęła śmierci, nieskutecznie zabiegając o miejsce na statku „Wilhelm Gustloff”, który został zatopiony przez

sowiecką torpedę w marcu 1945 r. i pociągnął na dno kilka tysięcy uchodźców. Erika nie starała się o bilet na „Gustloff”, wyjechała co najmniej dwa miesiące wcześniej.

Na stronie internetowej Institut für soziale Dreigliederung można przeczytać, że Erika Steinbach uważa za nieprawdziwe twierdzenie, iż 15 mln niemieckich uchodźców z Niemiec wschodnich, Polski, Czechosłowacji i całej południowej Europy to ofiary Hitlera. Na stronie *Wikipedia – die freie Enzyklopädie* napisano, że pani Steinbach urodziła się w rodzinie Luftwaffenoffizier... Rodzina oficera lotnictwa to brzmi lepiej niż rodzina feldfebla, ale – jak mówią w Rumi, Wilhelm Karl o samolotach nie miał pojęcia.

\*

W Rumi nie ma już lotniska. Zostało zbombardowane przez Brytyjczyków na początku 1945 r. Po wojnie solidne płyty lotniskowe trafiły do fundamentów odbudowywanych w pocie czoła domów zniszczonych przez wojnę.

W Rumi nie ma też domu Eriki Steinbach. Nigdy go tu nie było.

*Autorzy skorzystali z relacji mieszkańców Rumi, którzy pamiętają rodzinę Hermannów z czasów okupacji.*



## STACJA CZASTARY

**Czastary to mała miejscowość położona między Wieluniem a Kęp-  
nem, którą przecina linia kolejowa łącząca Poznań z Katowicami.  
W nocy z 17 na 18 lutego 1946 r. na niepozornej, otoczonej lasem  
stacji kolejowej w Czastarach doszło do tragicznych wypadków. Par-  
tyzanci z oddziału Stanisława Panka „Rudego” zatrzymali pociąg  
nr 33 relacji Poznań–Katowice, a następnie rozstrzelali jadących nim  
żołnierzy radzieckich. W egzekucji przeprowadzonej na Sowietach  
brały udział dwie kobiety.**

Decyzję o przeprowadze-  
niu „akcji pociągowej”  
w Czastarach „Rudy” miał  
podjąć 17 lutego 1946 r.  
podczas pobytu ze swoim od-  
działem w Bolesławcu,  
w powiecie wieluńskim<sup>1</sup>. Kil-  
ka dni wcześniej dotarła do  
niego wiadomość, że 8 lute-  
go w Piszowicach pod Sy-  
cowem w zasadzkę urzą-  
dzoną przez żołnierzy KBW  
i funkcjonariuszy UB wpadł  
jego dotychczasowy dowódca  
– Franciszek Olszówka  
„Otto”. Planowana akcja  
miała być prawdopodobnie  
odwetem za śmierć „Otta”.  
Od samego początku zakła-



Fot. ze zbiorów IPN

dano również, że celem ataku będą przede wszystkim jadący pociągiem żołnierze radzieccy. „Rudy” już wcześniej miał wydać swoim podkomendnym oficjalny rozkaz rozstrzeliwania na

<sup>1</sup> Stanisław Panek „Rudy”, ur. w 1924 r., pochodził z Czeladzi na Górnym Śląsku. Po dezercji z „ludowego” Wojska Polskiego ukrywał się w Kluczborku, gdzie jesienią 1945 r. wstąpił do poakowskiego oddziału Franciszka Olszówki „Otta”. Szybko zyskał zaufanie dowódcy i wkrótce został jego zastępcą. Po rozbiciu oddziału „Otta” 17 XII 1945 r. przez funkcjonariuszy UB i żołnierzy KBW na terenie leśniczówki Dobrygość (pow. kępiński) „Rudy” z częścią partyzantów przeszedł na teren pow. wieluńskiego. Po śmierci „Otta” w lutym 1946 r. został samodzielnym dowódcą oddziału operującego do sierpnia 1946 r. w powiatach wieluńskim i kluczborskim. AIPN, Kartoteka pomocnicza Biura „C”, Zapisy dotyczące Stanisława Panka; AIPN Łd, KW MO w Łodzi, 030/277, Charakterystyka nr 277 bandy terrorystyczno-rabunkowej bez określonej nazwy pod dowództwem Stanisława Panka ps. „Rudy”; AIPN Wr, KW MO w Opolu, 09/912, Charakterystyka bandy „Otto-Rudy” nr 1/78. Wydział „C” KW MO w Opolu.





Oddział Stanisława Panka „Rudego”

miejscu każdego napotkanego Sowietą, co zapewne należy wiązać z dużą skalą przestępstw i rozbojów, jakich w tym czasie dopuszczali się żołnierze radzieccy. Szczególną i zatrważającą plagą były gwałty popełniane przez sowieckich maruderów na kobietach. W końcu stycznia 1946 r. funkcjonariusze PUBP w Wieluniu zatrzymali kilku pijanych żołnierzy radzieckich, którzy właśnie w pociągu relacji Poznań–Katowice wielokrotnie usiłovali dokonać gwałtów na bezbronych kobietach<sup>2</sup>.

### Przygotowania

Wykonanie zadania „Rudy” powierzył Wiktorowi Wójcikowi „Wilczkowi” – swojemu zastępcy. Ustalono, że po skończonej akcji oddział zbierze się w domu Mikołaja Żurka – gospodarza mieszkającego w Wiewiórcie pod Bolesławcem.

Partyzanci „Rudego”, w tym dwie młode kobiety – Helena Motyka „Dziurka” i Irena Tomaszewicz „Danka” – 17 lutego wyruszyli z Bolesławca do Czastar. Po przybyciu na miejsce najpierw udali się na zabawę taneczną zorganizowaną w miejscowej szkole. Na sali „Wilczek” wylegitymował wszystkich mężczyzn, sprawdzając, czy wśród bawiących się nie ma pracowników bezpieki. Wystąpił też na stację kolejową Edwarda Szemberskiego „Lwowiaka” razem z Edwardem Gruszką „Golarzem”, aby sprawdzili rozkład jazdy, dowiedzieli się, czy pociągiem jadą Rosjanie i upewnili się, że nikt nie dzwonił ze stacji do

<sup>2</sup> AIPN Łódź, WUBP w Łodzi, p/ 10/275, Sprawozdanie agenturno-operatywne PUBP w Wieluniu za czas – okres od dnia 20 I [19]46 r. do dnia 30 I [19]46 r., k. 13.

UB z informacją o pobycie partyzantów w Czastarach. W tym czasie Stanisław Pałka „Prędkie” wystąpił z antykomunistycznym przemówieniem, starając się przekonać uczestników zabawy, że walka o wolną Polskę jeszcze się nie zakończyła i „przyjdzie chwila, że wojska sowieckie zostaną wycofane z Polski”, i że należy pomścić śmierć „Otta”. Na zakończenie „Prędkie” zaintonował Rotę, którą podjęli wszyscy zebrani na sali, a kilku partyzantów na wiwat wystrzeliło ze swojej broni.

Podczas zabawy, około godziny drugiej w nocy, „Wilczek” zebrał oddział i niespełna dwudziestu partyzantów udało się na pobliską stację kolejową<sup>3</sup>. Na znak żałoby z powodu śmierci „Otta” na rękawach mundurów mieli czarne opaski.

### Strzały na stacji

Po dotarciu na stację „Wilczek”, „Dziuńka”, „Prędkie” i Wacław Pisula „Sęk” weszli do pokoju dyżurnego ruchu i polecieli mu, by zadzwonił na stację Podzamcze i dowiedział się, czy nadjeżdżający pociąg jest oświetlony oraz czy jadą nim Rosjanie. „Wilczek” dokonał także rewizji wszystkich osób przebywających na stacji, oświadczając im, że będzie można wejść do pociągu dopiero na dany przez niego znak.

Gdy na stacji zatrzymał się oczekiwany pociąg, jeden z członków oddziału razem z dyżurnym ruchu podszedł do lokomotywy i zabronił maszyniście ruszania dalej bez rozkazu. Oczekujących na pociąg nie wypuszczono z poczekalni, do której drzwi miały być początkowo obstawione przez „Dziuńkę” i „Danke”. Dla osłony na peronie stacji pozostawiono Romana Roszowskiego „Wiarusa” z ciężkim karabinem maszynowym. Tył pociągu zabezpieczał „Lwowiak”.

Po wtargnięciu do pociągu partyzanci zaczęli sprawdzać przedziały, krzycząc, aby wszyscy Sowieci natychmiast opuścili wagony. Doszło do szamotaniny. Wojskowych mówiących po rosyjsku rozstrzeliwano od razu. Jako pierwszy dwóch żołnierzy radzieckich miał zastrzelić „Wilczek”. Chwilę potem razem z Mirosławem Skibą „Przylepką” i Stefanem Urbańskim „Masarzem” wyprowadził z pociągu kolejnych dwóch Sowieców. Rozstrzelali ich „Przylepka” i „Masarz”. Do następnych trzech żołnierzy wyciągniętych na peron stacji z rozkazu „Wilczka” strzały oddała „Danka”, z czego dwóch zabiła na miejscu, a jednego prawdopodobnie ciężko raniła. Chwilę później ze Stanisławem Gibkiem „Piekarzem” miała wejść do pociągu i dobić jeszcze dwóch postrzelonych wcześniej przez niego żołnierzy radzieckich. Po rozstrzelaniu Sowieców, według jednej z relacji, „Danka” zwróciła się do obecnych przy egzekucji kolejarzy: „To za to, że mnie zgwałcili!”<sup>4</sup>.

Ciała żołnierzy partyzanci wyciągnęli na peron stacji. Przeszukano i częściowo zdjęto z nich mundury i buty. Z pociągu wyniesiono też i zabrano bagaże należące do ofiar. Pol-

<sup>3</sup> Poza Wiktorem Wójcikiem „Wilczkiem” w grupie tej mieli się znaleźć m.in.: Wacław Pisula „Sęk”, „Pieprzyk”; Zygmunt Tomaszewicz „Nietoperz”, „Jajkarz”; Stanisław Pałka „Prędkie”; Stefan Urbański „Masarz”, „Rzeźnik”; Stanisław Gibek „Piekarz”, „Feliks”; Edward Gruszka „Golarz”; Józef Morga „Gajowy”; Roman Roszowski „Wiarus”; Edward Szemberski „Lwowiak”, „Śmigus”; (N.N.) krawiec z Chruścina; Helena Motyka „Dziuńka”; (N.N.) „Leszek”, Irena Tomaszewicz „Danka”; Mirosław Skiba „Przylepka”; Roman Sójka „Dudek” i Władysław Strzelczyk „Władek”. Zob. AIPN Wr, WSR we Wrocławiu, 21/593, t. 1, Protokół przesłuchania Motyki Heleny z 19 II 1946 r., k. 144 i 144v; *ibidem*, Protokół przesłuchania Szemberskiego Edwarda z 20 II 1946 r., k. 153 i 153v; *ibidem*, Protokół przesłuchania Tomaszewicz Ireny z 23 II 1946 r., k. 164v i 165.

<sup>4</sup> Słowa te odnotował szef wywiadu komendy powiatowej Konspiracyjnego Wojska Polskiego w Wieluniu („Turbiny”) – Włodzimierz Jaskulski „Mrok”. AIPN Łd, WSR w Łodzi, 6/58, t. 2, Meldunek sytuacyjny nr 3, k. 29. Zob. też: W. Jaskulski, *O działalności niepodległościowej na Ziemi Wieluńskiej: 1939–1953*, Wieluń [1994], s. 160.

skich wojskowych jadących pociągiem wyprowadzono na stację, wylegitymowano, a później pozwolono im wsiąść z powrotem do wagonów. „Wilczek” rozbroił tylko jednego podporucznika, zabierając mu płaszcz, mundur, broń i pas<sup>5</sup>.

Cała akcja trwała niespełna pół godziny. Jej bilans był tragiczny. Na miejscu rozstrzelano dziewięciu żołnierzy. Dodatkowo dwóch Rosjan zostało rannych, a jeden z nich, po przewiezieniu do szpitala powiatowego w Kępnie, wkrótce zmarł. Wśród zabitych był też oficer ubrany w mundur Wojska Polskiego. Spośród dziewięciu ofiar bez problemów zidentyfikowano natychmiast ciała czterech żołnierzy radzieckich, gdyż mieli przy sobie dokumenty. Byli to: mł. sierż. Iwan Pawłow, st. sierż. Iwan Antipow, szer. Grzegorz Owczerenko i chor. Iwan Szczygarew. W szpitalu w Kępnie zmarł ranny st. sierż. Mikołaj Miszyn. Ranny został również kpt. Mikołaj Michalin, który przeżył tylko dzięki temu, że został uznany przez partyzantów za martwego<sup>6</sup>.

### W potrzasku

Wypadki na stacji kolejowej w Czastarach nie były końcem dramatycznych wydarzeń owej nocy, choć początkowo nic nie wskazywało, aby partyzantom groziło jakieś niebezpieczeństwo. Oddział bowiem bez żadnych przeszkód, po załadowaniu zdobytych rzeczy na bryczkę, dotarł na wyznaczone miejsce zbiórki w Wiewiórcie. Tam „Wilczek” zdał „Rudemu” dokładny raport z przeprowadzonej akcji. Ostatecznie na resztę nocy w domu gospodarza Żurka pozostało tylko pięciu członków oddziału: „Wilczek”, „Wiarus”, „Dziunia”, „Danka” i „Lwowiak”. Nad ranem śpiących partyzantów niespodziewanie obudził gospodarz, oznajmiając, że zabudowania są otoczone przez wojsko. Żołnierze „Rudego” próbowali się bronić. Wywiązała się nierówna walka. Po około czterdziestu minutach stawiający opór partyzanci na widok śmiertelnie postrzelonego w głowę „Wilczka” postanowili się poddać. Podczas wymiany ognia swoją brawurę przypłacił



Z lewej Irena Tomaszewicz  
„Danka”

<sup>5</sup> Przebieg akcji został zrekonstruowany na podstawie akt sprawy żołnierzy „Otta” i „Rudego” toczącej się przed WSR we Wrocławiu (IPN Wr, WSR we Wrocławiu, 21/593, t. 1–2) oraz akt dotyczących zabójstwa żołnierzy sowieckich w Czastarach w 1946 r. (AIPN Łd, WUBP w Łodzi, pf 10/530, t. 2).

<sup>6</sup> Zob. IPN Wr, WSR we Wrocławiu, 21/593, t. 1, Postanowienie o ustanowieniu sądowno-lekarskiej ekspertyzy z 20 II 1946 r., k. 42; *ibidem*, Historia choroby Miszyna Mikołaja, k. 62a; *ibidem*, Protokół przesłuchania Michalina Mikołaja z 23 II 1946 r., k. 101; IPN Łd, KW MO w Łodzi, 0110/2, Wszystkie wypadki śmiertelne i uszkodzenia ciała odnotowane przez KP MO w Wieluniu za okres I X 1945–28 XII 1946, k. 6. Włodzimierz Jaskulski „Mrok” donosił w swoim meldunku, że rozstrzelany na stacji „porucznik w mundurze polskim” był pochodzenia rosyjskiego i w dodatku funkcjonariuszem UB. Z zeznań świadka – szer. Czesława Neumana – wynika, że zastrzelony oficer był lekarzem wojskowym w stopniu podporucznika i służył w 2. Kompanii Samochodowo-Konwojowej WBW w Bydgoszczy. Został zabity za to, że odezwał się do partyzantów po rosyjsku. AIPN Łd, WSR w Łodzi, 6/58, t. 2, Meldunek sytuacyjny nr 3, k. 29; IPN Wr, WSR we Wrocławiu, 21/593, t. 1, Protokół przesłuchania świadka Neumana Czesława z 18 II 1946 r., k. 40.

życiem również jeden z żołnierzy KBW – ppor. Władysław Bergiel, który „chcąc porwać za sobą żołnierzy, rzucił się pierwszy do drzwi i wtargnął do środka”<sup>7</sup>. Lekko ranni zostali Edward Szemberski i Helena Motyka.

### Śledztwo i proces

Aresztowani: Helena Motyka, Irena Tomaszewicz, Edward Szemberski i Roman Roszowski zostali przewiezieni do Bolesławca, a następnie do Wrocławia. Tam funkcjonariusze WUBP prowadzili intensywne przesłuchania i śledztwo. Poza wyżej wymienionymi członkami oddziału „Rudego” zatrzymani zostali również pracownicy stacji kolejowej w Czastarach: dyżurny ruchu Władysław Młynarczyk i zawiadowca stacji Jan Jeziorny. Postawiono im zarzut udzielenia pomocy oddziałowi „Rudego” w przeprowadzeniu akcji. Sprawę aresztowanych uczestników napadu na pociąg w Czastarach włączono do śledztwa prowadzonego wobec kilku innych osób zatrzymanych przez WUBP we Wrocławiu w okresie od stycznia do marca 1946 r., którym zarzucano w większości działalność w oddziale „Otta”<sup>8</sup>.

Niespełna miesiąc później, 15 marca 1946 r., śledztwo zostało zamknięte, a akta sprawy przekazano Wojskowej Prokuraturze Rejonowej we Wrocławiu gdzie prokurator – por. Eugeniusz Landsberg – sporządził akt oskarżenia. Oprócz Władysława Młynarczyka i Jana Jeziornego – pracowników stacji kolejowej w Czastarach – których oskarżono o niepowiadomienie odpowiednich władz o planowanym przez oddział „Rudego” napadzie na pociąg, reszta aresztowanych została oskarżona o przynależność i działalność w „terrorystyczno-dywersyjnej bandzie »Otta«”.



Fot. ze zbiorów IPN

Helena Motyka „Dziurka”, lat 22

Rozprawa przed WSR we Wrocławiu trwała od 28 do 31 maja 1946 r. Odbywała się w siedzibie Sądu Okręgowego. Sładowi sędziowskiemu przewodniczył mjr Bronisław Ochnio, a oskarżali kpt. Filip Badner i por. Bronisław Świątnicki. Na obrońcę z urzędu Heleny Motyki, Ireny Tomaszewicz, Romana

<sup>7</sup> Obławę na uczestników akcji w Czastarach zorganizowała grupa operacyjna z Wrocławia i niezależnie od niej funkcjonariusze MO oraz UB z Wielunia. Grupa wrocławska dowodzona przez oficera KBW – mjr. Jonasa (tego samego, który w Pisarzowicach 10 dni wcześniej zastrzelił „Otta”) dowiedziała się o pobycie części oddziału „Rudego” w gospodarstwie Żurka od zatrzymanego w Bolesławcu furmana, który zawiózł wcześniej partyzantów na stację kolejową w Czastarach, a po akcji odstawił ich do Wiewiórki. IPN Wr, WSR we Wrocławiu, 21/593, t. 1, Opis walki z bandą „Rudego” w miejscowości Wiewiórka, k. 70. Por. M. Jaworski, *Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrzne 1945–1965*, Warszawa 1984, s. 80.

<sup>8</sup> Byli to: Sylwester Mikulski; Marian Mikulski; Józef Woźniak „Iwan”; Idzi Piszczatka „Osóbka”, „Pantera”; Irena Taras „Krystyna” i Stanisław Kuźnik.

Roszowskiego i Edwarda Szemberskiego wyznaczono Filipa Czerskiego.

W toku rozprawy oskarżeni korygowali zeznania złożone w śledztwie, twierdząc, że niektóre z nich zostały wymuszone biciem. Zresztą w tym przypadku już pobieżna analiza protokołów przesłuchań i konfrontacji podejrzanych nasuwa wnioski, że prowadzący śledztwo funkcjonariusze UB zmierzali do tego, by wszyscy zatrzymani uczestnicy napadu na pociąg odpowiadali za bezpośredni udział w zbrodni popełnionej na żołnierzach radzieckich. Obrońca oskarżonych zaznaczał podczas rozprawy, że Irenę Tomaszewicz zmuszono do zeznania, iż „Dziunia” zastrzeliła jednego żołnierza, bo straszono ją, „że będzie bita tak samo jak w Bolesławcu”, gdzie zaraz po aresztowaniu przewieziono oskarżonych i rozpoczęto wstępne przesłuchania.

Oskarżeni, poza Ireną Tomaszewicz, nie przyznawali się do bezpośredniego udziału w rozstrzeliwaniu żołnierzy radzieckich. Edward Szemberski stwierdził, że powodem akcji w Czastarach „była zemsta za to, że żołnierze sow[ieccy] mordują polską ludność”<sup>9</sup>. Nie znalazła także potwierdzenia opinia, że mord popełniony na Sowietach był zemstą za gwałt, jakiego radzieccy maruderzy mieli dopuścić się wcześniej na Irenie Tomaszewicz<sup>10</sup>. Sama oskarżona natomiast podczas rozprawy przyznała: „Do żołnierzy sow[ieckich] nie czułam za nic nienawiści, lecz bałam się, że mnie Wilczek za to zabije. W buncrach rozmawiali, że nie chcą mieć Rosjan w Polsce”<sup>11</sup>.



Fot. ze zbiorów IPN Poznań

Edward Szemberski „Lwowiak”

## Wyrok

Ze względu na rozgłos sprawy i jej polityczny wymiar położenie oskarżonych było wyjątkowo ciężkie. Prokuratorzy wojskowi tylko wobec Jana Jeziornego i Władysława Młynarczyka wnosili o karę więzienia, a wobec uczestników akcji w Czastarach o najwyższy wymiar kary. Ich obrońca ograniczył się do wniesienia o „łagodny wyrok dla wszystkich oskarżonych, ze względu na ich młody wiek”<sup>12</sup>.

Wyrok został ogłoszony 31 maja 1946 r. Spośród uczestników akcji w Czastarach troje – Helena Motyka, Edward Szemberski i Roman Roszowski – zostało skazanych na karę śmierci oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze przez przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa.

W przypadku Heleny Motyki, mimo iż sąd ustalił, że jej udział w akcji jedynie „ograniczył się do stania na stacji przy drzwiach wejściowych z poczekalni na peron z bronią”, to fakt, że podczas napadu „dokonano bestialskiego mordu 10 żołnierzy armii sojuszniczej, przez co mogło nastąpić pogorszenie stosunków z zaprzyjaźnionym państwem ZSRR”, miał usprawiedliwić wymierzenie najsurowszej kary.

<sup>9</sup> AIPN Wr, WSR we Wrocławiu, 21/593, t. 2, Protokół rozprawy z dnia 28 maja 1946 r., k. 46v.

<sup>10</sup> Por. W. Jaskulski, *op. cit.*, s. 160.

<sup>11</sup> AIPN Wr, WSR we Wrocławiu, 21/593, t. 2, Protokół rozprawy z dnia 28 maja 1946 r., k. 53v.

<sup>12</sup> *Ibidem*, k. 80.



Z kolei w odniesieniu do Edwarda Szemberskiego i Romana Roszowskiego ustalono, że w czasie napadu na pociąg „Szemberski stał z automatem przy końcu pociągu, zaś Roszowski z RKM-em na peronie”. Jednakże ich wrogi stosunek do „ustroju demokratycznego”, wcześniejsza dezercja z bronią w ręku z posterunku MO w Bąkownicach i udział w akcji w Czastarach miały być wystarczającym powodem, by skazać ich na karę śmierci.

W przypadku Ireny Tomaszewicz wyraźnie podkreślono, że jedynie niepełnoletność skazanej „nie pozwala Sądowi wymierzyć jej najwyższy wymiar kary, tj. karę śmierci”. Dlatego skazano ją na łączną karę piętnastu lat więzienia oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych „na przeciąg lat 5”. W orzeczeniu takiego wymiaru kary sąd wziął pod uwagę, jak zaznaczono, „napięcie złej woli u oskarżonej i jej wybitnie ujemną sylwetkę moralną” oraz bezpośredni udział w mordowaniu żołnierzy radzieckich.

Uniewinniony został Władysław Młynarczyk. Jana Jezziomego z kolei skazano na karę roku więzienia, zaznaczając, że jako zawiadowca stacji „nie wykazał zaradności i nie wyczerpał wszystkich możliwości celem udaremnienia ewentualnego napadu” dokonanego na stacji<sup>13</sup>.

Skazani skierowali do Prezydenta Krajowej Rady Narodowej prośby o ułaskawienie. Roman Roszowski zaznaczał, że do dezercji z MO został zmuszony przez swojego przełożonego. W odniesieniu do akcji w Czastarach informował, że w ogóle nie przypuszczał, iż w jej trakcie dojdzie do zabójstwa żołnierzy sowieckich. Wyrażał również nadzieję, że fakt, iż nikogo nie zabił, oszczędzi mu życie<sup>14</sup>. Podobnie Edward Szemberski zwracał uwagę, że musiał pod groźbą utraty życia zdezerterować z MO. Podkreślał również: „Gdybym miał świadomość, że celem tej akcji mają być zabójstwa żołnierzy sowieckich, to raczej uciekłbym, aniżeli się dał do tego użyć”<sup>15</sup>.

Helena Motyka z kolei pisała, że do oddziału „Rudego” została zwerbowana siłą i należała do niego tylko przez dwa tygodnie, że nikogo nie zabiła, że nie miała żadnego wyrobienia politycznego, bo w kraju do tej pory „ścierają się różne prądy mające swoich zwolenników”. W końcowym fragmencie stwierdzała: „Żyć pragnę bardzo – jestem młoda i przeszłam tragiczne doświadczenie, pod wpływem którego zmieniłam się gruntownie”<sup>16</sup>.



Roman Roszowski „Wiarus”

Fot. ze zbiorów IPN Poznań

<sup>13</sup> AIPN Wr, WSR we Wrocławiu, 21/593, t. 2, Wyrok w Imieniu Rzeczypospolitej Polskiej z 31 V 1946 r., k. 87–90v, 92v–93. Spośród pozostałych sądzonych w tym samym procesie żołnierzy „Otta” na karę śmierci, którą wykonano, skazany został Idzi Piszczatka „Osóbka”, „Pantera”.

<sup>14</sup> *Ibidem*, Prośba o ułaskawienie Romana Roszowskiego skierowana do Prezydenta Krajowej Rady Narodowej, 4 VI 1946, k. 110–111.

<sup>15</sup> *Ibidem*, Prośba o ułaskawienie Edwarda Szemberskiego skierowana do Prezydenta Krajowej Rady Narodowej, 4 VI 1946, k. 114–114a. W obronie Szemberskiego list napisał także Grzegorz Gniliakiewicz, który znał jego rodzinę. Błagał o wstrzymanie egzekucji, informował, że Szemberski to syn kolejarza, wnuk powstańca styczniowego z 1863 r. wychowany w tradycjach patriotycznych. Zob. M. Turlejska (t. Socha), *Te pokolenia żatobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944–1954*, Londyn 1989, s. 157.

<sup>16</sup> AIPN Wr, WSR we Wrocławiu, 21/593, t. 2, Pismo Heleny Motyki do Bolesława Bieruta, 2 VI 1946 r., k. 118.



Najwyższy Sąd Wojskowy (NSW) pod przewodnictwem płk. Kazimierza Drohomireckiego 28 czerwca 1946 r. pozostawił bez uwzględnienia skargi rewizyjne obrony. W stosunku do skazanych na karę śmierci: Heleny Motyki, Edwarda Szemberskiego i Romana Roszowskiego, zgodnie z opinią Prezesa NSW – płk. Aleksandra Michniewicza – który wskazywał na „szczególne napięcie złej woli ze strony skazanych”, prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. W przypadku Heleny Motyki bez znaczenia okazało się nawet wnioskowanie Wydziału Prawnego Krajowej Rady Narodowej o zamianę dla niej kary śmierci na piętnaście lat więzienia<sup>17</sup>.

## Egzekucja

Wyroki wykonano 18 lipca 1946 r. w magazynie więzienia przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu. Dowódcą plutonu egzekucyjnego był ppor. Julian Lach<sup>18</sup>. Naocznym świadkiem egzekucji był oczekujący na rozprawę przed WSR we Wrocławiu wywiadowca „Otta” – Idzi Gatner. „Pod mur – według jego relacji – postawili tą kobietę w ciąży [Helenę Motykę] i tego Idziego [Piszczatkę], i innych. Ja to widziałem. Ile tam było: dwadzieścia, trzydzieści metrów. Na tą egzekucję KBW przyszło podpite. I nie, że sędzia odczytał wyrok. Wyprowadzili, oczy zawiązane i karabinami jak tylko mogli, tak siekli”<sup>19</sup>. W trakcie brutalnej egzekucji ranna Helena Motyka miała głośno krzyknąć: „Mamo, mam, dobił!”. Więźniowie, słyszący i obserwujący dramatyczny przebieg rozstrzeliwania skazanych, rzucili się wówczas do okien i „zaczęli walić w miski – był to ich protest”<sup>20</sup>.

Wszystkich rozstrzelanych partyzantów pochowano w „kwaterze więziennej” nr 77 na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu<sup>21</sup>.



Fot. ze zbiorów IPN

Cmentarz Osobowicki we Wrocławiu, „kwatery więzienne”

<sup>17</sup> M. Turlejska (Ł. Socha), *op. cit.*, s. 157.

<sup>18</sup> Zob. K. Szwagrzyk, *Golgota wrocławska 1945–1956*, Wrocław 1996, s. 658–660.

<sup>19</sup> Archiwum Opozycji Ośrodka KARTA, Relacja Idziego Gatnera. Por. K. Szwagrzyk, *Straceni na Dolnym Śląsku 1945–1956*, Wrocław–Rzeszów 2002, s. 37.

<sup>20</sup> Z. Jankowski, *Nie dać się okaleczyć [w:] Księga świadectw. Skazani na karę śmierci w czasach stalinowskich i ich losy*, red. K. Madej, J. Żaryn, J. Żurek, Warszawa 2003, s. 231.

<sup>21</sup> Zob. Wyciąg z ksiąg cmentarnych dotyczący osób pochowanych na Cmentarzu Osobowickim w latach 1946–1954 na zlecenie więzienia przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu opublikowany w: K. Szwagrzyk, *Golgota wrocławska...*, s. 720.

MARCEL PIELA, GDYNIA

# MIAŁEM TO, CO ZDĄŻYŁEM ZŁAPAĆ

Dziadkowie moi ze strony ojca to górale spod Żywca. Była tam gromada dzieciaków. Pamiętam czterech wujków i cztery ciotki. W latach dwudziestych był kryzys, który wypędził ich stamtąd. Wybrali się do Gdyni, ale jedna z ciotek wyjechała do Ameryki, druga do Brazylii, a ojciec mój wyjechał do Francji. Wcześniej w pierwszej wojnie światowej cztery lata walczył na froncie austriacko-węgierskim, z Rosjanami naturalnie. Był dwukrotnie ciężko ranny w klatkę piersiową, przestrelony na wylot. Był wysokim, kędzierzawym mężczyzną, z piękną plerazą, kobiety szalały za nim. Poderwał moją mamę i do Francji wyjechali razem. Tam się urodziłem.

Dziadek przyjechał do Gdyni pod koniec dwudziestych. On i jego trzech dorośli synowie, ci co zostali, zaczęli się budować. Wybudowali na Oksywiu piętrowy dom. A z czego się utrzymywali? Jeden był artystą malarzem i rzeźbiarzem, drugi również zajmował się sztuką. Mieli też lokatorów, bo to był piętrowy dom, wiem, że cztery mieszkania wynajmowali. Pieniądze na samą budowę mieli między innymi od ciotki z Ameryki. Mój ojciec też im przysyłał z Francji, bo moja matka była poznanianką, to wiadomo, że oszczędzała, żeby posyłać na ten dom. Mama zmarła w 1931 r., kiedy ja miałem sześć lat. Czuła, że umrze, że śmierć przychodzi, chciała umierać w Polsce. A do tego ojciec został wyrzucony z Francji w 1931 r. Były tam jakieś rozruchy i strajki i Francuzi nie patyczkowali się, jak ktoś z uczestników był cudzoziemcem, to won za granicę, do swojego kraju.

Ojciec wrócił tutaj na Oksywie. Ponieważ mieszkanie było zajęte przez lokatorów (ta część, która należała się ojcu, jedna czwarta), trzeba było odczekać, aż się gdzieś przeniosą. Dlatego ja mam w książce meldunkowej, że ojciec mieszkał na Oksywiu, ale pod innym numerem, a potem w naszym domu. Ojciec był inwalidą i miał rentę. Ja byłem jedynakiem, w 1939 r. miałem czternaście lat i kilka miesięcy.

## Zostałem sam

Wybuchła wojna. Ojca „odliczyli”, siedłem z nim w jednym szeregu do niewoli, ale ponieważ miałem krótkie spodnie, odtoczyli mnie, a ojca zabrali. I już go nigdy więcej zobaczyłem. Świadkowie, Kaszubi, którzy wrócili, mówili, że ojca wzięli najpierw do Stutthofu, a potem do Wejherowa. Tam jest ta słynna mogiła 12 tys. ludzi w Piaśnicy i najprawdopodobniej ojciec tam zginął. Dlaczego? Przecież był inwalidą wojennym z tamtych czasów, kiedy Niemcy i Austrowęgry byli w koalicji. Może ojciec, który lubił sprzeczki z Kaszubami, podpadł im? Ale budował schrony ludziom w 1939 r., w czasie wojny dziewiętnastodniowej, bo tyle Oksywie się broniło, pomagał budować różne kryjówki cywilom. Bo przecież masę ludzi uciekło na Oksywie, z Gdyni, ze wszystkich stron. Był to ostatni cyfel, który bronił się pod dowództwem pułkownika Dąbka.

Zostałem sam w domu, bo wszyscy puciekali, wszyscy lokatorzy, wujkowie też się wyjechali. Jeden pojechał w czasie wojny do Zielonki pod Warszawą i tam zginął. Drugi został zabrany do Katynia z Równego. Wcześniej był urzędnikiem bankowym w Gdyni. Do Równego trafił jeszcze przed wojną, bo został tam z rodziną przeniesiony służbowo. Stam-

tych zabrali ich Rosjanie, a że wujek był podporucznikiem rezerwy, więc zabrali go do Katynia. Zostałem sam jak kotek. Czekałem na ojca.

Dom duży, mogłem po nim biegać. Później wprowadziła się sąsiadka, starsza pani, która nie miała domu, bo wszystko wokół było spalone. Większość domów w naszej okolicy to były baraki, od strony Gdyni i od strony koszar. Całe to wzgórze jest dziś zarośnięte, a przedtem stał tutaj dom przy domu. Jak ta pani się wprowadziła, to mi gotowała, a ja starałem się z koszar przynieść coś do jedzenia. Tam było, jak to się mówi, żarcia w bród. I tak z tą panią zostałem.

### **Raus!**

20 października o piątej rano zapukali żandarmi niemieccy i raus! A przedtem trzeba było oddać klucze. Oddałem klucze od mieszkania, od bramy. Wywieźli nas.

Do tej wywózki mobilizowano nas dwukrotnie. Gdy przyszli pierwszy raz, to byłem przygotowany – miałem plecak, menażkę, manierkę, wszystko to było wojskowe, po marynarzach, bo mieszkaliśmy blisko terenu koszar. Wszystko sobie przygotowałem, nawet albumy ze znaczkami. Jak to chłopak. Ale wtedy powiedzieli – nie, nie wyjedziecie, bo nie ma pociągu. Może dlatego, że byliśmy tak przygotowani. A potem, za kilka dni, wpadli o piątej rano i raus! Wyrzucili nas. To, co zdążyłem złapać, to miałem: plecak, taki harcerski, a w plecaku, w kieszonkach jakieś fotografie z domu. Nawet nie zdążyłem zabrać dokumentów. I tak mnie zapakowali do wagonów towarowych, razem z tą panią. Muszę powiedzieć, że ona bardzo się mną opiekowała.

Przez spaloną Warszawę dotarliśmy do stacji Mordy za Siedlcami i tam nas na peronie wyrzucili: raus! raus! Niektórzy chcieli wracać do Lublina czy do Warszawy wozami konnymi, ale nie wolno było. Jestem przekonany, że jechaliśmy tam trzy tygodnie. Pociąg jechał w przód, potem cofał się, to most był zerwany i trzeba było objechać, to znów coś innego. Nikt nam jeść nie dawał, co kto złapał ze sobą, to miał. I ludzie się ze sobą dzielili. A po sześćdziesiąt osób było w wagonie towarowym, w tym dzieci, trudno sobie wyobrazić, jaka to była gehenna.

### **Tułaczka**

Na miejscu wozacy już czekali na nas i rozwieźli nas po wsiach. Ja trafiłem do wsi Cierpigórz. Do takich Białorusinów, bo to po akcencie poznałem. Jak odpoczęliśmy, bo byliśmy bardzo zmęczeni, to staraliśmy się stamtąd wydostać. Ale ja nie wiedziałem, w którą stronę ruszyć, więc ta pani powiedziała mi, że ma rodzinę w poznańskim i będziemy się starali tam dostać. Wtedy jeszcze nie było granicy GG. To już była zima, grudzień. Przedostaliśmy się wagonami. Pamiętam, że w tłoku spałem na stojąco. Było strasznie zimno.

Dojechaliśmy przez Warszawę do Konina, a stamtąd było już bardzo blisko do Ślesina, gdzie ona miała rodzinę. Przyjechaliśmy na wieś, do takiej chatki, ale tam gromada dzieci, nie było nawet gdzie spać, dom z gliny. A ja, co ja tam będę robił? Dali tam żurku zjeść. Nazywałem tę naszą sąsiadkę ciocią. Ona tam została, dała mi parę srebrnych monet na drogę (miała przed wojną duży sklep kolonialny na Oksywiu).

### **Praca u Niemców**

W marcu 1940 r. zaczął się spis policyjny wszystkich Polaków. No i wpadłem, już miałem piętnaście lat, więc już nadawałem się do pracy. Podałem swoje dane: jakim językiem mówicie w domu – naturalnie po polsku, gdzie urodzony – Frankreich (Francja), jakiej

wiary – rzymskokatolickiej. Wszystko szczegółowo spisywali. Dostałem nakaz pracy. Poszedłem do pracy do gospodarza. Jako piętnastolatek nie byłem w specjalnej kondycji, ale z czasem się wyrobiłem. Już wiedziałem, że dostanę kawałek chleba na śniadanie, zupełny na obiad. Takich wysiedleńców było tam dużo.

Pracowałem ciężko i nie zawsze byłem najedzony, a praca była od rana do wieczora. Cztery konie, a ja konia się bałem, miejskie dziecko, a tu musiałem je w jednej ręce utrzymać, żeby orać albo bronować. Ale wszystkiego się człowiek nauczy. Gospodarzami byli tam Niemcy z Besarabii. Ci Niemcy wszystko mogli ze sobą zabrać, pamiętam takie łopatki, wiaderka zardzewiałe, wszystko przywieźli ze sobą. A tutaj dostali gospodarstwa polskie, po Polakach wysiedlonych z tej wsi. A jak tam był bogatszy, bo Niemcy to skrupulatnie notowali, to tutaj dostawali trzy gospodarstwa albo dwa duże. Byli tacy, którzy majątki dostawali po Polakach. Do takich „Besarabów” trafiłem, którzy byli przekonani, że wojnę wywołali Polacy. I co rusz mi to przypominali – bo znałem język niemiecki – *Bromberger Blutsonntag*, tę „krwawą niedzielę” w Bydgoszczy, że to Polacy są winni temu, że oni zostali wysiedleni z Besarabii. Traktowano mnie jak takiego *polnische Hund*, jak mówili.

### „Wyzwolenie”

Nadszedł styczeń 1945 r. Oni do ostatniej chwili nie chcieli opuścić tych polskich gospodarstw, tu mieli po czterdzieści hektarów na osobę, a co mieli w tej Besarabii, nie wiadomo. Rosjanie zaczęli się zbliżać, słychać już było huk armat czołgowych. Ja zostałem, nazwijmy to, wyzwolony, 21 stycznia w 1945 r. Była straszliwa zima. Załadowaliśmy na wóz wszystko, co tylko było po Polakach, bo Niemcy zajęli przecież gospodarstwa, które były wyposażone we wszystko. Mnie nie wolno było wchodzić do domu, do mieszkania, byłem przecież obcy. Polak nie miał prawa spać w mieszkaniu, tylko w stajni. Załadowaliśmy, ile się tylko dało. Wszystko zabrali – to, co przywieźli, i to wszystko, co pozostało po Polakach. Szły trzy konie, jeden został. Swój kufeczek zabrałem i na wóz, bo miałem powozić. Wyjeżdżała moja szefowa z dziećmi. Jej mąż zginął na wschodnim froncie, była pod opieką takiego Ordsbauerführera, naturalnie z SS. Przychodził co jakiś czas i sprawdzał, jak ja się zachowuję, czy jestem w stosunku do niej grzeczny. Parę razy oberwałem, mam nawet dziury w głowie, bo odpyskowałem. Ona mnie jakoś tam broniła, bo inaczej by się nie porozumiała z nim, taka trochę to była ciemna baba, niemieckiego nie znała.

I na tym wozie, wieś była oddalona od głównej szosy jakieś dwa kilometry, boczną drogą dojechaliśmy do głównej. Już z daleka słyszałem szum i hałas wozów. Nie tylko nasz wóz był tak wyładowany. W kierunku na Poznań szły tysiące wozów. Mnie to nie było po drodze, gdzie ja tam mam do Vaterlandu jechać, a oni wiadomo było, że jadą do Niemiec. A cały czas słyszałem, że Rosjanie się zbliżają. Co chwilę schodziliśmy z wozu, żeby nogi rozgrzać, bo obuwia nie było odpowiedniego. Koło nas kręciło się przy wozach dwóch, trzech Polaków i mówią – przyskamy, trzeba zwiewać, bo nie wiadomo, co będzie. A byliśmy eskortowani przez żołnierzy. Wskoczyłem w pobliżu zagajnika – i chodu. Zwaliliśmy we trójkę. Strzelali za nami, kolega został ranny w dłoń, bo jakoś tak ręką machał. Opatrzyłem go. Schowaliśmy się pod gałęzie, gdzie nie było śniegu. Wcisnąłem się tam.

Obudził mnie rosyjski bagniet. Żołnierz kłuł mnie w plecy, zmarznięty byłem. Ty kto? *Ja Paliak* – mówię po rosyjsku, bo ten gospodarz, u którego pracowałem, to po rosyjsku umiał, więc mówił, *karowa, łoszadi*, i kilka słów rosyjskich znałem. Jak powiedziałem, że *Paliak* – *No, to wychadi. Gdzie Giermańcy?* Pokazałem w kierunku szosy, ona była w odległości jakiegoś kilometra. *No, to idi nazad*. Nawet mnie tam ugościli, bo byłem taki zmarznięty.

A kolegów już nie spotkałem. I wróciłem na to miejsce, skąd wyjechaliśmy, bo kuferek przy sobie, ale jeszcze miałem kilka rzeczy schowanych w słomie. Wróciłem na to gospodarstwo, przenocowałem jeszcze w swoim wyrku.

### **Powrót**

Później zgłosiłem się do WKR do Konina. Bo tak myślałem, co ja mam robić? Nie mam żadnych znajomych. Tej pani, tej mojej „cioci” nie było (później spotkałem ją w Gdyni). Jestem zupełnie sam. Idę na pociąg – nie ma żadnego pociągu – tory zerwane, bo Rosjanie poszerzali linię Konin–Poznań. Potem przez Swarzędz – tam był most zerwany, musieliśmy nosić kamienie i podsypywać wiadukt. Pomagaliśmy w tym – ale później miałem okazję kawalek pojechać samochodem za czółgiem. Zgłosiłem się do WKR w Koninie i dostałem zaświadczenie. To był mój jedyny dokument, do dziś go mam.

Bardzo chciałem iść do marynarki wojennej. I wracałem do Gdyni – pociągami, furmanką, pontonami. Czasami wrzeszczeli na mnie jacyś spotykani Rosjanie – *idi, ty, szpion* – ale ja się ich nie bałem, mówiłem im wierszyki, śpiewałem im czastuszki, tak że specjalnie mnie nie gnębili. I ja, taka sierota, dostałem się aż do Tczewa i tam przez most przyjechałem do Gdańska, jakiś samochód mnie zabrał. W Gdańsku spotkałem się z moim nauczycielem Piotrem Cieślawskim. Spotkałem go w takich okolicznościach, że leżeliśmy obok siebie na podłodze w domu noclegowym PCK we Wrzeszczu. Rano się budzimy i ja mówię – pan Cieślawski. – A ty co, skąd mnie znasz? – No jak to, ja jestem przecież pańskim uczniem, byłem harcerzem (później spotykaliśmy się w Gdyni).

Wyruszyłem do Gdyni, to trwało kilka godzin, bo nie było komunikacji, ale dotarłem na Oksywie, do domu. A tutaj – nie ma śladu! Nawet jednej cegły nie znalazłem. Nic nie zostało. Wokół wszystko spalone. Nie wiem, co się stało. Jedni mówili, że Anglicy bombardowali. Ja jestem przekonany, że to nasi Polaczkowie, ci, co zostali, Kaszubi, ci folksdojcz, rozebrali to, bo im cegły były potrzebne. A dzisiaj nie można tam wejść, bo jest kolczasty drut, ogrodzenie terenu marynarki wojennej i krzewy takie, że nic nie widać. Tak wyglądał mój powrót do domu.

### **Niemcy w marynarce**

A dalej? No, miałem to zaświadczenie z Konina, zgłosiłem się do pana kaprala w WKU. Pan kapral miał tylko na rękawie biało-czerwoną opaskę, nie było mundurów w tym czasie. Ale pamiętam, że miał stopień kaprala. On dał mi zaświadczenie, że: 11 lutego 1945 r. zgłosił się Marceli, syn Michała, i ma się zgłosić w Gdyni do marynarki wojennej. On nawet nie wiedział, co to jest marynarka wojenna. To takie proste chłopsko, dali mu karabin i pełnił tę służbę. Zanim trafiłem do marynarki, trochę pokręciłem się jeszcze za dziewczynami, za tym i owym, przecież miałem już dwadzieścia lat. No, wreszcie dostałem tę czapkę, z orzełkiem, co prawda nie miał korony, ale była czapka. Nie musiałem jej przed nikim zdejmować, mogłem chodzić po chodniku, to był mój sukces. Odsłużyłem swoje.

Perypetie są znowu. W marynarce wojennej lubiłem troszkę krytykować, malować, pisać wierszyki. Nie wszystkim się to podobało. A ja miałem taką zdolność, że wykrywałem, wyczuwałem Niemca na kilometr, tak jak milicjanta. Mój drużynowy był z Kriegsmarine niemieckiej. Dowódca plutonu to żandarm niemiecki itd. Był taki rozkaz marszałka Żymierskiego, że wszyscy marynarze, oficerowie i podoficerowie mają stawić się do marynarki wojennej. Oficerów można było na palcach policzyć, bo wszyscy zostali w Anglii, ale podoficerowie powychodzili z nor. A później się okazało, że albo był w niemieckiej marynarce,

albo był w żandarmerii, a jak ze Śląska, to i gestapowiec się zdarzył. Tacy byli ci oficerowie i myśmy ich później w Nowym Porcie wykrywali. A kto ich wykrywał? Przyszedł nowy rocznik rekrutów i poznawali – ty bracie mojego ojca zabiłeś! Był w marynarce taki Profos, szef żandarmerii. I syn, którego ojca on zabił, z Warszawy, poznał go. Informacja zaczęła śledztwo i wykrywali, kto był Niemcem.

### **Kolporter? Kurier?**

Długo nie dostawałem stopnia, bo jedna z moich ciotek, która była w Chicago, prosiła, żebym przysłał zdjęcie. Zachciało mi się posyłać zdjęcia w mundurze marynarskim, z pepeszą, a jej syn przysłał mi zdjęcie na lotniskowcu, bo też był marynarzem. No i wykryli to zdjęcie nasi informatorzy, a tam jeszcze podpis: kochanemu kuzynowi Marcelemu... Ale to jeszcze mało. Ni stąd, ni zowąd wołają mnie na bramę – poczta. Przyszło, no nie wiem, kilkadziesiąt rolek gazet amerykańskich i na każdej banderoli nie Marcel Piel, ale Wojciech Piel, czyli dziadek. Bo dziadek przed wojną zamówił abonament, czy też córka mojemu dziadkowi to zamówiła... Regularnie przychodziły do nas przed wojną gazety w języku polskim z Ameryki – chyba „Gwiazda Poranna”, coś takiego. To były olbrzymie płachty, a wewnątrz – Sienkiewicz, Mickiewicz, Żeromski, powieści w odcinkach. Przed wojną ja to wycinałem i kompletowałem. Ale jak to przyszło do mnie do marynarki, bo ten kuzyn to wszystko przysłał... Na pierwszej stronie gazety – komuniści to! Stalin tamto! No, wiadomo, Piel kolportuje amerykańskie gazety?! Byłem już wtedy żonaty. Za żoną też chodzili i ostrzegali ją, że to taki niepewny człowiek. A w tym czasie akurat w marynarce rozstrzeliwali komandorów.

Byłem wtedy w Kołobrzegu. Moim przełożonym tam był komandor Mieszkowski, który został potem rozstrzelany. Wcześniej, tak jakoś się złożyło, że chciałem jechać na przepustkę do Gdyni. No i komandor mówi, owszem, dam ci przepustkę, ale weź paczkę, zawiesz z żonie zmianę bielizny do prania. Dobrze znałem Gdynię i wiedziałem, gdzie mieszka jego rodzina, więc tę paczkę wziąłem. I tak kilka razy jeździłem. A chłopaki byli zadowoleni, bo ja zawsze coś przywożłem z Gdyni, coś do zjedzenia, jakąś watówkę. Ale jak go arestowali, to mnie wzięli, że byłem kurierem. Jakim kurierem? Ja mu bieliznę woziłem! To była moja służba czynna w marynarce wojennej.

### **Kłopoty z mieszkaniem**

Jak mnie zwolnili z marynarki, wróciłem do Gdyni, ale powiedzieli mi, ty ptaszku jesteś wyszkolony, to my cię tu tak po prostu nie puścimy. Napisałem raport o zwolnieniu. Później przeszedłem w Warszawie szkolenie i zostałem komendantem Obrony Cywilnej dla Gdyni. Nie bardzo mi się to podobało. Różne perypetie przechodziłem, raport za raportem pisałem. Przyjechał nawet generał z Warszawy, pół godziny ze mną rozmawiał – wy jesteście zdolni, my was znamy... Skąd oni mnie znają? Mieszkałem z żoną kątem u Żemojła (to był dyrektor amerykańskich linii). Wtedy był taki zwyczaj, że jak ktoś miał trzy pokoje, to mu kogoś dokwaterowywali. Ja byłem dokwaterowany. Jeszcze jak byłem tym komendantem, to napisałem podanie do przewodniczącego, że nie mam gdzie mieszkać. Żona pracowała w urzędzie miejskim w ewidencji, a ponieważ Obrona Cywilna podlegała przewodniczącemu miejskiej rady, pracowaliśmy w jednym urzędzie. Nie mieliśmy gdzie mieszkać, ona kątem, ja kątem. Wtedy dostałem u Żemojła mieszkanie. Ale ja wciąż chodziłem – panie przewodniczący, ja nie mogę w jednym pokoiku, ten Żemojł pcha się do mojej żony, a jego żona, taka stara baba, pcha się do mnie! Dał mi przydział.



Trzeba się było w administracji zameldować. Poszedłem i mówię, że mam przydział na mieszkanie. A tam naczelnik mi odpowiada: ten przydział to sobie możesz powiesić wiesz gdzie? Ten naczelnik to był słynny w Gdyni wysiedlacz, od niego zależało, kogo się wysiedla z miasta. Bo z Gdyni też wysiedlali. To nie żadna SB, nie milicja, tylko on. On był szujką. Poszedłem więc do przewodniczącego i mówię: naczelnik administracyjno-polityczny, bo to był taki wydział, powiedział, że ja mam sobie ten przydział na gwoździu w wygodce powiesić, a pan mi podpisał. Zdenerwował się, to był Ukraińiec, ponoć był komunistą ukraińskim, a tutaj został przewodniczącym rady. Miał też trzech zastępców: Miętkiego – to był robotnik z portu, szef kadr to był górnik francuski (u niego miałem poparcie), Stawiarski, też z Francji, był sekretarzem (miał kopiowy ołówek, a jak się miał podpisać, to trwało to pół godziny).

## Znalezisko

Prowadziłem w Gdyni ewidencję wszystkich schronów – przedwojennych i niemieckich, bunkrów, szczelin, podpiwniczeń. To był 1951 r., pilnowałem, żeby syreny działały, bo to był okres zimnej wojny. Jak budowano coś nowego, np. hotel, to takie były przepisy: ileś metrów grubości stropów i ileś metrów budowy pod ziemię, w głąb, żeby ci ludzie z hotelu mogli się schować do schronu. Ja do tej pory znam te miejsca, każdy dom, jak chodzić pod ziemię, jak się przedostać. Ludzie często nie chcieli mnie wpuścić do piwnic. A tam kurz, brud! Miałem taki niemiecki płaszcz i w nim schodziłem pod ziemię. W wielu piwnicach po wojnie była woda. Szedł człowiek po schodkach i nagle wpadał po uszy, bo kurz pokrył wodę i wydawało się, że to jest cement.

Ale dokończę o tym naczelniku, co mnie tak gnębił i tak mnie postponował, nie tylko mnie, wszystkich. On decydował o wysiedleniu z Gdyni albo zameldowaniu. Zameldować się było bardzo trudno. Proszę sobie wyobrazić, że ja dostałem obywatelstwo polskie dopiero, jak byłem już oficerem. Wtedy wybagałem, wyprosiłem, że jestem obywatelem polskim i mam prawo mieszkać w Gdyni.

To było w 1955 r. Jednego razu penetruję piwnicę, nie powiem gdzie, bo to byłaby zdrada tajemnicy... Na ogół byłem z technikiem, ale wtedy byłem sam. Część była zawalona. Trzeba było te cegły odgarniać. Patrzą, szafa pancerna. Odsunąłem te gruzu, nie miałem latarki na baterie, ale miałem taką latarnię na naftę. Postawiłem ją i dawaj odgarniać. Jest szczelina, drzwi uchylone. I widzę, że przy zamku jest wgniecenie, ktoś tam majstrował z trotylem. Na pewno Ruski, bo oni sobie tak otwierali. Ale jak odsunąłem te gruzu, to te drzwi się otworzyły. Odsunąłem je. Że skarbów tam nie ma, to byłem pewny. Ale widzę teczki, na dole książki. Odkurzyłem, patrzę – *Mein Kampf*. Odrzuciłem, żeby rąk Hitlerem nie brudzić. Ale te teczki... Tam był jeden taki wąski segregator. Otwieram i widzę, takie duże zdjęcie tego naczelnika i w języku niemieckim: „Najuniżeniej proszę mojego Führera o przyjęcie mnie na drugą grupę. Zostałem pod Smoleńskiem ranny, posiadamy Krzyż Żelazny”. Cała teczka to było za dużo, zostawiłem ją, ale to podanie ze zdjęciem schowałem za pazuchę i poszedłem do przewodniczącego. Przewodniczący jak to zobaczył, to od razu zrobił zebranie partyjne. Naczelnik wyleciał z partii i z miejsca go zwolnili ze stanowiska. Jak się go ruszyło, to dopiero wszyscy zaczęli o nim mówić, ten drań, ten sukinsyn, swofocz. To nie był jedyny przypadek.

Po znalezieniu tych dokumentów ja już długo w Gdyni nie pracowałem. Już też byłem niepewny. Przychylili się do mojego raportu i zwolnili mnie. Poszedłem do Gdańska do pracy, do stoczni.

# WYGNANIA I POWROTY

Rodzice przyjechali do Gdyni jako młodzi ludzie w latach trzydziestych. Mama przyjechała z Poznańskiego, z miejscowości Krobia, wraz z trzema siostrami i dwoma braćmi, którzy założyli tutaj interesy. Jeden z braci założył sklep kolonialny, w którym pracowała jedna z siostrz mami, a mama z drugą siostrą pracowały i pomagały drugiemu bratu w prowadzeniu masarni i sklepu. Mama sprzedawała w sklepie. To było na ul. Morskiej 63 (obecnie i przed wojną). Dom był dość duży, pobudowany przez jednego z miejscowych ludzi, Kaszubów, który sprzedawał na potrzeby infrastruktury miasta i portu wiele ziemi. Pobudował także ten budynek czynszowy, w którym mieszkali lokatorzy. To był duży blok. Moja mama mieszkała tam już jako panna. W tym samym domu wynajmował kwaterę mój ojciec. Zaprzyjaźnili się i tak powstało ich małżeństwo.

## Sąsiadka akuszerka

W tym samym domu mieszkała również pani, która była akuszerką. Jej córka mieszka dziś w Koszalinie i jest członkiem naszego Stowarzyszenia Gdynian Wysziedlonych. Ona przekazała nam spis porodów odebranych przez jej mamę. To dla nas bardzo ważne informacje, bo jej matka rozpoczęła pracę akuszerki w 1918 r. w Tczewie. Potem się przeniósła do Gdyni, najpierw odbierała porody w Śródmieściu, a potem w Chyloni. Jej losy były podobne do naszych. Została wysiedlona z Gdyni do Generalnej Guberni i dalej do Związku Sowieckiego. Jako akuszerka odbierała porody w czasie wysiedleń, w transporcie, potem także w drodze powrotnej do Gdyni – w Chełmie, Lublinie. W Gdyni nie miała gdzie się zatrzymać, bo jej dom już nie istniał, więc wyjechała do Koszalina i tam zakończyła swój żywot. W zachowanym spisie odebranych przez nią porodów są tysiące nazwisk.

Ta pani mieszkała w tym samym domu i odbierała w porodzie moją siostrę. Miałem okazję jeszcze się z nią spotkać i zapytałem, czy pamięta, że w tym domu, gdzie mieszkali przed wojną, na dole było rzeźnictwo. Ona powiedziała, że do dzisiaj jeszcze czuje smak kielbasy, którą produkował ten rzeźnik, to znaczy mój wujek.

## Korzenie

My pochodzimy z rodziny, w której tradycją jest wędliniarstwo. Moi kuzyni kończyli specjalną szkołę w Krotoszynie i też trudnili się masarstwem. A mój tata przyjechał spod Świecia, z Błędzimia, to są Bory Tucholskie. Tam z kolei była tradycja stolarska. Został przyuczony do stolarstwa i rozpoczął pracę w jakimś zakładzie pracującym na rzecz stoczni. Gdy poznał mamę, to jej bracia skrzyknęli się i pomogli w zakupie jednego ze sklepów państwa Sieradzkich, na ulicy Słupeckiej 17, i tam mama z tatą prowadzili własny sklep. To był dobry interes, skoro do 1939 r. rodzice już sami kupili drugi sklep. Na tej samej ulicy otworzyli sklep spożywczy, w nowocześniejszym domu u pana Ferenca. W tym domu na Słupeckiej 12 „a” ja się urodziłem. I właśnie stamtąd zostaliśmy wysiedleni. Sam nie pamiętam tego wysiedlenia, jestem najmłodszym członkiem naszego Stowarzyszenia Gdynian Wysziedlonych i dlatego w 2000 r. powierzono mi funkcję prezesa. Znam to z opowiadań. Natomiast pamiętam, bo już byłem trochę starszy, nasz powrót do Gdyni.

Gdynia-Działki Leśne, bo tak się nazywa ta dzielnica, gdzie mieszkaliśmy przed wojną, to była prominentna dzielnica, willowa, tam mieszkali ludzie zamożni. Nie wyganiano nas z domów do pociągu, tylko podstawiano samochody i samochodami ewakuowano, najpierw w kierunku na zachód, a potem na Warszawę.

### Zakładnicy

W Gdyni zostało pięć tysięcy ludzi, zatrzymanych 16 września 1939 r. Zabrano ich z domu albo z łapanek na ulicy i zostali zakładnikami miasta, bo po poddaniu się Gdyni przyjechał tu Hitler. Żeby Hitlerowi nic się nie stało, zatrzymano tych ludzi. Zapędzono ich do szkół albo do domów emigracyjnych i tam oczekiwali na zakończenie wizyty Hitlera. Potem nastąpiła selekcja według przygotowanych list. Niemcy byli dobrze zorientowali, kto spośród mieszkańców Gdyni jest nastawiony proniemiecko, a kto jest Polakiem, który się nie da zaprzedać. Według takich list proskrypcyjnych kierowano polskich zakładników do Wejherowa albo do Nowego Portu w Gdańsku. Ci z Nowego Portu wyładowali potem w Stutthofie, w obozie koncentracyjnym. Ci kierowani do Wejherowa zostali potem rozstrzelani w lasach piaszczystych. Tam rozstrzelano od 12 do 14 tys. polskiej ludności cywilnej. To jest jeszcze mało znane miejsce, tak samo jak mało znany jest Stutthof, pierwszy niemiecki obóz koncentracyjny dla Polaków, który od 3 września w 1939 r. przyjmował więźniów. Zakończył swoją „działalność” 10 maja 1945 r. Czyli był to najdłużej działający obóz koncentracyjny, w którym zginęło 85 tys. istnień ludzkich.

Nie wszyscy gdynianie byli wypędzeni, część została. Nie mam pretensji do tych, co byli kolejarzami, co obsługiwali wodociągi, to była kadra potrzebna miastu. Ale zostali tam też ludzie bez zawodu, którzy byli niemieckimi sługusami. Jak przyszedł okres rehabilitacji, to oni zostali zrehabilitowani, a potem byli pierwsi zastrżeni w pracy i z przywilejami.

Mój tata, kiedy myśmy już wyjechali, a on przestał być zakładnikiem, uciekł i ukrywał się w lesie. Potem starał się zabezpieczyć nasz majątek. Zdeponował nasze ruchomości u pana Ferency – Kaszuba, właściciela domu, który zaopiekował się naszymi rzeczami domowymi, wagami sklepowymi, wszystkim. Później ojciec pieszo wyruszył w kierunku moich dziadków i tam spotkał się z nami. Jeszcze jak się ukrywał, dołączył do niego nasz kuzyn. I on razem z ojcem przybył do dziadków.

### W Wielkopolsce

A z nami było tak: niemieccy kierowcy dostali polecenie, że mają nas zostawić gdziekolwiek pod Warszawą. Mama wraz z ciotkami, czyli swoimi siostrami, znaty niemiecki i przekupiły kierowców niemieckich, którzy mieli nas zostawić w okolicach Warszawy i jechać na zachód, do Niemiec, po dalsze wyposażenie dla wojska, dla frontu. Zabrali nas więc ze sobą i po drodze zajechali do Krobi i tam nas wysadzili. Na tych samochodach (to nie były luksusowe samochody, to były ople blitz) jechaliśmy my, ale również nasi pracownicy i uczniowie, bo ojciec tuż przed wojną zakładał już fabrykę cukierków, miał uczniów, pomocników i ich wszystkich miał obowiązek zabrać tam, skąd pochodzili. Wśród nich był jeden z moich kuzynów, który miał czternaście lat i przyjechał uczyć się do Szkoły Morskiej. Trzy dni wcześniej Niemcy dokonali w Krobi egzekucji piętnastu cywilów, żeby zastraszyć ludność. Takie rozstrzelania były w różnych okolicznych miejscowościach – w Dolsku, Śremie, o czym wiedzieli wszyscy miejscowi ludzie. Mój kuzyn i jego matka nie mieli po co jechać do Krobi, bo jego wujek, Henryk Balicki, został rozstrzelany na rynku w Krobi przez Niemców. Cała rodzina Balickich została ewakuowana do Tarnowa.

Ojciec dotarł do nas jakoś tak w okolicy Bożego Narodzenia. W Krobi byli już „nasiedleni” Niemcy. Był taki gospodarz Franz Weigt, który objął duże gospodarstwo po wysiedlonych Polakach. On zatrudnił moją mamę. Wykonywała u niego różne prace gospodarcze, przy dojeniu krów, przy obrządku. A ojciec, ponieważ znał się na obróbce drzewa i znał niemiecki, znalazł pracę u córki tego Weigta, Hildy, która objęła miejscowy tartak, ale kompletnie się na tym nie znała. Mieszkaliśmy kątem u pani Dopierały, której syn był gazmistrzem. Wtedy w takich małych miejscowościach gaz wytwarzało się z węgla. Robił to właśnie jej syn. Dlatego, że on był w tej miejscowości potrzebny, zostawiono im dom i my mogliśmy tam zamieszkać kątem, na dwunastu metrach. W takim niewielkim pokoju stały dwa łóżka, jak sobie przypominam. Ogrzewanie było kozą.

### Wojenne dzieciństwo

Jako dziecko w czasie wojny wiele czasu spędzałem nie na ulicy, a w piwnicy, bo byłem blondynem, w odróżnieniu od mojej siostry, która miała ciemne włosy. Rodzice bali się o mnie, bo w Krobi u państwa Andrzejewskich Niemcy zabrali dwóch chłopców do zniewolenia na terenie Rzeszy. Jak szedł żandarm niemiecki, to rodzice mnie zamykali w piwnicy. Dzięki temu jestem w Polsce, bo gdyby mnie jako dzieciaka zabrali, to nie wiadomo, czy nie stałbym się zniewieczonym Polakiem.

Jak miałem pięć lat, to miałem obowiązek pasać gęsi. Pamiętam, że na tym podwórzu, gdzieśmy je paśli, była taka duża sadzawka. Z siostrą często przekomarzaliśmy się. I przez tę moją siostrę i przez te niemieckie gęsi byłbym się utopił, gdyby nie podniesiono alarmu, że wpadłem w to grzęzawisko.

### Polskie kolędy

Wojna tam skończyła się gdzieś na początku lutego 1945 r., ale już na Boże Narodzenie w 1944 r. ten Weigt i Hilda opuścili Krobię, bo mieli wiadomości, że front idzie szybko, więc nie ma na co czekać. Pamiętam, że w tę ostatnią Wigilię mogliśmy już mówić po polsku i śpiewać po polsku. Wtedy usłyszałem pierwsze polskie kolędy. Został otwarty kościół, który do tej pory był magazynem. Tam były chyba cztery kościoły i one wszystkie były przerobione na magazyny. Niemcy zaczęli opuszczać ten teren. Obserwowaliśmy – w styczniu, w lutym, w tęgi mróz – Niemcy jechali na zachód zaprzęgami konnymi, niektórzy szli obok wozów. Każdy koń ciągnął za sobą co najmniej dwa wozy, bo tyle rzeczy zabierali Niemcy ze sobą, tyle nagrabili. Uciekali na zachód, a dzień, dwa za nimi szedł front radziecki, czołgi. Rosjanie, pamiętam ich wyposażenie, te karabiny na sznurku. Jak oni wpadli do mieszkania i zauważyli dzbanek ze złotym brzeżkiem – *eto zo foto!*, dawaj kuć, odkuwać itd. To były takie czasy.

### Powrót do Gdyni

Najpierw do Gdyni pojechał ojciec – w lutym, może na początku marca, żeby zorientować się, co się dzieje. Pierwsze, co zobaczył to, że na Słupeckiej 12 „a” stoi samochód w sklepie. On wjechał w ten sklep z góry, z ulicy Urszulanek. Ojciec przygotował wszystko na nasz powrót. Wróciliśmy 15 maja 1945 r. Jechaliśmy przez Poznań, gdzie trzy, cztery dni czekaliśmy na dalsze połączenie. Były pozrywane mosty, poniszczone drogi. W Poznaniu mieliśmy gdzie się zatrzymać, bo tam była nasza rodzina. Wujek Bolesław Smektała, u którego się zatrzymaliśmy, był na Syberii, za Katyń był na Syberii. On się urodził w Westfalii, bo ojciec jego pojechał tam jako górnik. Wujek znał język niemiecki i flamandzki,

i był tłumaczem. Była taka ekspedycja, niewiele się o niej pisze, do Katynia, on tam był tłumaczem, ale potem Rosjanie go złapali i zesłali go na Sybir. Gdy wrócił w 1948 r., to jego żona, siostry i córki nie poznały go, tak był wyniszczony. Wcześniej, tak jak wszyscy w naszej rodzinie, był dobrze zbudowanym, postawnym mężczyzną, a jak wrócił, to ważył czterdzieści kilo. W Poznaniu ojciec zorganizował transport do Gdyni. Tak jak nasi różni znajomi wyjeżdżali z Gdyni bydlęcymi wagonami, tak myśmy bydlęcymi wagonami wrócili do Gdyni.

### **Komunistyczne wysiedlenie**

Zamieszkaliśmy w tym domu na Słupeckiej 12 „a”, w mieszkaniu, którego nam przypomniał właściciel, pan Ferenc. On nie wyjeżdżał, był kaleką, a opiekowała się nim pani Mikołajczykowa. Zadbali o nasze mieszkanie, bo byliśmy dobrymi lokatorami, wynajmującymi też sklep.

Miasto się rozwijało, rozwijał się też handel. Ojciec miał taki wózek, którym zwoził towar, czasami pożyczał od sąsiada konia. Istniała już Państwowa Centrala Handlowa, skąd woził cukier, sól, wszystko, co było potrzebne w sklepie kolonialnym, mydło oczywiście. Powoli coraz lepiej mu szło, no, ale to była prywatna inicjatywa. W 1947 r. trzeba było tę prywatną inicjatywę zlikwidować, zdusić. Najpierw była bandycka napaść na dom, na nasze mieszkanie. Ojciec rozpoznał bandytów, bo to nie byli jacyś anonimowi ludzie. To byli funkcjonariusze II Komisariatu Milicji z ul. Pomorskiej. I za to, że ich rozpoznał i zgłosił to, oczywiście był szykanowany. Pojawiły się kontrole: PIH, SANEPID – a to brak jakiejś kartki, a to brak ceny. Jako spekulant odwiedził wtenczas więzienie we Wronkach i w Gdańsku.

I tak to trwało do 25 kwietnia 1950 r. Wracam ze szkoły, a chodziłem do szkoły nr 2 na ulicę Leśną w Gdyni, obecnie ul. Wolności. Lecę do domu, rozradowany, że już po lekcjach, a w drzwiach stoi pan z pepeszą. I mówi – a ty chłopcze? A ja mówię – usuń się pan, żebym mógł wejść do domu. A on mówi – a do jakiego ty domu chcesz wejść, jak ty się nazywasz? – Wietrzykowski! – A, to tam, na samochód. Pod dom podstawione były samochody. Już nie opel blitz, tylko studebackery z unrowskiej dostawy. Sprzęty i wyposażenie sklepu przejęło MHD, wyposażenie mieszkania też zostało w Gdyni, myśmy wzięli tylko bagaże podręczne, ja teczkę z przyrządami szkolnymi. Tak więc nasza rodzina przeszła dwa wysiedlenia, jedno to niemieckie, a drugie peerelowskie.

### **Niszczą spekulantów**

I wywieźli nas na Żuławy. Tam mieliśmy spędzać dalsze życie, bo spekulantów trzeba niszczyć, prywatną inicjatywę należy niszczyć, nacjonalizacja, domiary... Prywatnym właścicielom odebrano sklepy. W Gdyni na Świętojańskiej był taki pan Ratajczak, też mu odebrano sklepy, innym też, i utworzono przedsiębiorstwo MHD i MHM (my handlujemy mięsem). Na skutek interwencji mama dostała pracę. Dojeżdżała z Żuław do pierwszego otwartego sklepu spożywczego na ulicy Długiej, a jej współpracownica, pani Hałasowa, z Oksywiu, pociągami parowym do Gdańska (też jej zabrano sklep, ale nie wyrzucono z mieszkania). Nasze mieszkanie na Słupeckiej 12 „a” zostało zajęte przez nauczycieli, takich, którzy uczyli poprawnie. Jeden z nich nazywał się Brzuchacz. Przyszedł z frontem, jako *fizykulturnik*, nauczyciel gimnastyki. Po jakimś czasie zmienił nazwisko na Brzeski, bo Brzuchacz to nieładne. A drugie nasze mieszkanie zajęła pani Ratajczak, też nauczycielka. Zimą przebyliśmy na Żuławach, a w 1951 r. ojciec swoimi ścieżkami i swoim sumptem dostał mieszkanie w bloku przy ul. Reya 8. Byliśmy pod stałym nadzorem. Obok mieszkała służba

bezpieczeństwa i to mieszkanie służby bezpieczeństwa jest tam utrzymywane do dnia dzisiejszego. Najpierw mieszkał w nim człowiek, który miał niższe dystynkcje, potem doszedł do majora, pracował w WOP, w milicji, w GPK, a potem wybudował sobie dom.

### **Obraza majestatu**

A jeśli chodzi o nasze przedwojenne tzw. ruchomości, nasz dobytek, to nie odzyskaliśmy go po 1939 r. Wszystko było przechowywane na ul. Morskiej 63. Jak ojciec zgłosił się po nie do tego właśnie pana, który był wcześniej bardzo przyjazny dla nas, to on powiedział, że rzeczy naszych nie ma. Jak ojciec mu powiedział, że jest złodziejem, to on powiedział, że obraża członka partii. On w czasie okupacji przemianował się na folksdojczka, a po wojnie szybko został zrehabilitowany i wpisał się na listę członków PPR. Ojciec został skazany za obrazę członka, aktywisty partyjnego w dzielnicy Chylonia.

### **Miasto szczególne**

Mówimy o wysiedleniach. Pierwsze wysiedlenia z Gdyni to był 1939 r. To były pierwsze wysiedlenia na terenie okupowanej Polski. Obozy przejściowe i wydział przesiedleń utworzono w marcu 1940 r. Ale wysiedlenia na terenie Gdyni trwały jeszcze bardzo długo. Do 1956 r. był zakaz meldowania się w Gdyni i samowolnego jej opuszczania. W strefie nadgranicznej nie wolno było mieszkać i przebywać „niepewnemu elementowi”, ludziom przedsiębiorczym, którzy mieli inicjatywę albo inne spojrzenie na rozwój miasta, floty, gospodarki. Ci ludzie musieli się usunąć, byli wysiedlani. Rodziny moich kolegów ze szkoły z dnia na dzień wyjeżdżały poza Wybrzeże, były wysiedlane nawet pod Warszawę. Nawet Eugeniusz Kwiatkowski też miał zakaz przebywania w strefie nadgranicznej, został wysiedlony z Gdyni tylko dlatego, że się nie zgadzał z ideami rozwoju, rozbudowy tego układu Gdańsk–Gdynia.

19 sierpnia 1957 r. zostałem zatrudniony w porcie, ale ponieważ uprawiałem sport, biegałem w przystoczniovym klubie, to do pracy poszedłem faktycznie w latach sześćdziesiątych. Ale nie miałem prawa wejścia na stojące statki. Dopiero w 1963 r. dostałem bon, uprawniający mnie do wejścia na statki, który musiałem każdorazowo zdawać. Cały czas miałem w dokumentach napisane – politycznie niepewny. Przepustkę stałą na wejście na statki stojące w porcie dostałem dopiero w 1966 r. Byłem sztauerem ładunków okrętowych, moim zadaniem było takie układanie ładunków, żeby statek się nie przewrócił, żeby ładunki były dobrze rozłożone i umocowane. Nie miałem też prawa wyjazdu, nawet na wycieczki do Leningradu czy Helsinek, bo wciąż byłem politycznie niepewny.

Sytuacja Gdyni jako miasta prężnego, energicznego, budowanego przez ludzi świątłych, odważnych, bo trzeba było podejmować śmiało decyzje, była zawsze solą w oku jakiejś władzy, czy to władzy okupacyjnej, czy władzy, która rywalizowała z Gdynią. Nie bez kozery z Gdyni wszystkie centrale morskie zostały systematycznie przenoszone do Gdańska. I choć po wojnie Gdańsk był zniszczony, to też je przenoszono. Trzeba pamiętać, że z Gdyni wysiedlono 80 proc. mieszkańców ze 123 tys. Powróciło 30–40 tys.

My jesteśmy nie tylko pokrzywdzeni przez los. Jesteśmy pokrzywdzeni przez państwo niemieckie, które wypowiedziało drugą wojnę światową, bo od strony niemieckiej nie otrzymujemy żadnego odszkodowania, mimo że przedstawiamy dokumenty. Tylko 30 proc. z nas dostało zaliczkę od Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie za pracę, dwa tys. zł za dwa tys. dni okupacji, złotówkę za dzień niewolniczej pracy. Pokrzywdzeni jesteśmy również przez władze, które tworzyły w 1991 r. prawo o kombatantach i niektórych represjo-



nowanych i nie uwzględniły nas w tej grupie ludzi. Wystarczyło kamieniem rzucić w milicjanta i dostać za to miesiąc aresztu czy mieć siedem dni zwolnienia lekarskiego w stanie wojennym i jest się kombatantem... Ci, co byli wysiedleni później, po 1940 r., po utworzeniu tego wydziału ds. przesiedleń, mają dokumenty, to są kombatantami, bo przeszli przez tak zwane obozy przesiedleńcze. Są też ludzie, którzy już mieli dość tego niemieckiego panowania i zniszczyli swoje dokumenty, ausweisy czy arbeitskarty, bo nie chcieli mieć tego, a to teraz jest najważniejszy dokument. Ale my wszyscy jesteśmy dumni z tego, że jesteśmy Gdynianami.

*(Relacji wysłuchała i opracowała Barbara Polak)*



ANDRZEJ GÓRSKI

# SKOK BEZ PARASOLA

Moja rodzina od strony ojca pochodzi z dalekich Kresów, ze Słuczczyzny. Po wojnie bolszewickiej straciliśmy tam majątki. Po tej stronie został majątek mojej matki w Baranowiczach, gdzie się wychowałem, choć urodziłem się w Poznaniu, bo mój ojciec w czasie wojny bolszewickiej przewiózł tam całą rodzinę, uciekając od bolszewików. Wyjechaliśmy stamtąd, gdy jeszcze nie potrafiłem mówić. Nie pamiętam Poznania. W przejściowym okresie mieszkaliśmy w willi, którą mój ojciec kupił w Bydgoszczy. W 1926 r. ojciec odbudował zniszczony dom w Baranowiczach i przewiózł tam rodzinę. Miałem wtedy pięć lat.

W 1939 roku po kolejnym najeździe bolszewików uciekliśmy do Wilna, potem na Litwę. Dwór był już wtedy obrabowany przez chłopów. Myśmy wcześniej z niego uciekli z najcenniejszymi rzeczami, z obrazami, do naszych sąsiadów, mieszkających w odległości około 20 km. Uciekliśmy przed niemieckimi bombami, które przeznaczone na dworzec kolejowy, często sypały się na dwór. Na Litwie moi rodzice zamieszkali w Towianach, w majątku Radziwiłłów, a ja się pętałem po różnych miejscach. Najwięcej czasu spędziłem w Kownie.



Andrzej Górski, pilot Dywizjonu 300.  
Fot. z 1945 r.

## Młodzieńcza szarża

W Kownie byłem aresztowany, ale udało mi się wyrwać ze szponów bolszewickich dziwnym zbiegiem okoliczności. Jako siedemnastoletni głupiec, wraz z kolegami zrobiliśmy taką organizację, żeby ratować polskich oficerów, których wyłapywało NKWD. Chcieliśmy ich przerzucić przez Prusy Wschodnie do Warszawy. Uważałem, że to żaden problem, bo z tymi idiotami bolszewikami z NKWD to łatwo pójdzie.

Aresztowano mnie w wychodku w barze. Znajomi, z którymi tam byłem, w ogóle nie wiedzieli, co się stało. Byłem aresztowany po dwutygodniowym śledzeniu i podsłuchiowaniu moich rozmów w restauracjach. O tym oczywiście nie wiedziałem na początku śledztwa, aż zrozumiałem, dlaczego w kółko kazano mi powtarzać ze szczegółami, co robiłem – dzień po dniu – w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Wiedzieli, kiedy kłamię, choć oczywiście nie wiedzieli wszystkiego, ale ja również nie orientowałem się, co wiedzą, a czego nie. Poza tym przy rewizji znaleźli u mnie w kieszeni list od Kazia Cegielskiego, poznanego w Domu Polskim, gdzie nas Polonia kowieńska karmiła obiadami. Kazio prosił w tym liście o zorganizowanie przerzutu 50 polskich oficerów do Prus Wschodnich, a tam niech sobie sami radzą. Tu są zagrożeni przez NKWD, które ich ściga. Na

szczęście podpisał się Waldo. Okropnie mnie naciskali, żebym podał nazwisko, a ja upierałem się, że znam go wyłącznie z Polskiego Domu. Poza tym do wszystkiego się przyznałem, mówiłem nawet więcej, zmyślałem, żeby nie wplątać jakichś znajomych. Przerazała mnie myśl o torturach, gdy wyjdzie na jaw, że kłamię. Jeśli chodzi o Waldo, nie mogli mi udowodnić, że kłamię. Wiele godzin przesłuchań minęło, zanim zorientowałem się, co wiedzą, a czego nie wiedzą. Tymczasem moje dwutygodniowe opowiadanie rozrastało się z godziny na godzinę, żeby moje kłamstwa, które przychwycili, nie wyglądały na zupełne kłamstwa, ale raczej niedomówienia. Mówić w kółko prawdę to nie sztuka, natomiast powtarzać własne zmyślenia – to było wprost okropne. Musiałem każde opowiadanie podpisać i znowu od początku to samo, i to nowe musiało się zgadzać nawet w szczegółach z poprzednim. Oczywiście bez przerwy byłem łajany – *wriosz swołocz!* Dopiero chyba po dwudziestu godzinach przesłuchań, z lampą świecącą w twarz, to, co mówiłem, stało się prawdą absolutną. „Prawdziwa prawda” została czarodziejską gumką wytarta z mojego mózgu.

Może po trzydziestu godzinach jeden ze śledczych (zawsze było kilku, co kilka godzin pojedynczo wymieniali się) zapytał z głupia frant, co bym zrobił, gdyby mnie w tej chwili wypuścili. Miałem już absolutnie dość tego wszystkiego, ciągłego rugania i zabierania się do bicia, więc powiedziałem – najpierw was wszystkich wystrzelam, a potem zobaczymy, co będę robił dalej. Zapanowała cisza, choć tam było sporo przesłuchujących mnie drani. Wreszcie jeden z nich powiedział – *wot smotri, kakoj Poliaczok!* No, to już lepiej – pomyślałem. Do tej pory bez przerwy łajali mnie od ostatnich. *Job twoju mať* – to było nic, to była pieśczoła. W pewnym momencie jeden z nich zaczął się śmiać i wtedy wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nastąpiła zmiana w stosunku do mnie i do końca przesłuchania nikt mi nawet nie powiedział *ty sukinsyn*.

## Rosyjska kolacja

Wsadzili mnie do więzienia. Może tydzień później, w nocy, znowu wzywają mnie na przesłuchanie do NKWD. Pamiętam, wieźli mnie czarną limuzyną buickiem. Tym razem wprowadzono mnie już nie do tej części budynku NKWD, którą poznałem wcześniej, tylko gdzieś na inne piętro. To był przedtem budynek litewskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Wprowadzają mnie do bardzo pięknego pokoju, duże biurko mahoniowe, siedzi jakiś generał. Z boku, przy maszynie do pisania siedzi jakiś major (tak mi się wydaje, nie rozumiem ich rang do dziś). Jak mnie wprowadzili, generał wstał, wyszedł zza biurka, podał mi rękę i powiedział, że chciał poznać młodego człowieka, który mu chce wystrzelać wszystkich ludzi, bo takiego jeszcze nie widział.

Posadził mnie na fotelu, poczęstował papierosem i poinformował, że musi koniecznie dostać ode mnie nazwisko Waldo. Powtórzyłem mu dokładnie to, co powiedziałem wcześniej. Było mi łatwo to powiedzieć, bo po poprzednim treningu w moim mózgu pozostała już moja prawda. Major przyniósł to zeznanie i generał kazał mi podpisać. Taki jest u nas zwyczaj – powiedział. Niczego nie kwestionował. Nagle powiedział, że na pewno jestem strasznie głodny. Oczywiście – odpowiedziałem. Nie chodziło mi o głód, lecz o przesłuchiwanie – jedzenie da mi możliwość zastanowienia się nad kolejną odpowiedzią, to wielki atut. Generał zadzwonił i niebawem wszedł kelner w białym tużurku, otrzymał polecenie przyniesienia kolacji. Powiedział, że o trzeciej rano kolacji nie ma, ale że są bułki z szynką oraz winegret. Generał zażądał dla mnie dwóch bułek z masłem i szynką, dwóch szklanek herbaty z cytryną oraz winegret.

Jadłem, a on wyjął z biurka i dał mi do obejrzenia piękny nowy pistolet Walter 7,65 mm, którym się bardzo cieszył. Czuję się dość głupio, oglądając ten pistolet. Tysiące myśli przelatowały mi przez głowę. Potem zaczął mnie wypytywać, jaki był w dworze stosunek do służby i ile służba zarabiała. Powiedziałem, że stosunek był chyba dobry, bo jak ktoś z nich miał jakiś osobisty kłopot, to albo ojciec, albo matka starali się im pomóc. Ile zarabiali, nie wiem, bo byłem za młody, żeby takie sprawy mnie obchodziły. On opowiedział mi o swoich kłopotach z żoną, którą zostawił w Moskwie – skarżyła się, że ma głupią służącą, i że on mało pisze. Zamówił więc w drukarni sto listów i teraz będzie co tydzień wysyłał jeden. W końcu powiedział, że żał mu mnie, że w tak młodym wieku wpadłem w takie tarapaty, ale niestety musi odejść mnie do więzienia.

Byłem w jakiejś wyjątkowej celi. W grupie chyba dwudziestu więźniów było dwóch litewskich ministrów, przywódcy jakichś ugrupowań politycznych i Konstanty Radziwiłł z Towian, u którego byli moi rodzice, i który ich znał z czasów korpusu Dowbora-Muśnickiego. Więc choć mnie nie znał, opieprzył mnie jak święty Michał diabła – powinienem opiekować się moimi rodzicami, a nie bawić się w przemytników! A mnie było strasznie trudno psychicznie przestawić się z roli syna – zawsze pod opieką rodziców – na rolę opiekuna rodziny.

Może dwa tygodnie później znowu zrywają mnie w nocy na przesłuchanie. Znowu ląduję u generała, który mówi tak: tutaj jest dokument stwierdzający, że w zamian za wypuszczenie zobowiązujesz się znaleźć nazwisko i adres Waldy. Masz się do mnie co dzień meldować przez telefon i będziesz się ze mną spotykał w parku miejskim. Pomyślałem – co za idiota – i podpisałem. Wyszedłem wcześniej rano na ulice Kowna, nie golony od miesiąca, w swoich spodniach i więziennej bluzie. Poszedłem prosto do fryzjera. Generał dał mi 10 litów na drogę. Potem poszedłem do restauracji na śniadanie i spotkałem tam moją matkę, która od tygodnia bezskutecznie gorączkowo mnie szukała. W NKWD powiedzieli jej, że takiego nie mają.

Codziennie dzwoniłem do generała (nazywał się Wołkow) i umawialiśmy się w parku na spotkanie. Wypytywał mnie o stosunki panujące w Polsce przed wojną. Z perspektywy czasu wiem, że chciał poznać stosunki społeczne w przedwojennej Polsce. Niestety byłem za młody, by poprawnie odpowiadać na pytania, które zadawał.

## **Biżuteria**

Po kilku dniach, klucząc po mieście, przechodząc przez bramy domów i cmentarz, dobiegłem do Kazia Cegielskiego, powiedziałem mu, co się stało, i że musi wiać z Kowna. Sam poszedłem na stację kolejową i pojechałem pierwszym pociągkiem do Wilna, do rodziców, którzy mieszkali razem z cicią Taidą Radziwiłł i jej bratanicą Marysią. Kupiłem konia i wóz i zacząłem pracować na rodzinę jako wozak. Minęło parę miesięcy. Któregoś dnia dostaję kartkę od znajomej Litwinki, że poznała jubilera z Warszawy, który w czymś tam imieniu skupuje biżuterię i dobrze płaci. Wziąłem od cioci zegarek obramowany brylantami oraz brylantową broszkę mojej matki i jazda na parę godzin do Kowna. W domu u Litwinki spotykam dobrze ubranego pana w średnim wieku, z którym umówiliśmy cenę moich brylantów. Umówił się ze mną za godzinę w bramie jednego z domów. Miał przynieść pieniądze, bo nie miał przy sobie takiej sumy. Na umówione spotkanie poszliśmy razem z Litwinką. W bramie obskoczyło mnie trzech cywili – zabierają mnie do NKWD, razem z przerażoną Litwinką.

Wydział czarnej giełdy znajdował się na parterze gmachu byłego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W pokoju za biurkiem siedzi cywil. Przy pierwszym aresztowaniu tak się bałem, że drżały mi nogi, a teraz – nic. Podchodzę do biurka, rzucam kapelusz pod nos



Załogi naziemna i latająca. Pilot Andrzej Górski zaznaczony strzałką

komisarza i ryczę – *job twoju mat'*, proszę mnie natychmiast wypuścić, bo mam proszoną kolację, na którą nie mogę się spóźnić! A on na to – ja mam dziś wolny dzień, ale ten Polak (wymienił jego nazwisko) mówi, że ty handlujesz biżuterią i dlatego ja tu jestem. Na to mówię, ten Polak to sama *liszniaja swołocz* i należy go ubić. Nie mam nic wspólnego z handlem biżuterią (to była prawda). On na to mówi – to może ta Litwinka. Tego – powiedziałem – ja wiedzieć nie mogę. No, to zrobimy wam rewizję. Łamię sobie głowę, jak pozbyć się biżuterii, którą mam w kieszeni. W tej chwili przychodzą dwie kobiety, żeby zrobić Litwince rewizję, a on na ten czas wyprowadza mnie na korytarz. Nagle nogi się pode mną uginają – korytarzem idzie generał. Pomyślałem sobie – to już koniec. Generał mnie zobaczył i krzyknął – *Andrej, nu kakże ty apiat' zdies' popať? Szto słuczytos', ldi sa mnoj*. Prowadzi mnie do swojej kancelarii na trzecim piętrze. Mówię mu, co się stało, i pokazuję brylanty mojej matki i cioci Taidy. On się przygląda i mówi, że zupełnie nie rozumie, jak ludzie mogą za to płacić takie pieniądze, kiedy naprawdę to nic nie jest warte, do niczego nie służy. No, ale dlaczego do mnie nigdy nie dzwonisz? Nic mądrego nie przyszło mi do głowy, więc mówię – zgubiłem twój telefon. A, to nic wielkiego – pisze na kartce numer telefonu i daje mi go. W tym momencie wiedziałem już z absolutną pewnością, że to nie idiota, tylko człowiek, który uratował mi życie.

### Szałas

Pojechałem do Wilna. Stamtąd zostałem wywieziony z rodzicami, ale to nie miało nic wspólnego z moim aresztowaniem w Kownie. Z Wilna wywozili masę Polaków na początku czerwca 1941 r., przed samym wybuchem wojny z Niemcami. Wywieźli nas do Altajskiego Kraju, do wsi Czistiunka. Myśmy byli na wolnej szyłce, to nie był obóz. Przydzielili mnie do takiej organizacji, która się nazywała *promysliennyj artiel*. Oni robili buty, ale powiedzieli mi, że już od pięciu lat ich nie robią, bo od pięciu lat nie dostali przydziału skóry. Typowo sowiecki sposób! Więc utrzymywali się z tego, że robili *pimy*, czyli takie specjalne walonki, i sprzedawali je na wolnym rynku. Państwowa cena, pamiętam, była 28 rubli za parę, a oni sprzedawali parę za 280 rubli i potem z tych pieniędzy płacili sobie dniówki. To było tak chytrze zorganizowane.

*Predsedatiel promartiela* pozwolił mi chodzić samemu do lasu rąbać drzewo. Las był odległy o dziesięć kilometrów, chodziłem tam na parę dni z siekierą, woreczkiem soli, wędką i zapawkami. Po narąbaniu metra drzewa łapałem ryby. Zbudowałem sobie z gałęzi szałas. Któregoś razu była straszna burza i ulewa, szałas ciekł, ale po dniu ciężkiej pracy zasnąłem na postaniu z gałęzek jodły. Obudziło mnie jakieś stojące na mnie zwierzę! Zerwałem się w dzikim popłochu. W absolutnej ciemności nie mogłem znaleźć wyjścia, więc uciekałem przed nim wkoło szałasu, w jego wnętrzu. A miał on nie więcej jak cztery metry kwadratowe. To zwierzę (potem już, na spokojnie, ustaliłem – biorąc pod uwagę jego ciężar – że musiał to być wilk) również przede mną uciekało i ciągle zderzałyśmy się w tej malutkiej przestrzeni. W końcu roznieśliśmy wspólnymi siłami szałas i zwialiśmy – każdy w swoją stronę. Ja właściwie nie miałem gdzie wiać, w szałasie była moja siekiera, więc wróciłem na to pobożowisko.

### Nadzieja

Wkrótce dowiedziałem się, że były rozmowy Sikorski–Majski i że zaczęła tworzyć się polska armia, więc poszedłem do Topczichy. Ja byłem w Czistiunce, na stepie, a Topczicha to małe miasteczko ze stacją kolejową i posterunkiem NKWD. Zgłosiłem się do nich, że chcę iść do polskiej armii. Powiedzieli, że nie mają żadnych instrukcji i mam tu siedzieć, za prze-



proszaniem, na dupie. Wtedy był już okropny bałagan, bo wielu ludzi z Rosji europejskiej zaczęło uciekać. Widziałem, że NKWD już nie bardzo ma nad tym wszystkim kontrolę, więc po prostu wsiałem do pociągu i pojechałem do Taszkientu przez Ałma-Atę.

W Taszkientie spotykam polskie władze i Hanę Ordonównę. Mówię jej, że chcę wstąpić do polskiego wojska. Ona na to, że etaty są już zamknięte. Dopiero na przyszły rok będą dalsze etaty, to znaczy w 1942 r. Powiedziała też, że NKWD ofiarowało się, że się nami zaopiekuje. Przez Taszkient przechodzą wielkie transporty Polaków z obozów na północy, więc muszę koniecznie dołączyć się do nich, bo mam dokument *zsylny pieriesielieniec*, byle kto może mnie aresztować i znowu pójść do więzienia. Nie mam przydziału jedzenia, nie mam kartek, nie dam sobie rady.

### Bezdroża

Dołączyłem się do takiego transportu i potem strasznie tego żałowałem, bo ten transport został skierowany do Czardzau, to była przystań nad rzeką Amu-darią. Wsadzili nas na barki żelazne i pociągnęli holownikami w dół rzeki, a właściwie do delty tej rzeki – do Morza Aralskiego – i tam nas po prostu wyrzucili. Było nas ze trzydzieści tysięcy ludzi. Nad Morzem Aralskim było kilka kotchozów, które produkowały *chtópok*, czyli bawełnę, a poza tym nic, pustynia dookoła. Oni nie mogli tam przecież trzymać trzydziestu tysięcy ludzi! Sytuacja z żywnością była tragiczna. Pamiętam stamtąd dwie osoby, ale tylko jedno nazwisko – to był oficer lotnictwa, porucznik Groszek. Jemu i temu drugiemu udało się przejść piechotą przez pustynię. Doszli do władz polskich i zawiadomili, że tam się straszne rzeczy dzieją, ludzie umierają z głodu. Władze polskie rozpoczęły jakieś starania. Więc znowu dali barki. To był grudzień. Amu-daria bierze wody z Hindukuszu, z topniejących lodowców. W grudniu w Amu-darii oczywiście prawie w ogóle nie ma wody. Płynęliśmy chyba przez dwa tygodnie w górę rzeki, ciągle stając na mieliznach, a jedzenia mieliśmy tylko na trzy dni. Wtedy kolejny raz przekonałem się, że można sprowadzić człowieka do poziomu bydłęcia. Siedziałem sobie gdzieś tam w kucki (było tak ciasno, że nie można było się położyć, można było tylko albo stać, albo siedzieć) i widziałem dwóch ludzi, którzy szli brzegiem barki, taką szeroką burtą. Po rzece szła kra. Jeden zdaje się stanął drugiemu na odcisk, w każdym razie pobili się. Zaczęli się łać po mordach. Ponieważ było zimno, był lód na burcie, jeden się poślizgnął i wpadł do wody. Moja jedyna reakcja była taka: nagle sobie przypomniałem, jak moja matka mi kiedyś powiedziała, że jak ktoś się topi, to przedtem trzy razy wypłynie. Liczyłem, ile razy on wypłynie. To była moja jedyna reakcja na tę sytuację! To coś mówi.

### Przeżyć

Dobiliśmy w końcu do brzegu w porcie przeładunkowym Turtkuł. Wyładowali nas i znowu ta sama sytuacja – pustynia, parę kotchozów i nic więcej. Kotchozy miały wodę, zrobiono tam meliorację – przekopano rowy od Amu-darii, wielbłądy kręciły takie koła, do których były poprzywiązywane garnki. Tymi garnkami przelewano wodę. Znowu nie było co jeść. Oczywiście kradłem, jak mogłem. W dzień podpatrywałem, gdzie mieszkańcy dotują na zimę swoje warzywa. W nocy przychodziłem i wykopywałem je – raz to była marchew, innym razem cebula – i potem jadłem przez dwa dni albo jedno, albo drugie. Dzięki temu jednak przeżyłem do początku marca. Potem znowu podstawili barki, miały już kuchnie polowe i zapas jedzenia, więc ci, co przeżyli (wielu z nas umarło), to przeżyli do końca. Wsiedliśmy na barki – kobiety, mężczyźni, dzieci, oczywiście najwięcej było mężczyzn. Znowu doплыliśmy do Czardzau, potem do Kermine, gdzie był polski obóz wojskowy. W Kermine panował tyfus, więc nas nie wpuszczono na teren obozu, koczowaliśmy w polu, w śniegu. W tym śniegu przeprowadzono

nam badania lekarskie, a następnego dnia dostaliśmy transport do Krasnowodzka, gdzie najpierw wsadzili nas do łaźni, bo byliśmy kompletnie zawszeni. W łaźni była letnia woda, więc ta kąpiel wcale nas nie odswawiała, ale w każdym razie przeszliśmy tę procedurę. Weszliśmy na statki, tankowce rosyjskie, które przewiozły nas do Iranu, do Pahlewi.

Ponieważ jeszcze nie byłem poborowym, więc miałem prawo wyboru broni. Powiedziałem, że chcę do lotnictwa. Była taka legenda rodzinna, że ja od dzieciństwa wiedziałem, że chcę być lotnikiem, i że skakałem z pierwszego piętra z parasolem zamiast spadochronu, ale to zawracanie głowy. Ja skakałem z pierwszego piętra bez parasola! Bo ojciec do mnie z dubeltówki strzelał, służba zawiadomiła go, że złodzieje siedzą na dachu, tymczasem ja łapałem tam gołębie.

Późniejszy II Korpus właściwie nie miał lotnictwa, więc nas dołączyli do grupy takich lotników, którzy kiedyś byli w lotnictwie i z jakichś powodów nie zabrali się z większą grupą, która wyjechała kilka miesięcy wcześniej, w 1942 r., przez Władywostok do Anglii. Wystawiono nas do Egiptu, gdzie mieliśmy odpocząć po Rosji. Bardzo ładnie się zaczęło, tylko że Rommel uderzył na Egipt! Nocny alarm, a niektórzy poszli nocą oglądać piramidy! Tych, którzy byli, wsadzono na statki i popłynęliśmy – dookoła Madagaskaru – do Południowej Afryki, do Durbanu, potem pociągami do Petermaritzburga. Tam byliśmy ze dwa miesiące, zanim dostaliśmy znowu transport z Durbanu do Anglii.

### Szkolenia

Dostałem się do Anglii, bo zgłosiłem się do lotnictwa. Te wszystkie badania, które nam zrobili w Rosji, nie zostały uznane za ważne, więc przeszedłem angielskie badania lekarskie



Od lewej: Eugeniusz Pietrzak – radiotelegrafista, Marian Sobczak – inżynier pokładowy, Andrzej Górski – pilot, Roman Golicz – strzelec tylny, Jan Sierbień – nawigator, Zbigniew Torka – strzelec górny, Jan Fabrycy – bombardier. Fot. z 1945 r.

i przyjęto mnie do lotnictwa. Nie znałem angielskiego, ani słowa. To było straszne! Nawet dowództwo polskiego lotnictwa nie znało angielskiego. Ci wszyscy generałowie i pułkownicy, którzy siedzieli u Rubensa [hotel, w latach 1939–1945 siedziba polskiego Sztabu Generalnego], to byli głuchoniemi. O tym się nie pisze, ale to musiała być straszna rzecz. Anglicy właściwie nie znali francuskiego, tylko arystokracja angielska znała francuski, a przecież typowy oficer angielski nie był arystokratą, więc to była tragiczna sytuacja. Zacząłem się szkolić. W dwa lata skończyłem pięć szkół, zanim zostałem wyszkolony na bojowego pilota bombowego.

Szkolenia zacząłem w 1942 r. Dopiero kiedy miałem wylatanych 350 godzin, poszedłem do OTU (*Operational Training Unit*). Wcześniejsza szkoła dawała skrzydła, czyli odznakę pilota, ale to było niedostatecznie, żeby latać bojowo. W OTU dobrałem sobie załogę, bo według przepisów angielskich piloci mieli prawo wyboru załogi – byli kapitanami, to była tradycja wzięta z marynarki. Kapitan znał nawigację, bo był za nią odpowiedzialny, choć miał na bombowcu nawigatora. W OTU już czekały grupy nawigatorów, bombardierów, strzelców itd. Mieliśmy wolny dzień, żeby sobie dobierać ludzi. Potem przedstawiało się listę, kogo się chce. To było bardzo nieformalne. Ja znałem tylko bombardiera, bo był ze mną na pilotażu i odpadł, więc skończył bombardierkę – Jaś Fabrycy. Nawigatora mi przydzielili, to był porucznik Jaś Sierbień, były oficer piechoty. Strzelcy sami się do mnie zgłosili, z jakiejś racji przyszli, że chcieliby ze mną latać. Załogę stanowiło siedem osób, ja plus sześć. Po skończeniu OTU i HCU (*Heavy Conversion Unit*), gdzie latało się na czterosilnikowych maszynach – Halifaxach, zostałem przydzielony do 300. dywizjonu bombowego, który latał na Lancasterach i był jedynym polskim dywizjonem ciężkich bombowców. Należy pamiętać, że koszt jednego Lancastera był równy kosztowi całego dywizjonu myśliwskiego. Nie było dość Lancasterów, żeby je dawać do szkół. Halifax był trochę gorszym samolotem. Ostatnie szkolenia były prowadzone przez Anglików. Wcześniejsze prowadzili polscy instruktorzy.

### **Początek lotów**

W swoim *log-booku* mam zapisanych dwadzieścia lotów – piętnaście lotów bojowych i pięć lotów z jedzeniem dla Holendrów. Anglicy stwierdzili, że Niemcy zgodzili się na te loty z żywnością, nie strzelali do nas, więc nie zaliczyli ich jako lotów operacyjnych. Do dziś mam swój *log-book*. Podarowałem go Muzeum Wojska Polskiego i oni mi zrobili śliczną kopię tego dokumentu. Tu są wyliczone moje wszystkie loty. Pierwszy – Dortmund, drugi Duisburg, trzeci Pforzheim itd.

Pierwszy lot to taka analiza strachu. Podczas tego lotu każdy z nas był kompletnym idiotą, bo w życiu nie byliśmy na wojnie. To był nocny lot i strasznie silny był ogień przeciwlotniczy. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak silny ostrzał, nie miałem żadnej skali porównawczej. Jeden z członków załogi zaczął krzyczeć – rzućcie bomby, wracajmy do domu! Włączyłem radiotelefon i powiedziałem dobitnie – proszę o spokój! Ale nic, on się nadal drze. Więc jeszcze raz włączyłem i tym razem powiedziałem – Kurwa mać! Stul pysk! Wtedy zrobiła się cisza. To był wspaniały lotnik, do końca wojny nie było z nim nigdy żadnych problemów, nie można powiedzieć, że to był tchórz. Wtedy akurat nie wytrzymał nerwowo, to był pierwszy lot. Moja reakcja była odwrotna – myślałem, że właśnie tak ma być. Dopiero po kolejnych lotach wiedziałem, że ten pierwszy był bardzo ciężki. Straciliśmy wtedy dwie maszyny.

### **Katedra**

Teraz o locie na Kolonię. Ten lot charakteryzował się tym, że zbombardowałem tamtejszą sławną katedrę. To może zabrzmieć tak, że jestem wandalą, który niszczy dzieło sztuki średniowiecznej. To był dzienny lot, świetna widzialność. Przylecieliśmy nad Kolonię na wysokości

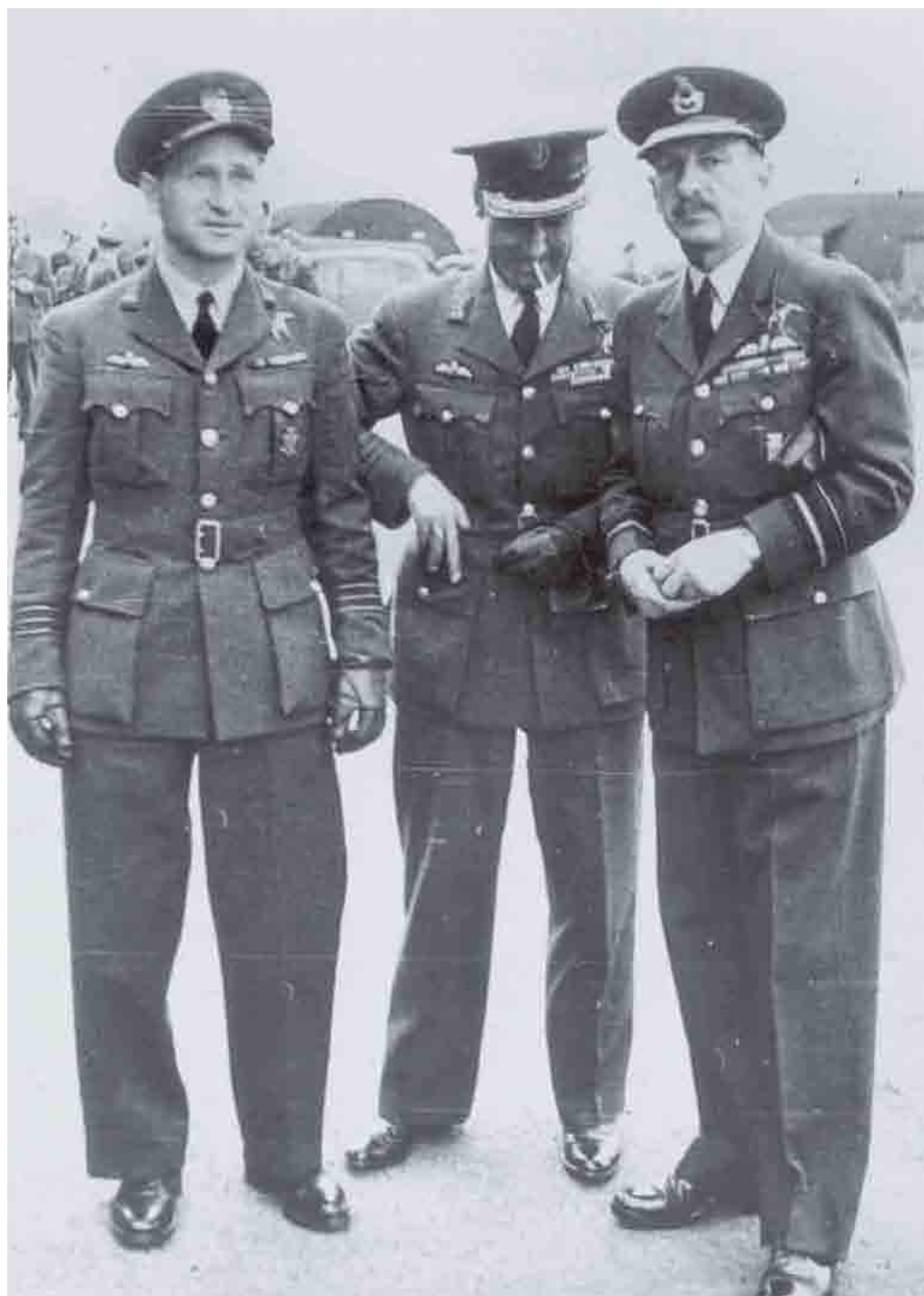
mniej więcej osiemnastu tysięcy stóp [ok. 5,5 tys. metrów]. Kiedy już wziąłem kurs bojowy, żeby rzucić bomby na stację kolejową – bo takie było moje zadanie – bombardier mówi, że nie może rzucić bomb na tę stację, bo jej nie widać, jest kompletnie zastłonięta dymem. Wcześniejsze samoloty zrzuciły już jakieś bomby. Ja mu wtedy mówię – rzuć bomby na katedrę, którą było świetnie widać. Wiedziałem, że jeśli polecimy dobrze wybranym kursem, bomby rzucone na katedrę spadną też na dworzec kolejowy. Dworzec kolejowy jest zaledwie około stu metrów od katedry, więc większość bomb spadnie na dworzec. Byłem profesjonalistą, musiałem wykonać swoje zadanie, jak mogłem najlepiej. Miałem tylko kilka sekund na decyzję.

Wiele lat potem pojechałem obejrzeć katedrę. Katedra była odremontowana, ale ślady mojej działalności są widoczne. Jest możliwe, że inni też ją trafili, mogli trafić z różnych powodów, zawsze bowiem przy bombardowaniu może się zdarzyć jakiś błąd.

Ten lot jest ciekawy jeszcze z innej racji. Kiedy bombardowałem katedrę, mój strzelec zaraportował, że w prawym skrzydle mamy dużą dziurę. Cały czas był bardzo silny ogień przeciwlotniczy, rzucało samolotem w górę, w dół. Widziałem tę dziurę, była w miejscu, gdzie był numer trzy, zbiornik na benzynę. No, ale nic się nie stało, nic nie wybuchło, wszystko w porządku, samolot leci, więc nie ma czym zawracać sobie głowy. Nawet zapomniałem o tym incydencie, bo człowiek nad celem musi koncentrować się nad masą rzeczy i reagować na to, co się dzieje. Pilot jest szalenie skoncentrowany, więc się mniej boi niż ktokolwiek w załodze, bo nie ma czasu się bać. Strach w takich przypadkach redukuje się do szalonej koncentracji. W powietrzu nie ma czasu na zastanawianie się, trzeba odruchowo robić wiele rzeczy. Zeszliśmy z celu, wylądowałem w bazie, wyłączyłem silniki i powiedziałem strzelcowi – Zbyszek, wejdź na skrzydło i obejrzyj tę dziurę. Wylaź na skrzydło, coś tam długo dłubie i wyciąga bombę zapalającą ze skrzydła, a właściwie ze zbiornika, bo ta bomba przebiła skrzydło, przebiła zbiornik z benzyną i siedziała w zbiorniku. Zbiornik był pusty, ale to tym gorzej, bo tam były opary benzyny. Patrzę, nie wierząc swoim oczom, i mówię – słuchaj, musimy to schować na pamiętkę. Ta bomba była bez brzechwy, więc była mała. Brzechwa pewnie urwała się przy uderzeniu w samolot. Lancaster to duży samolot. Jak Zbyszek był na skrzydle, to tak jakby był na pierwszym piętrze. Nie wiedział, co z nią zrobić, nie mógł zeskończyć przecież, bo było za wysoko. Na dole stał mechanik, więc krzyknął – łap! i rzucił ją mechanikowi. Mechanik złapał, obejrzał i rzucił na trawę, pod nogi. Wtedy bomba się zapaliła. Taka bomba nie wybuchła jak granat, ale po prostu się pali i wywołuje ogromną temperaturę. Wieczorem w kasynie zostałem zawiadomiony, że dowódca dywizjonu kazał z mojego samolotu wymontować wszystkie karabiny maszynowe, ponieważ są one absolutnie niepotrzebne, mnie się nie może stać nic złego! Oczywiście to był żart.

## Bunt

Jeszcze był lot na Dessau. To był ciekawy lot. Mamy odprawę i *intelligence officer*, czyli oficer operacyjny, przedstawia cel lotu, podaje, jakie są lotniska niemieckich dywizjonów nocnych, które będą przeciw nam startować, jaka jest obrona przeciwlotnicza w Dessau itd. i naturalnie, co mamy tam bombardować. I mówi, że tam jest półtora miliona ludzi uciekających przed Armią Czerwoną. Mnie się to bardzo nie spodobało, że mam bombardować nie cele wojskowe, ale cywili. Bombardowanie cywili mogło się zdarzyć jako konsekwencja uboczna, ale muszę mieć jakiś cel wojskowy do zniszczenia. Wstałem i powiedziałem, że moje bomby lecą w krzaki. Wtedy wstał Bolek Jarkowski, dowódca dywizjonu, i powiedział – Słuchaj Górski, ja nie słyszałem, co powiedziałeś. – Ale po jakiejś minucie czy dwóch paru pilotów wstało i powiedziało – My nie lecimy, nie jesteśmy rzeźnikami.



Mjr Bolesław Jarkowski (z lewej) w towarzystwie wyższych oficerów pierwszej grupy bombowej



Tak wyglądało Pforzheim w czasie bombardowania przez załogę ciężkiego bombowca typu Lancaster dowodzoną przez st. sierż. Andrzeja Górskiego

Wtedy Jarkowski – uważam, że bardzo mądrze się zachował, bo to już był przecież bunt – powiedział, że właśnie była konferencja w Jałcie i właściwie alianci nas sprzedali, i teraz Anglicy będą szukać wykrętu, żeby wykazać, jak złymi byliśmy sprzymierzeńcami, i jakie mieli z nami problemy, więc żebyśmy dobrze się nad tym zastanowili, co robimy, on wychodzi na pół godziny, a gdy wróci, to chce usłyszeć naszą decyzję. I wyszedł. Gdy wrócił, nie było żadnego sprzeciwu. Ja poleciałem. Miałem jednak taki problem, że przy sprawdzaniu instrumentów radar nie działał i mój Gee-box (to też instrument nawigacyjny, radiolokacyjny) również nie działał. Ponieważ start był, gdy jeszcze było jasno, więc zdecydowałem się lecieć. Powiedziałem nawigatorowi, że będę trzymał kurs taki, jaki trzymają inne samoloty lecące tym samym korytarzem, a on musi wyliczyć przede wszystkim wiatr. (W nawigacji bardzo łatwo jest wziąć sobie linijkę i odmierzyć odległość, kurs i czas potrzebny do pokonania tej odległości, ale wiatr stwarza różnicę, więc trzeba dokładnie znać siłę i kierunek wiatru). Więc ja będę trzymał dokładny kurs a on niech wyliczy wiatr. Jak już przyjdzie noc, będzie używać nawigacji obliczeniowej, czyli klasycznej.



## Najdłuższy lot

Przyszła noc, zaczęło się od tego, że o mało nie zostałem staranowany trzema Lancasterami. Jednocześnie mi podają pozycje trzech samolotów. Lecę tak, że jeden w głębokim skręcie idzie pik w dół na mnie, drugi leci z drugiej strony tak, że nie mam gdzie się usunąć. A strzelec ogonowy mi mówi, że jeszcze z tyłu leci trzeci i w ten sam sposób nas załatwia. Nie mogąc się usunąć, postawiłem Lancastera na nosie i otworzyłem pełny gaz. Przecież mam pełną komorę bomb! Moja szybkość wzrosła do ponad 400 mil na godzinę [ok. 640 km/h]. Dla Lancastera jest to szybkość przekraczająca parametry wytrzymałości konstrukcji. Tylko zażądałem od strzelca ogonowego, żeby mi podawał pozycje tego, który z tyłu pikuje – on jak raz pikował z większej wysokości, tak że zaczął mnie mijać. Strzelec mi powiedział, że jego skrzydło jest o jakieś trzy stopy [nieco ponad metr] od jego wieżyczki. No, ale minął! Ja wtedy musiałem wyciągnąć samolot, straciłem już 10 tysięcy stóp [ok. 3 tys. metrów]. Nie mogę wyrzucić bomb, jest to w pice niemożliwe. Więc pierwsza rzecz – zamknąłem silniki, to już zmniejszyło szybkość, potem wypuściłem podwozie. Nie mogłem wypuścić klap, bo przy tej szybkości by się urwały, więc jedyne, co mogłem zrobić, to wypuścić podwozie. To był bardzo dobry pomysł i teraz wszyscy, żeby zmniejszyć szybkość na samolotach odrzutowych, wypuszczają podwozie. Mnie tego nie uczyli, samo przyszło mi to do głowy. Jak szybkość spadła poniżej trzystu mil na godzinę [ok. 480 km/h], zacząłem ciągnąć stery i kazałem, żeby mi mechanik pokładowy pomagał. Jeszcze sobie pomagałem trymem. Wyrównaliśmy pięknie, samolot się nie rozleciał. Obawiałem się, że mu skrzydła odpadną. No i potem już zobaczyłem reflektory. Niemcy zapalili reflektory, ale



Piloci eskadry A i B Dywizjonu 300. Fot. z 1945 r.

nie łapali samolotu w stożki, tak jak normalnie, tylko stawiali reflektory pionowo, tak że wyglądały jak lance ułańskie skierowane prosto w niebo. Te trzy Lancastery tak nonsensownie latały, bo widocznie były gonione przez myśliwce, których ja nie widziałem. Niemcy wypuścili dzienne myśliwce, Focke-Wulfy, i dlatego rozświetlili niebo, żeby ci piloci mogli sobie dać radę, bo to nie byli nocni piloci, oni nie umieli latać w nocy. W pewnym momencie patrzę, a ze dwa metry ode mnie – głowa niemieckiego pilota. Leci przede mną i nie widzi mnie, muszę uważać, żeby się we mnie nie wpakował. Jego prawe skrzydło jest pod moim kadłubem! Ja patrzę w jego kabinę – a on wpatrzony w zegary nic nie widzi. Mój tylny strzelec nie może strzelać do przodu, a górny nie może nachylić swoich kaemów w dół – tak blisko był ten Niemiec. Mój bombardier ma wieżyczkę z przodu z dwoma karabinami maszynowymi, ale ja jestem już nad samym celem, on siedzi na celowniku bombardierskim i mnie naprowadza i podaje mi na głos – *steady, left, left, steady*. Myślę sobie, że jak mu powiem – słuchaj, masz pod sobą FW190 – to się zdenerwuje, i rzuci bomby w krzaki, tak jak zapowiedziałem na tej odprawie. Więc siedzę cicho i nic nie mówię, niestety Focke-Wulf był trochę szybszy ode mnie, leciał na pewno na klapach, ale niemniej był szybszy, bo to myśliwski samolot. Bombardier, naprowadzając, tak długo trzymał mnie na prostym kursie (jak myślałem – całą wieczność), że w momencie zrzucenia bomb po FW190 nie było już śladu. Można powiedzieć, że się facetowi udało. Zrzuciliśmy te bomby, zszedłem z celu. Może czterdzieści minut później włącza się nawigator, że zapomniał zapisać czas i kurs, kiedy zeszedliśmy z celu. A my przecież nie mamy instrumentów nawigacyjnych! Ja przecież zdecydowałem się lecieć bez nich. Niewątpliwie duży wpływ na moją decyzję wywarło to, co się stało na odprawie. Co tu robić? Powiedziałem mu, żeby sobie wyciągnął talię kart i kładł pasjansa, a ja lecę w kierunku Szwajcarii. Szwajcaria nie jest w wojnie i tam się palą światła, więc jak zbliżę się i zobaczę tony światła, będę wiedział, gdzie jestem. Potem tylko skręcić na Francję i przez nią gdzieś na wyspy trafię – nie powinienem wylecieć na Atlantyk, żeby mnie tam szlag trafił – błąd nie może być aż tak duży. No i właśnie tak zrobiłem. W tych czasach nad Anglią mogłem wszędzie trafić bez mapy. Latałem dużo w nocy sam i znałem wiele latarni morskich i bikonów świetlnych wewnątrz kraju. Tak więc już bez trudności wróciłem, ale problem był w tym, że wróciłem grubo po wylądowaniu ostatniego samolotu, bo rozmyślnie leciałem na bardzo oszczędnym paliwie, żeby jak najdłużej móc utrzymać się w powietrzu. Jak przyleciałem, to Jarkowski i oficer operacyjny przyszli mnie witać już w gaciach. Gdy wszedłem na salę, to moje nazwisko było już skreślone ze stanu załóg. Załogi były identyfikowane po nazwisku pilota. To był mój najdłuższy lot – trwał około dziesięciu godzin.

## Strach

Z kolei o locie na Bremę opowiem dlatego, że to był jedyny lot, kiedy naprawdę się bałem. Miałem czas myśleć i wiedziałem, że jeśli nie zwalczę tego strachu, to on mnie zmusi, żeby zejść z kursu, i stracę na zawsze dla siebie szacunek. Lot był dzienny, miałem bombardować most w Bremie na rzece Aller. Niemcy otworzyli ogień zaporowy nad tym mostem – to wyglądało jak wielka kula dymu i ognia, w której wybuchają pociski, znacząc to czerwonymi plamami. Byłem za blisko, nie mogłem wyjść już wyżej, zejście pod tę kulę niewiele mi dawało, a w lewo i w prawo – nie zbombarduję mostu. Miałem czas do myślenia i nie miałem rozwiązania problemu. Uznałem, że przez to nie przelecę, widziałem koniec naszej załogi. Ale jednak mój szacunek dla siebie zwyciężył strach. To wymagało szalonego wysiłku woli, żeby skierować nos samolotu w tę kulę ognia. Ręce i nogi zdrętwiały mi na sterach. Zobaczyłem samolot, który leciał bardzo blisko, Lancaster z jakiegoś dywizjonu angielskiego, potem już nie widziałem, co się z nim stało, ale w każdym razie

przestał istnieć, nie było go. My przelecieliśmy przez to piekło. Wszystko, co nam się przydarzyło, to urwana piasta śmigła. Dym od wybuchów pocisków zawierał niespalony proch, który przylepił się do całego nosa samolotu, do mojej przedniej szyby, więc miałem bardzo złą widoczność. Do końca wojny pozostało mi po tym małe pęknięcie na szybie, może dwa cale długości, trochę na ukos. Ono mi bardzo przeszkadzało; czasem w nocy ta kreska wydawała mi się samolotem i robiłem uniki przed tym samolotem-widmem.

## Anglia

Zostałem uznany za wybitnego pilota. Mam tutaj taki wpis w log-booku, w książce, która jest rodowodem pilota. W nim są wszystkie nagany i nagrody. Ja mam dwie oceny

Year 1.946 Month: DECEMBER	AIRCRAFT		Pilot, or 1st Pilot	2nd Pilot, Pupil or Passenger	DUTY (Including Results and Remarks)
	Type	No.			
					Totals Brought Forward
	H LANC	"N"	SELF	CREW	FF TRANSPORT WROUGHTON

Total flying hours	939.37
Summary for	DECEMBER 1946 on L. LANCASTER I & III
Unit No.	304
Date and	19.12.1946

\*22522 WL 4072-1645 208 1147 T.S. 700  
\*33521-11222 WL 3423-2926 508 1143 T.S. 700

FORM 414 (A)

SUMMARY OF FLYING AND ASSESSMENTS FOR YEAR COMMENCING 1st 300(P) 19

[ \* For Officer, insert "JUNE"; For Airman Pilot, insert "AUGUST." ]

	S.E. AIRCRAFT		M.E. AIRCRAFT		TOTAL for year 300(P) 19	GRAND TOTAL All Service Flying
	Day	Night	Day	Night		
DUAL	/	/	/	/	/	170.25
PILOT	/	/	298	112.22	410.22	769.12
PASSENGER	/	/	/	/	/	/

ASSESSMENT of ABILITY  
(To be assessed as - Exceptional, Above the Average, Average)

(i) AS A H.A.B. PILOT: exceptional

(ii) AS PILOT-NAVIGATOR/NAVIGATOR

(iii) IN BOMBING

(iv) IN AIR GUNNERY

(v) IN S.B.A.

† Insert - "F.", "L.S.", "G.R.", "P.B.", "Instructor", etc.

ANY POINTS IN FLYING OR AIRMANSHIP WHICH SHOULD BE WATCHED

Date 2-1-1947 Signature B. Montkowski  
Officer Commanding 300(P) sqdn.

GRAND TOTAL [Cols. (1) to (10)]  
439 Hrs. 37 Mins. Totals Carried Forward

Ocena lotów w log-booku

*exceptional*, polską i angielską. To była bardzo rzadka ocena w RAF-ie. Typowa ocena to było *average*, druga lepsza, *above average*. Z tego powodu po wojnie skończyłem szkołę oblatywaczy w Anglii. To Anglicy w RAF nadali mi tę ocenę. A pamiętam, jak marzyłem, żeby mieć wpis *above average*.

A decyzja o wyjeździe do Stanów wzięła się też i z tej atmosfery, którą Anglicy robili wokół Polaków. To była niechęć. To olbrzymie lotnictwo angielskie kurczyło się, większość oficerów RAF to byli ludzie wcale niebogaci, klasa średnia. Więc niechęć RAF-owców do nas wynikała z przyczyn ekonomicznych, natomiast niechęć społeczeństwa do nas wynikała z powodów politycznych. Anglicy bardzo ciężyli w kierunku Rosji. Ich prasa była bardzo prorosyjska. Ich partia komunistyczna może nie była tak duża jak we Włoszech czy Francji, ale Anglia robiła duże ukłony w kierunku Rosji. I jeszcze rząd się zmienił na Labour Party, która też była co najmniej bardzo liberalna, w przeciwieństwie do torysów, którzy przedtem byli u władzy. To wszystko się zbiegło. Dlatego nam nie pozwolono brać udziału w paradzie zwycięstwa.

## **Ameryka**

W RAF-ie byłem tylko dwa lata, potem dostałem wizę amerykańską, złożyłem o nią podanie w 1945 r., zaraz po wojnie. Myślałem, że przyjadę do Ameryki i zrobię wspaniałą karierę jako oblatywacz i będę zarabiał kupę forsy. W Anglii nie zarabiałem nic więcej, niż wynosił etat wojskowy, bo byłem wojskowym oblatywaczem. Jak przyjechałem do Ameryki, to okazało się, że nikt ze mną nie chce gadać! To był dla mnie szok, bo zdałem sobie sprawę, że nie mam żadnego innego fachu, więc jeśli nie będę latać, to pewnie będę nosił w hotelu gościom walizki. Dostałem się na uniwersytet i skończyłem najpierw ekonomię, potem matematykę i potem z powodu matematyki zostałem inżynierem w przemyśle zbrojeniowym. Budowałem rakiety, poza tym dwa lata pracowałem przy projekcie „Apollo”, a w późniejszych latach byłem menedżerem.

Po wojnie bardzo zaprzyjaźniłem się z dowódcą mojego dywizjonu Jarkowskim. Uważam, że Jarkowski był wyjątkowym oficerem, bo był oficerem zawodowym. Oficerowie zawodowi zwykle fatalnie ładowali, nie mieli żadnego fachu i byli za starzy na to, żeby zaczynać jakąś karierę zawodową od nowa, byli ludźmi właściwie bez wykształcenia, ich los był bardzo ciężki. Jarkowski najpierw kupił w Kanadzie fermę indyków. Nie znał się na tym, więc wszystkie jego indyki były rachityczne. Opowiadał mi, że z całej Kanady przyjeżdżali farmerzy, żeby oglądać te jego rachityczne indyki! Musiał zlikwidować ten interes i zaczął pracować w jakiejś hucie, jako robotnik. W końcu oszczędził trochę pieniędzy i poszedł na uniwersytet – zrobił matematykę, potem przyjechał do Polski – zrobił doktorat z matematyki, wrócił do Ameryki i został profesorem matematyki w college’u. I tu wróć do tego lotu na Dessau, o tym incydencie na sali, jak wstałem i powiedziałem, że ja rzucam bomby w krzaki. Kilka lat później Jarkowski powiedział mi przy kolacji, na którą nas zaprosił, że to był najcięższy, najtrudniejszy moment w jego całej karierze oficera zawodowego. Że on miał ogromne trudności, jak ten problem rozwiązać.

\* \* \*

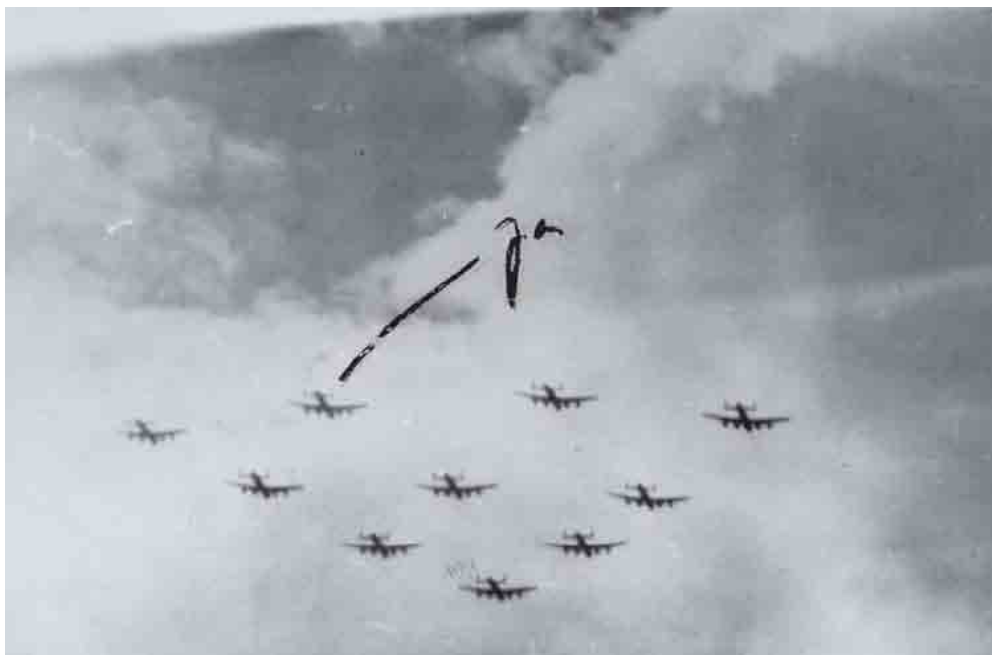
Moje życiowe „hurra” było w lotnictwie. Wszystko inne wynikało raczej z potrzeb materialnych. Oczywiście, że wolałem pracować w przemyśle zbrojeniowym niż robić lodówki w fabryce.

Po wojnie byłem kilka razy w Polsce. Przyjeżdżałem na złoty lotników. W latach 1993–1995 wykładałem w „Szkołę Orłąt” w Dęblinie. Polska jeszcze nie była członkiem NATO, a jednym z warunków przystąpienia było to, że polscy piloci wojskowi musieli rozumieć

rozkazy po angielsku i musieli się porozumiewać z ziemią po angielsku. Dęblin miał dwóch profesorów angielskiego wziętych z KUL, ale oni nie mogli uczyć komunikacji powietrze–ziemia. To mógł zrobić tylko pilot.

Starałem się im też przekazać to, co powiedziałbym swojemu synowi czy wnukowi, że najważniejsze w życiu to mieć twardy charakter. A może że trzeba mieć szacunek dla siebie, a to wymaga twardego charakteru.

*Opracowała B. Polak*



Dywizjon 300. podczas defilady, przewodzi mjr Bolesław Jarkowski.  
Samolot bohatera wspomnienia zaznaczony

# WIELKA MANIPULACJA

**Dwadzieścia lat temu, 14 maja 1983 r., zmarł Grzegorz Przymek, niepełna 19-letni maturzysta z Liceum Ogólnokształcącego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Warszawie. Dwa dni wcześniej został on bestialsko pobity przez funkcjonariuszy ZOMO i MO w komisariacie przy ulicy Jezuickiej. Był to najgłośniejszy, choć oczywiście nie jedyny, taki przypadek w latach osiemdziesiątych. Przykładowo niedługo później w Olsztynie w wyniku pobicia zmarł Marcin Antonowicz. W 1984 r. zakatowano pod Lublinem Krzysztofa Struskiego. Ofiar milicyjnej brutalności można wymienić znacznie więcej. W ostatniej dekadzie PRL popularne stało się nawet takie oto rozwinięcie skrótów MO, ORMO i ZOMO – „mogą obić”, „oni również mogą obić” oraz „zwałszcza oni mogą obić”. A komisariat na Jezuickiej, podobnie jak ten przy ulicy Wilczej, był dobrze znany pod tym względem w całej Warszawie.**

Przypadek Grzegorza Przymyka jest jednak szczególnie i to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, był on synem Barbary Sadowskiej, poetki i działaczki opozycji, aktywnie uczestniczącej w działaniach Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa kilkakrotnie grozili jej, że... syna może spotkać nieszczęście, jeśli nie zaprzestanie ona swej działalności. Ostatni raz groźby takie miały miejsce 3 maja 1983 r., podczas najścia specjalnej brygady MSW na siedzibę Komitetu w kościele św. Marcina (pracowników Komitetu pobito, Sadowskiej złamano palec u ręki). Po drugie, zabójstwo to wyróżnia skala działań w celu ochrony oprawców, którzy zatkukli warszawskiego maturzystę.

Zbrodni nie dało się zatuszować, gdyż świadkami pobicia byli koledzy Przymyka. Władze wykorzystały jednak fakt, że zmarł on dwa dni po pobiciu. Decyzją Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR z 24 maja „sprawa Przymyka” otrzymała miano „nadzwyczajnej”. Utworzono specjalny zespół na czele z sekretarzem KC i członkiem BP Mirosławem Milewskim w celu „koordynacji spraw wynikających z przebiegu śledztwa” oraz przygotowania działań propagandowych. Zdecydowano też o przekazaniu śledztwa z nazbyt samodzielnej i docieklivej prokuratury dzielnicowej do Prokuratury Stołecznej.



Klepsydra i pogrzeb Grzegorza Przymyka



Szeroko zakrojone działania w celu obrony funkcjonariuszy milicji i zrzucenia odpowiedzialności na pracowników Pogotowia Ratunkowego prowadził przede wszystkim resort spraw wewnętrznych (angażując w nie również wywiad i kontrwywiad). Rozpracowaniu poddano naocznego świadka pobicia – Cezarego Filozofa i jego rodzinę. Starano się za wszelką cenę skompromitować go (np. doprowadzić do uznania go za psychicznie chorego). W „wyniku nękańcych działań operacyjnych” doprowadzono m.in. do „rozluźnienia się solidarności wewnątrz członków [jego] rodziny”. Samego zaś Cezarego Filozofa pobili „nieznani sprawcy”. Rozpracowaniu operacyjnemu poddano również załogę karetki pogotowia, która przewoziła Przemyska z komendy do szpitala<sup>1</sup>. Podjęto też działania w celu kompromitowania Barbary Sadowskiej i rozpracowywano nauczycieli liceum, do którego uczęszczał jej syn, gdyż ośmielili się oni wystać list z żądaniem wyjaśnień w sprawie zatrzymania i pobicia Grzegorza Przemyska.

Wobec nadmiernej samodzielności prokuratury, która w opinii obserwatorów początkowo prowadziła dochodzenie w sposób rzetelny i uczciwy (uwzględniała wnioski pełnomocników Sadowskiej – adwokatów Macieja Bednarkiewicza i Władysława Siły-Nowickiego oraz rozpatrywała najbardziej prawdopodobną wersję śmierci w wyniku pobicia na komisariacie), do działań przystąpiła utworzona pod koniec maja specjalna grupa MSW. Jej celem było m.in. „ujawnienie wątpliwości i sprzeczności występujących w śledztwie”. To właśnie resort spraw wewnętrznych wpływał na dobór prokuratorów prowadzących sprawę. Przykładowo 2 kwietnia 1984 r. stwierdzono: „Do prowadzenia tego postępowania, zgodnie z sugestią naszego resortu, powołano zespół prokuratorów gwarantujących rzetelne i obiektywne wykonanie niezbędnych w sprawie czynności”. Trudno się dziwić takiej opinii skoro jednym z oskarżycieli na rozpoczętym ponad rok później (31 maja 1984 r.) procesie była znana z udziału w najgłośniejszych rozprawach politycznych prokurator Wiesława Bardonowa.

Szybko pozbyto się obu niewygodnych adwokatów. Specjalnie ze względu na Siłę-Nowickiego uchwalono ustawę ograniczającą możliwość pracy adwokatów do ukończenia 70. roku życia. Z kolei Bednarkiewicza aresztowano za ukrywanie i pomoc dla dezertera z ZOMO oraz „próbę przekupstwa” (miał rzekomo próbować kupić listę funkcjonariuszy komendy na Jezuickiej). W ten sposób zastraszone też innych adwokatów. Z obrony Michała Wysockiego, głównego oskarżonego, zrezygnował mecenas Wiesław Johann.

W ramach „obrony dobrego imienia resortu” obrońcom oskarżonych funkcjonariuszy przekazywano na bieżąco materiały zbierane przez służby operacyjne MSW. Wszystkich funkcjonariuszy jednostki, w której służył jeden z oskarżonych, wysłano na urlop, aby nie można ich było przesłuchać. Milicjantom występującym w sprawie udzielono specjalnego instruktażu. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych współpracowało z wojskiem. Bardzo cennych rad udzielali np. psychologzy i socjologzy z Wojskowej Akademii Politycznej.

W akcie oskarżenia na pierwszym miejscu wymieniono personel medyczny (kierowcę, sanitariusza i dwóch lekarzy pogotowia), a nie milicjantów. Skądinąd oskarżeni pracownicy pogotowia, np. Wysocki, byli starannie „przygotowywani” do rozprawy przez funkcjonariuszy MSW (podobnie jak w latach czterdziestych i pięćdziesiątych). Wyrok zapadł 16 lipca 1984 r. Skazano pracowników pogotowia, a milicjantów uniewinniono.

Wyrok sądowy nie stanowił zakończenia działań MSW – opracowano m.in. „Plan przedsięwzięć propagandowych po wyroku sądowym...”, który zakładał m.in. podważanie opinii biegłych z procesu (wykazywały one bowiem, że śmierć Przemyska była wyni-

<sup>1</sup> Szczegółowo na ten temat pisał kierowca karetki Michał Wysocki w książkach – *Oscarzony. W sprawie śmierci Grzegorza Przemyska*, Warszawa 1997 oraz *Oscarzony złem*, Warszawa 2000.

kiem pobicia na komisariacie) oraz podważanie decyzji sądu „w zakresie niekonsekwentnego skazania Wysockiego”.

Dopiero po przełomie 1989 r. w związku z zabójstwem Przemyska udało się skazać Arkadiusza Denkiewicza, jednego z funkcjonariuszy biorących udział w pobiciu. Jak dotychczas pozostałych milicjantów nie udało się skazać. W chwili obecnej pion śledczy Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu prowadzi śledztwo przeciw funkcjonariuszom, którzy manipulowali śledztwem w sprawie zabójstwa Grzegorza Przemyska.

Przypominamy poniżej rozkaz ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka, w którym nagradza on funkcjonariuszy najbardziej zasłużonych w „wyjaśnieniu” okoliczności śmierci Przemyska<sup>2</sup>. Odnaleziony egzemplarz zachował się w aktach KW MO w Gdańsku przechowywanych w Oddziałowym Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Gdańsku.

### Nr 1

*1984, wrzesień 2 – Rozkaz ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka w sprawie wyróżnienia funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa prowadzących śledztwo w sprawie okoliczności śmierci Grzegorza Przemyska*

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA  
MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH  
WOJEWÓDZKI URZĄD  
SPRAW WEWNĘTRZNYCH  
w Gdańsku<sup>a</sup>

### **ROZKAZ Nr 189/DK<sup>b</sup>**

MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH

z dnia 2<sup>c</sup> września 1984 r.

w sprawie wyróżnienia funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa

W maju ubiegłego roku opozycja polityczna w kraju i ośrodki dywersji ideologicznej na zachodzie rozpętały szeroko zakrojoną akcją propagandową skierowaną przeciwko resortowi spraw wewnętrznych.

Pretekstem do tej oszczerczej kampanii była śmierć 19-letniego Grzegorza Przemyska. Wbrew oczywistym faktom – jak się później okazało – znanym doskonale rodzinie i kolegom oraz niektórym działaczom opozycji politycznej, z całą perfidią skonstruowano zarzuty przeciwko funkcjonariuszom MO i resortowi spraw wewnętrznych, postępując się plotką, kłamstwem i pomówieniami oraz prowokując oficjalne wystąpienia, listy i petycje indywidualne i grupowe. W ten sposób starano się osiągnąć szersze cele polityczne i wykazać, że w naszym kraju proces stabilizacji jest fikcją, a społeczeństwo jest prześladowane przez władzę, która wykorzystując służby resortu spraw wewnętrznych, stosuje przestępcze metody

<sup>a</sup> Pieczęć z orłem, poniżej wpisana liczba dziennika.

<sup>b</sup> Numer wpisano odręcznie.

<sup>c</sup> „2” wpisano odręcznie.

<sup>2</sup> Po raz pierwszy inny egzemplarz tego dokumentu został opublikowany w niskonakładowej książce M. Wysockiego, *Osaczony złem*.

w walce z przeciwnikami politycznymi. Zmierzano do rozbicia naszego aparatu, do wytworzenia atmosfery powszechnego potępienia i zohydzenia go społeczeństwu.

Część społeczeństwa na skutek tej zorganizowanej kampanii, umiejętnie syczącej niewiść, uwierzyła w rzekomy scenariusz wydarzeń, według którego śmierć Grzegorza Przemyska była następstwem pobicia go w Komisariacie MO.

Resort spraw wewnętrznych, nie poczuwając się w najmniejszym stopniu do jakiegokolwiek zawinienia śmierci G. Przemyska, nie mógł pozostać obojętnym wobec jawnej prowokacji i kampanii oszczerstw skierowanej na nasz aparat.

Podjęte zostały wielokierunkowe działania zmierzające do nadania śledztwu obiektywnego charakteru, ustalenia faktycznych sprawców, pociągnięcia ich do odpowiedzialności i ujawnienia wobec opinii publicznej rzeczywistej prawdy.

W wyniku długotrwałej, żmudnej pracy, prowadzonej przez wielu funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, zgromadzono materiał procesowy obrazujący faktyczny przebieg zdarzenia i rolę jego uczestników, stanowiący zarazem podstawę do uniewinnienia funkcjonariuszy MO i skazania rzeczywistych sprawców śmierci G. Przemyska.

Wyrok sądu był nie tylko moralną satysfakcją oskarżonych funkcjonariuszy MO, ale stanowił jednocześnie zadośćuczynienie dla wszystkich, przez szereg miesięcy atakowanych w niewybredny sposób, funkcjonariuszy naszego resortu. Stanowił on swoistą rehabilitację naszego aparatu w oczach społeczeństwa. Była to też dotkliwa porażka tych, którzy na osobistej tragedii młodego człowieka chcieli zbić swój kapitał polityczny, a zostali publicznie zdyskredytowani.

W toku postępowania karnego ujawnione zostały mechanizmy tworzenia ordynarnych prowokacji dla osiągnięcia ogólniejszych celów politycznych przez opozycję antysocjalistyczną. Z tymi środkami walki politycznej opinia publiczna została zapoznana w toku przewodu sądowego.

Za włożony wysiłek, pełne zaangażowanie, wykazanie wysokiej odpowiedzialności, inicjatywę i osiągnięte efekty, następujących funkcjonariuszy nagradzam:

kwotą 20.000 zł

1. gen. bryg. Jerzego GRUBĘ – Zastępcę Komendanta Głównego MO

kwotą 15.000 zł

2. płk. Kazimierza OTŁOWSKIEGO – Dyrektora Biura Dochodzeniowo-Śledczego KG MO

3. płk. Zbigniewa PUDYSZA – Dyrektora Biura Śledczego MSW

4. płk. Józefa MUNIAKA – Z[astępcę] Szefa Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych ds. MO

5. płk. Stanisława PRZANOWSKIEGO – Z[astępcę] Szefa Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych ds. SB

6. płk. Ryszarda ZAJKOWSKIEGO – Naczelnika Wydziału II Głównego Inspektoratu Ministra

kwotą 12.000 zł

7. ppłk. Stanisława SAWICKIEGO – Naczelnika Wydziału II Biura Dochodzeniowo-Śledczego KG MO

8. ppłk. Wiesława LEWANDOWSKIEGO – Naczelnika Wydziału Kontroli Biura Kontroli i Analiz KG MO

9. kpt. Zbigniewa SUPRYNA – Inspektora Biura Dochodzeniowo-Śledczego KG MO

10. kpt. Zdzisława CHWASZCZA – St. inspektora Biura Kryminalnego KG MO

kwotą 10.000 zł

11. ppłk. Stanisława OLEJNIKA – St. inspektora Departamentu III MSW

12. mjr. Andrzeja SADLIŃSKIEGO – Z[astępcę] Naczelnika Wydziału Prasowego Gabinetu Ministra S[praw] W[ewnętrznych]

13. por. Jacka ZIÓŁKOWSKIEGO – Inspektora Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego S[to-  
łecznego] U[rzędu] S[praw] W[ewnętrznych].

Rozkaz podać do wiadomości wszystkim funkcjonariuszom resortu spraw wewnętrznych.<sup>d</sup>  
gen. broni Czesław KISZCZAK<sup>e</sup>

Źródło: IPN Gd 0046/392, t. 1, k. 3–5, kopia, mps.

W działania władz w związku ze „sprawą Przemyka” nie mógł oczywiście nie włączyć się ówczesny rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban. I co ciekawe, nie tylko jako propagandysta, który przekazuje dziennikarzom to, co chce władza, ale wręcz jako współreżyser przygotowywanego procesu. Przykładowo zgłaszał pomysł sterowania przebiegiem procesu (podzielenie rozprawy na z góry przewidziane odcinki i przerywanie jej danego dnia po zakończeniu planowanych czynności) oraz opinią spotęcną (koncepcja obsługi fragmentów procesu, którym władza nie chce nadawać rozgłosu przez „specyficznym dobranych dziennikarzy”, np. Chińczyka, lub w ogóle niewystawiania na nie wejściówek). Wreszcie ostatnia „ciekawostka”, czyli uzgadnianie przebiegu procesu między prezesem „niezawisłego” sądu a... rzecznikiem prasowym rządu.

Prezentujemy poniżej pismo Jerzego Urbana w tej sprawie, które zachowało się w aktach Biura Prasowego Rządu Urzędu Rady Ministrów przechowywanych w archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.

## Nr 2

1984, maj 14 – Pismo rzecznika prasowego rządu Jerzego Urbana do sekretarza KC PZPR Jana Głównyckiego w sprawie propozycji organizacji obsługi prasowej procesu zabójców Grzegorza Przemyka

1984-05-14

♣JU/2740-3/84<sup>a</sup>

POUFNE<sup>b</sup>

Towarzysz Jan Głównycki

Sekretarz Komitetu Centralnego

PZPR

W związku z przygotowywanym procesem w sprawie śmierci G[rzegorza] Przemyka przedstawiam propozycje dotyczące obsługi procesu przez dziennikarzy zagranicznych. Generalne zasady propozycji (bez szczegółów) uzgodniłem z Min[istrem] Domerackim<sup>3</sup>, który uzgodnił [je] z gen. Kiszczakiem i obaj aprobowali. Konsultowałem też z tow. Kohorewiczem.

<sup>d</sup> Na pierwszej stronie dokumentu widnieje odręczna adnotacja: „zapoznano wszystkich f-szy na odprawie w dniu 1.10.1984 r.”, poniżej nieczytelny podpis.

<sup>e</sup> Powyżej odręczna parafraza.

<sup>a-a</sup>Wpisane odręcznie.

<sup>b</sup> Wstemplowane.

<sup>3</sup> Lech Domeracki – od listopada 1983 r. do września 1988 r. minister sprawiedliwości.

1. Wydaje się pożytecznym dopuścić w ograniczonym stopniu i w sposób kontrolowany dziennikarzy zagranicznych do procesu w sprawie Przemyska. Inaczej bowiem będą nadawać jednostronne informacje czerpane z kół opozycyjnych (będą one znaty dokładny przebieg zdarzeń) i określać, że proces toczy się przy drzwiach zamkniętych.
2. Dopuszczenie dziennikarzy zachodnich implikuje dopuszczenie w jakimś stopniu dziennikarzy z k[rajów] s[ocjalistycznych]. Będzie dla nich szokujące, że na ławie oskarżonych zasiadają milicjanci. Jednakże ten fakt i tak będzie im znany. Szok może zostać wzmocniony ewentualnym wystuchiwaniem ostrych pytań i oskarżeń pod adresem milicji. Refleksje na tym tle przekażą oni jednak w zamkniętym obiegu informacji, który jest ważny, jednakże mniej ważny moim zdaniem od rezonansu publicznego na Zachodzie.
3. Wychodząc z tych przesłanek, proponuję przyjęcie następujących zasad obsługi procesu przez prasę zagraniczną;
  - a) Zakazać nagrywania przez TV, radio (i w ogóle na magnetofony) przebiegu procesu z wyjątkiem ogłoszenia wyroku i uzasadnienia go, gdzie można dopuścić polską TV i radio, które sprzedadzą to za granicę.
  - b) Podzielić całą – długotrwałą, jak wiem – proces na segmenty (w przyszłym tygodniu mam to omawiać z prezesem sądu) – chodzi o to, aby z góry ściśle przewidzieć, co się którego dnia, czy przez połowę dnia będzie działo, rozpisać to w czasie i przerywać rozprawę po wyczerpaniu planowanych czynności sądowych, nawet gdyby zostawał czas na podjęcie następnych.
  - c) Wydrukować wejściówki opiewające wyłącznie na jeden dzień rozprawy (ewentualnie półdługą). Rozdzielać je będzie Centrum „Interpress”.
  - d) Opracować ściśły plan pracy [, którzy] dziennikarze zagraniczni wejdą na jaką część rozprawy. Stosować zasadę: fragmenty procesu, które chcemy, aby Zachód słyszał, są dostępne dla 3–4 dziennikarzy zachodnich (to samo powinno dotyczyć wschodnich, aczkolwiek mogą wchodzić w grę inne fragmenty rozprawy). Fragmenty procesu, którym nie chcemy nadawać rozgłosu, obsadzone są przez specyficznie dobranych dziennikarzy (np. Chińczyk, Hindus) albo w ogóle nie będzie na nie zaproszeń.
  - e) Odbywać się będą w miarę potrzeby spotkania reprezentanta sądu z prasą zagraniczną (szerzej dostępne) dla naświetlenia, co było na procesie, jak i co rozumieć, jakie są aspekty prawne różnych zagadnień. Nie byłyby to konferencje prasowe (powodowałyby one przesadny rozgłos), lecz mniej niż briefingi – rozmowy konsultacyjne.
4. Poprosiłem DPKWN o sporządzenie listy dziennikarzy różnego rodzaju, którzy mogą czy powinni dostać zaproszenia wg kryteriów: a) nadają się do siedzenia na poszczególnych segmentach rozprawy, b) powinni dostać premię za dobre sprawowanie, c) zapewnią nam odpowiednie nagłośnienie na Zachód niektórych, korzystnych dla nas zeznań czy wątków procesu.

Szczegółowe propozycje mógłbym ustalić po zaplanowanej rozmowie z prezesem sądu i ewentualnie innymi jeszcze czynnikami (MSW, Prokuratura).

Proszę o rozważenie propozycji i ewentualne uwagi i instrukcje.

Jerzy Urban<sup>c</sup>

Źródło: BPR URM, 2, k. 44–45, kopia, mps.

<sup>c</sup> Poniżej odręczny podpis.

# ZATRUTE ŹRÓDŁO

## Uwagi do komentarza historycznego Sławomira Cenckiewicza z lutowego numeru „Biuletynu IPN”

Instytut Pamięci Narodowej powołany został między innymi po to, by fakty ukrywane lub zakłamanie w czasach PRL przybliżyć czytelnikowi. Firma IPN – oczekujemy tego – stać się powinna synonimem dobrego warsztatu historycznego. Czytając IPN-owskie komentarze historyczne, czytelnik ma prawo oczekiwać, że otrzyma tekst rzetelny, że prezentowane w tych tekstach fakty lub sylwetki zostaną z należytą starannością przedstawione ze wszystkich stron. Tekst wydany pod firmą IPN staje się dla wielu poważnym źródłem – tym większe szkody przynosi więc publikowanie tekstów nierzetelnych, zawierających błędne, niesprawdzone dane. Z takim przypadkiem mamy do czynienia w lutowym numerze Biuletynu w związku z opublikowaniem komentarza historycznego Sławomira Cenckiewicza *Melchiora Wańkowicza kręta droga do Polski*.

Czytając ten tekst, stwierdzić muszę, że warsztatowe standardy zostały zanizone, podano fałszywe informacje, a Wańkowicz pokazany został jednostronnie, nie takim, jaki był, lecz takim, jakim chcieli go widzieć zawistni lub uprzedzeni współzawodnicy do tytułu mistrza – wieszczka. Omawiany tekst nie jest indywidualną sprawą Instytutu Pamięci Narodowej, „Biuletynu” czy też samego autora – tekst ten przynosi wymierne szkody i musi być sprostowany. Oto bowiem fałszywa informacja o „willi подарowanej Pisarzowi w hołdzie” została rozpoznała przez „Tygodnik Powszechny” (nr 16 z dnia 18 kwietnia 2004 roku). „Biuletyn” stał się więc zatrutym źródłem.

Ciekawą dla wszystkich jest prezentacja IPN-owskich archiwaliów, szczególnie tych mało dostępnych, a pochodzących z kręgów SB i cenzury, nie powinny one jednak tekstu zdominować. O Wańkowicza pytać można przecież także osoby reprezentujące inne niż obaj Mackiewiczowie czy też Stanisław Gierat sposoby widzenia rzeczywistości, a także inny pogląd na to, gdzie stać powinny drogowskazy, by dostrzec je mogły możliwie szerokie rzesze czytelników – wędrowców. Wańkowicz nie był na pewno osobą skromną – był świadomy swej roli, więcej, w sposób świadomy ustawiał się w takim miejscu, by zostać dostrzeżonym. Mimo prób czynionych przez niektórych, na przykład przez Czesława Miłosza, który w swej historii literatury polskiej Wańkowicza nie dostrzega, stał się on na długo przed śmiercią osobą i własnością publiczną, nic więc nie przeszkadza, by każdy mógł dawać wyraz swoim poglądom i dezawuować jego życie i twórczość. W „Biuletynie IPN” można by jednak oczekiwać prezentacji obiektywnej, czyli mówiąc po ludzku uczciwej, a nie prezentacji z tezą, jak czyni to p. Cenckiewicz.

Autor omawianego tekstu, przedstawiając sylwetkę Melchiora Wańkowicza, skonstruował swój tekst i zawartą w nim ocenę wokół jednego problemu – przyjazdu do Polski w 1956 i następnie powrotu tu na stałe w 1958 roku, przyjazdu noszącego według cytowanych autorów i tekstów cechy zdrady i zaprzędania się komunistom. Pan Cenckiewicz pominął przy tym jedną, być może najciekawszą cechę Wańkowicza, perspektywę, z której oceniał on świat i ludzi – perspektywę reportera. Krytykowane działania zdecydowanie inaczej się ocenia z wańkowiczowskiej strony. Kraj w 1956 roku był miejscem, w którym coś się działo, coś, co mogło zmienić oblicze Polski i być Polaków. Wańkowicz – reporter nie mógł tego porzucić, musiał być w centrum wydarzeń, dotknąć, posmakować. Kraj w stanie



wrzenia, na ulicach Poznania leje się krew, czołgi sowieckie idą na Warszawę – on nie mógł siedzieć na kanapie w amerykańskim zaciszu, nie mógł też czyścić i pakować do skrzynek jajek (prowadzenie kurzej fermy dawało mu środki do życia). Musiał przyjechać, by to zobaczyć – wbrew emigracyjnym mentorom narzucającym wszystkim jedynie słuszny sposób traktowania sowieckiego reżymu w kraju.

Z analizy przedstawionej w „Biuletynie” przez p. Cenckiewicza, powtórzmy, wyłania się Wańkowicz nie taki, jakim on był, lecz taki, jakim chcieli go widzieć inni. Zastanawiającym jest powielanie, a przez to nobilitowanie jako jedynie słusznych, obowiązujących w emigracyjnym środowisku „nieprzejednanych” postaw odmowy pisania do kraju, odmowy wydawania w kraju. Brakuje rzetelnej oceny skutków takich postaw. Pisarz żyje jedynie w świadomości swoich czytelników. Potencjalni czytelnicy Wańkowicza żyją w kraju. Prawie wszystkie próby pisania do szuflady kończyły się fiaskiem – z pustych szuflad nic nie dało się rzucić na maszyny drukarskie.

Rysując czarną kreską ponad osiemdziesięcioletnie życie Wańkowicza, Cenckiewicz dokonuje szczególnej selekcji faktów, pomijając te, które z przyjętą tezą nie korespondują – w portrecie tym jest zarzut braku akcesu do Legionów, ale brakuje szerszej oceny działań, tego legionowego w gruncie rzeczy emisariusza w terenie najlepiej mu znanym, w ziemi mińskiej, w Bobrujsku, na dalekich, północno-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Cenckiewicz nie pisze o tym, że dwuletni pobyt „wypoczynkowy” na Cyprze zafundowali Wańkowiczowi rodacy, czyniąc go jako politycznie podejrzanego sanatora wręcz więźniem – gościem Jego Królewskiej Mości, pisze natomiast o nagannej skłonności Wańkowicza do zarabiania pieniędzy, posuwając się wręcz do pomówień o sprzedajność czy nieuczciwość w zbieraniu, w iście amerykański sposób, środków finansowych na to, by móc spokojnie pisać amerykańską trylogię (a przecież trylogia ta – *W pępku Ameryki, Atlantyk–Pacyfik, Królik i oceany* – powstała i dotarła do rąk subskrybentów). I tak można by dalej.

Komentarz historyczny dotyczący Wańkowicza jest ciągle do napisania – pan Cenckiewicz tego nie zrobi. Po to, by taki komentarz napisać, trzeba o Wańkowiczu chcieć coś wiedzieć, zaś p. Cenckiewicz już wie. Wie, że mieszkanie na Puławskiej, że willa przy Studenckiej na warszawskim dalekim Mokotowie, „ofiarowana w hołdzie Wielkiemu Pisarzowi”. I na nic zapewne nie przydadzą się tu papiery i dowody, także księgowo – którymi służyć – że mieszkanie, dwa pokoje, bez windy, na czwartym, a więc zbyt wysokim dla starego człowieka piętrze na rogu Rakowieckiej i Puławskiej nie było подарowane przez władze, lecz przydzielone, kwaterunkowo, że w Polsce lat pięćdziesiątych była to jedyna forma uzyskania lokalu mieszkalnego. Nie trafią zapewne do przekonania p. Cenckiewicza dowody, że dom przy Studenckiej Wańkowicz sam wybudował i w pełni zapłacił za tę budowę. Że standard tego domu niewiele się różnił od mieszkania w bloku, takie same przemarzające ściany z gazobetonu, zwanego wówczas siporexem, luksusy istniejące jedynie w słowach i wyobraźni Józefa Mackiewicza.

Ciągnąc dalej ten przydługi nieco komentarz do komentarza historycznego pióra pana Cenckiewicza, stwierdzić muszę, że to, czego w nim brak, to śladu, jaki ten niepokorny, skłócony z wieloma człowiek pozostawił za sobą w polskiej kulturze, w polskim myśleniu o historii trzech ćwierci dwudziestego wieku.

Historia do narodowej świadomości dociera w formie legendy. Legenda września 1939 roku – legenda żołnierzy Westerplatte, legenda majora Hubala i dalej legenda Monte Cassino w narodowej świadomości żyje dzięki Wańkowiczowi. Może brak odniesienia się do tej legendy jest u pana Cenckiewicza zabiegiem celowym – wzmianka o niej musiałaby doprowadzić do pytania o to, czy legendy września i Monte Cassino są dla naszej narodowej świadomości czymś ważnym, i do pytania o to, o ile bylibyśmy bez tych legend ubożsi.

Wyciągnięte w latach dziewięćdziesiątych z emigracyjnej szuflady teksty *Westerplatte*, *Hu-balczyków*, *Monte Cassino* nie weszłyby już do narodowego zestawu mitów.

Idee, by zagnieździły się w pamięci narodowej, muszą być rzucone na rynek w odpowiednim czasie i w odpowiednio dużej liczbie kopii. Ten, krytykowany przez emigracyjnych mentorów, a w rzeczywistości tryumfalny objazd Wańkowicza po kraju w 1956 nastąpił w najlepszej, a może nawet w jedynej dziejowej chwili. Dzięki tym odczytom wielu w kraju po raz pierwszy usłyszało, może nazbyt patetyczne, słowa opisujące męstwo i zasługi żołnierza II Korpusu, dotychczas przez propagandę uznawanego za sługusa imperialistów. Może dzięki tym odczytom w knajpach, gdy muzycy „do kotleta” zagrali melodię *Czerwonych Maków*, to nawet lekko zawiani słuchacze wstawali i przeżyli się na baczość. Gdyby nie ten przyjazd, to być może nie byłoby Wańkowicza tylko, cytuję, „38 egzemplarzy wydanej na emigracji »Drogi do Urzędowa« sprzedanej w kraju w 1955 roku przez Towarzystwo Polonia”.

Z tej perspektywy stwierdzić muszę, wbrew autorowi komentarza historycznego, że cel „przemysłanej kalkulacji politycznej komunistów”, jakim było sprowadzenie Wańkowicza do PRL, nie dał oczekiwanych rezultatów. Propagandowe zyski tej operacji były niewielkie w porównaniu z propagandowymi stratami – Wańkowicz nie dał sobą manipulować. Setki tysięcy egzemplarzy jego książek propagowało inne niż oficjalne, komunistyczne wartości. Ten niezależny duch chciał być drogowskazem, ale nie wskazywał drogi do socjalizmu.

A zainteresowanego wańkowiczowskimi dochodami autora komentarza informuję, że w powojennej Polsce pierwsze prawdziwe pieniądze, to jest takie, których ten mało oszczędny człowiek nie potrafił wydać na bieżące życie i mógł za nie sfinansować budowę domu, pojawiły się dopiero około 1972 roku, a więc mniej więcej na półtora roku przed jego śmiercią zaczęły one napływać w związku z zawartymi z Wydawnictwem Literackim i Wydawnictwem PAX umowami na *Dzieła wybrane* – kilkunastotomowe wydawnictwo, z którego Wańkowiczowi dane było widzieć jedynie tom pierwszy, symbolicznie zatytułowany *Dwie prawdy*. A omawiany komentarz historyczny – trudno, zaliczyć go muszę do kategorii prawdy trzeciej w ujęciu tischnerowsko-góralskim.

Jan Sawa

## SEDNO SPORU

Polemizując z moim artykułem na temat okoliczności przyjazdu i powrotu Melchiora Wańkowicza do Polski („Biuletyn IPN”, nr 2, 2004), p. Jan Sawa zarzucił mi „nierzetelność”, „podanie fałszywych informacji” i ukazanie pisarza „jednostronnie, nie takim, jakim był, lecz takim, jakim chcieli go widzieć zawistni lub uprzedzeni współzawodnicy do tytułu mistrza – wieszczka” (tak jakby gen. Władysław Anders, płk Waclaw Jędrzejewicz czy mjr Stanisław Gierat konkurowali z Wańkowiczem o tytuł „wieszczka”). Na poparcie tak postawionych zarzutów p. Sawa przywołuje *de facto* jeden argument – ten dotyczący przydziału mieszkania kwaterunkowego na rogu Rakowieckiej i Puławskiej oraz nabycia domu przy ulicy Studenckiej. Pozostałe „argumenty” nie dotyczą w zasadzie Wańkowicza, a odnoszą się do spraw bardziej ogólnych (choć nierzadko zupełnie podstawowych) – sporu wokół miejsca PRL w historii Polski, oceny powrotów emigrantów do kraju w „okresie odwilży”, zachowań „intelektualistów” i „ludzi pióra” w komunistycznej rzeczywistości, a także roli, jaką winien odgrywać Instytut Pamięci Narodowej. Niestety, w polemice prasowej nie ma

miejsca na roztrząsanie tak wielkich kwestii. Spór o ocenę Polski Ludowej dzieli Polaków, będzie dzielił i my go tu ani nie rozstrzygniemy ani nie dojdziemy do konsensusu. Jak powiedziałem – jest to spór podstawowy, i jako taki zasadniczo wpływa na ocenę i postrzeganie przez nas historii ostatniego – z górą już – półwiecza dziejów.

Jeśli więc chodzi o sprawę przyznania mieszkania i nabycia domu przy ulicy Studenckiej, to rzeczywiście, oba wydarzenia ocenilem w kategoriach „dopieszczania” przez władze Polski Ludowej, które w ten sposób chciały niejako zaskarbić sobie uznanie i szacunek Wańkowicza. Oprotestowany fragment mojego artykułu brzmi: „Najpierw było mieszkanie przy Puławskiej, a potem willa »ofiarowana w hołdzie Wielkiemu Pisarzowi« przy ulicy Studenckiej”. Pisząc o tym, nie dysponowałem rzecz jasna „papierami i dowodami, także księgowymi”, na które powołuje się p. Sawa, a które miałyby potwierdzić fakt, że mieszkanie przy Puławskiej „nie było подарowane przez władze, lecz przydzielone”, a dom przy Studenckiej kupiony za honoraria otrzymane z Wydawnictwa Literackiego i „Pax”. Mój pogląd nie był (nie jest) jednak jakąś konfabulacją chcącego „przyłożyć” pisarzowi historyka i również opiera się na źródłach. W pierwszym przypadku odwołałem się przede wszystkim do wiedzy o charakterze ogólnym – wiadomo bowiem, że po powrocie do kraju Wańkowicz zamieszkał w dwupokojowym mieszkaniu przy Puławskiej (wmurowano tam tablicę upamiętniającą ten fakt, można też sięgnąć po książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, żeby wymienić chociażby *Na tropach Wańkowicza*, Warszawa 1999). Natomiast istnieją również inne źródła potwierdzające fakt, że za przyznaniem kwaterek przy Puławskiej stały czynniki państwowe. I wcale nie trzeba się tu odwoływać do źródeł proveniencji ubeckiej, które zdaniem p. Sawy „nie powinny [...] jednak tekstu zdominować”, a do „bardziej wiarygodnych” (jak rozumiem) archiwaliów Ministerstwa Spraw Zagranicznych (przechowywanych w Warszawie przy ulicy Tanecznej). W jednej z notatek Dyrektora Biura Konsularnego MSZ W. Sobierajskiego z listopada 1957 r. jest mowa o tym, że „Wańkowicz zgłosił Ambasadorowi [Romualdowi] Spasowskiemu propozycję przeniesienia się wraz z żoną na stałe do kraju najdalej na wiosnę 1958 r. Pragnąłby jednak: 1. Zachować obywatelstwo amerykańskie. 2. Zapłacić w złotych polskich, otrzymanych w kraju tytułem drukowanych w polskich tygodnikach reportaży, bilet na przejazd do kraju »Batorym« dla siebie i żony. Oddałby natomiast niewykorzystany bilet na »Queen Mary« na trasie Nowy Jork–Southampton. 3. Otrzymać mieszkanie w Warszawie. 8 miesięcy w ciągu roku przebywałby w kraju, a pozostałe 4 miesiące w Stanach Zjednoczonych i innych krajach zachodu (zbieranie materiałów do reportaży i pracy publicystycznej). 4. Otrzymywać za swą pracę publicystyczną w Polsce i książki wydawane obecnie w kraju oprócz wynagrodzenia w złotych polskich możliwości transferu w wysokości 400 dolarów amerykańskich miesięcznie celem spłacenia swych wyjazdów za granicę”. W dalszej części notatki Sobierajski pozytywnie ustosunkował się do propozycji Wańkowicza, „ponieważ pozyskanie W. dla Polski wydaje się być celowe i korzystne”, zaś w części dotyczącej przyznania mieszkania napisał: „Sprawą mieszkania dla W. zajęłby się Urząd Rady Ministrów” (Archiwum MSZ, zespół 9, wiązka 49, tom 643, k. 21–22). Z uwagi na opinię p. Sawy, który napisał, że pisarz zarobił „pierwsze prawdziwe pieniądze [...] dopiero około 1972 roku”, warto podkreślić w tym miejscu zgodę władz PRL na transfer 400 dolarów miesięcznie na konto pisarza w kraju. W notatce na ten temat czytamy, że „Ambasada PRL w Waszyngtonie po przeanalizowaniu tego stanu rzeczy wystosowała do Ministerstwa Finansów i Banku Polskiego wnioski zmierzające do uproszczenia procedury”. Również odrębna adnotacja pracownika MSZ na notatce nie pozostawia w tym względzie żadnych wątpliwości: „To trzeba mu załatwić” (Archiwum MSZ, zespół 9, wiązka 49, tom 643, k. 26). Jest zatem oczywiste, że władze PRL stworzyły Wańkowiczowi dogod-

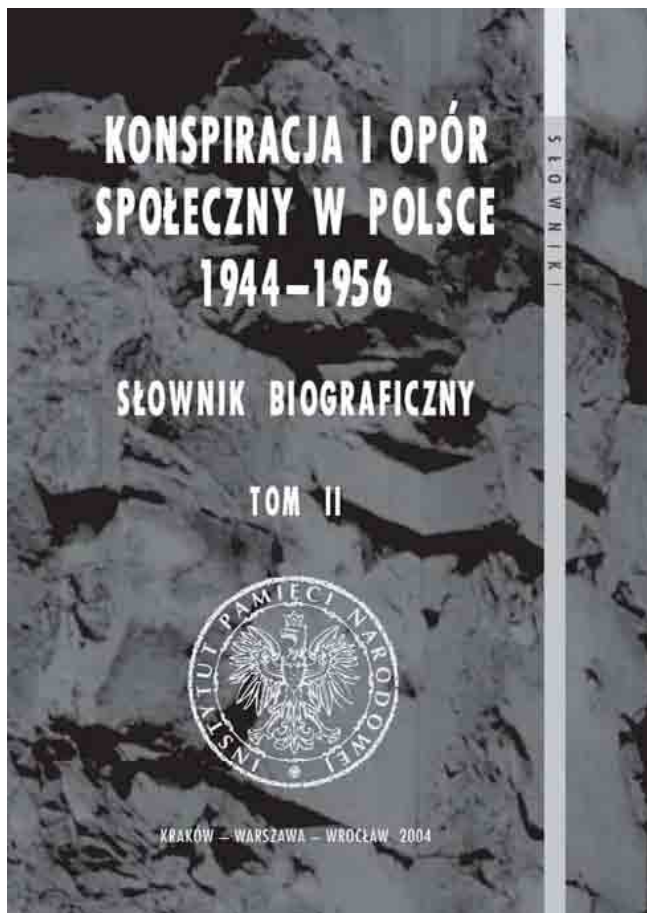
ne warunki powrotu, a sprawą „przydziału” mieszkania zajął się sam Urząd Rady Ministrów. Wydaje się, że władze PRL spełniłyby niemal każdy postulat pisarza, żeby tylko ściągnąć go do kraju. Tak uzasadniał to Edward Kmiecik, I Sekretarz Ambasady PRL w Waszyngtonie: „Niezależnie od oceny warunków stawianych przez Wańkowicza i ich formy uważam stałe zdobycie Wańkowicza dla Polski za celowe i korzystne. Mimo ataków, z jakimi spotkał on się w środowisku emigracyjnym z powodu swego wyjazdu do Polski w październiku ubiegłego roku, Wańkowicz jest bardzo popularny w masach polonijnych i emigracyjnych. Jego współpraca z krajem bez wątpienia przyniesie nam korzyści z pracy nad kształtowaniem poglądów Polonii i emigracji” (Archiwum MSZ, zespół 9, wiązka 49, tom 643, k. 29–30).

Jeżeli chodzi natomiast o dom przy Studenckiej, to przypominam, iż opierałem się wyłącznie na opinii wyrażonej przez Józefa Mackiewicza (*Mój przyjaciel Pawełek*, „Wiadomości”, 18 I 1976 r.).

Na koniec pragnę odnieść się jeszcze do innego fragmentu polemiki p. Sawy, który nie zgadza się z poglądem, że powrót Wańkowicza był „przemysłaną kalkulacją polityczną komunistów”. Na potwierdzenie tak postawionej tezy przywołałem przecież fragment jednej z instrukcji Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego, w którym jest mowa o tym, że celem akcji reemigracyjnej jest m.in. „udzielanie poparcia działaczom i grupom, które pragnąc skorzystać ze stworzonych możliwości, zmieniają swój stosunek do Kraju i chcą wrócić lub nawiązać pozytywną współpracę z Krajem”. Udział bezpieki w operacji regulowała zresztą instrukcja przewodniczącego Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego Wiesława Dworakowskiego nr 0105/55 z 18 października 1955 r. o akcji powrotu „powrześniowej reakcyjnej emigracji politycznej”. Plan działań operacyjnych podzielono na trzy etapy. Pierwszy z nich dotyczył gruntownego rozpoznania na drodze operacyjnej i oficjalnej stosunków panujących w poszczególnych ugrupowaniach i środowiskach emigracyjnych. „Na podstawie uzyskanych materiałów będziemy w stanie właściwie zorganizować pracę operacyjną, wytypować ewentualnych kandydatów do operacyjnego wykorzystania oraz właściwie zorganizować akcję propagandową. W tym celu wykorzystywać agenturę, osoby wyjeżdżające za granicę i utrzymujące korespondencję oraz repatriantów, którzy powrócili z Zachodu, z którymi w zależności od potrzeb należy przeprowadzić rozmowy” – czytamy w dokumencie Komitetu. W drugim etapie chodziło o podjęcie działań o charakterze operacyjnym zmierzających do „pozyskiwania dla kraju osób wpływowych na emigracji, powiązanych tam różnymi więzami handlowymi, majątkowymi itd., które posiadają w kraju rodziny i wyrażają chęć ich odwiedzenia. Zaproponować zaproszenie ich do kraju na wycieczkę, zjazd czy też konferencję”. Ostatnią – trzecią częścią działań operacyjnych – objęto osoby, które posiadają rodziny w kraju, nie są niczym związane z zagranicą, a mają wątpliwości i obawiają się podjąć decyzję. W ich przypadku resort zalecał „spowodować drogą części agentury oraz rodzin i znajomych wystanie listów nawołujących do powrotu, które ułatwią im zdecydować się zgłosić na repatriację” (AIPN, sygn. 00231/116, t. 1, Notatka omawiająca kierunek działań operacyjnych aparatu bezpieczeństwa w związku z akcją repatriacyjną, bez daty [1955 r.] i autora, k. 184–192).

Jest oczywiste, że ten scenariusz zastosowano również w przypadku „ściągnięcia” do kraju Wańkowicza. Oceniając wybory emigrantów w „okresie odwilży”, nie można też zapominać, że chodzi przecież o powrót do Polski Ludowej, nie zaś do „Polski”, jak napisał w polemice p. Sawa, zmieniając tytuł mojego artykułu. I właśnie pytanie, czy Polska Ludowa to to samo co Polska, jest chyba sednem naszego sporu o ocenę powrotu Melchiora Wańkowicza.

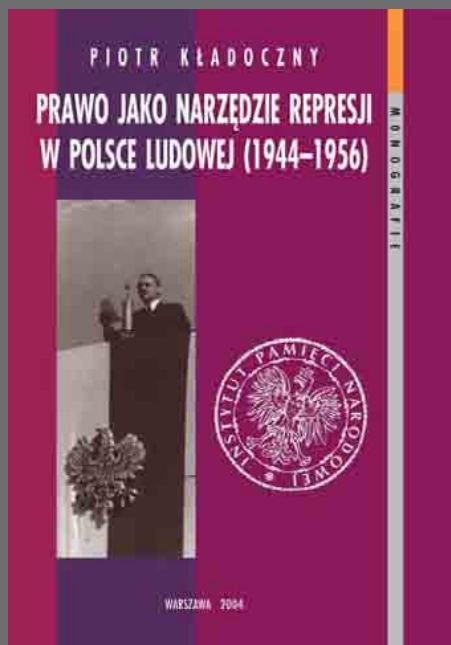
Sławomir Cenckiewicz, OBEP IPN Gdańsk



**W serii „Słowniki” publikowane są opracowania o charakterze encyklopedycznym i biograficznym poświęcone najnowszej historii Polski. Mają one na celu przedstawienie żołnierzy i działaczy Polskiego Państwa Podziemnego, uczestników konspiracji, opozycji i oporu społecznego z lat 1939–1989.**

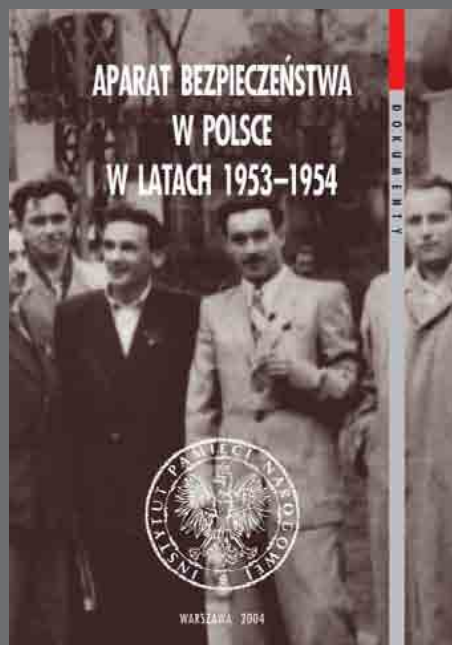
*Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956. Słownik biograficzny* jest zapisem życiorysów ludzi, którzy nie pogodzili się z powojenną rzeczywistością i w najtrudniejszych czasach prowadzili walkę o niepodległą Polskę. Pozwala zrozumieć ich motywacje i drogi życiowe, a także formy i skalę oporu przeciw komunistycznej władzy w latach czterdziestych i pięćdziesiątych.

Autorami biogramów zamieszczonych w prezentowanej publikacji są znawcy powojennej historii Polski, którym udało się dotrzeć do skrywaných w okresie PRL dokumentów i świadectw. W przygotowaniu kolejny tom.



W serii „Monografie” publikowane są książki poświęcone najnowszej historii Polski, opisujące losy obywateli polskich w latach 1939–1989.

Książka Piotra Kładoczny omawia występującą w prawodawstwie Polski Ludowej kategorię przestępstw przeciwko państwu. Autor rozpoczyna od analizy systemów prawnych różnych krajów, przede wszystkim totalitarnych. Poprzez zbadanie aktów prawnych stara się zdefiniować, jakie czyny kwalifikowano jako godzące w państwo, podkreślając równocześnie silną zależność systemu polskiego od prawodawstwa radzieckiego. Monografia stanowi cenne uzupełnienie prac historyków, zajmujących się przede wszystkim wykorzystywaniem prawa jako narzędzia represji w praktyce.



W serii „Dokumenty” publikowane są nierzadkie dotychczas materiały archiwalne dotyczące najnowszej historii Polski. Pokazują one różne formy represji, jakich obywatele polscy doświadczyli w latach 1939–1989 ze strony władz nazistowskich i komunistycznych, oraz zorganizowane i spontaniczne przejawy oporu społecznego.

Niniejszy tom jest czwartym (drugim wydanym przez IPN) w serii przedstawiającej dokumenty Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Zbiór obejmuje protokoły, referaty i wypowiedzi z narad i odpraw w ministerstwie na temat kluczowych kierunków działania resortu oraz wydarzeń, które w nim zaszły. W ciągu dwóch lat objętych tomem w aparacie bezpieczeństwa nastąpiła zasadnicza zmiana: w początkach 1953 r. miał ogromne znaczenie w życiu politycznym kraju, pod koniec 1954 r. został głęboko – choć tylko pod względem formalnym – zreorganizowany. Publikowane dokumenty mówią o kryzysie narastającym w bezpieczeństwie i próbach jego zażegnania.